

AZIERO

BIULETYN INFORMACYJNO-PROPAGANDOWY KW WARSZAWA

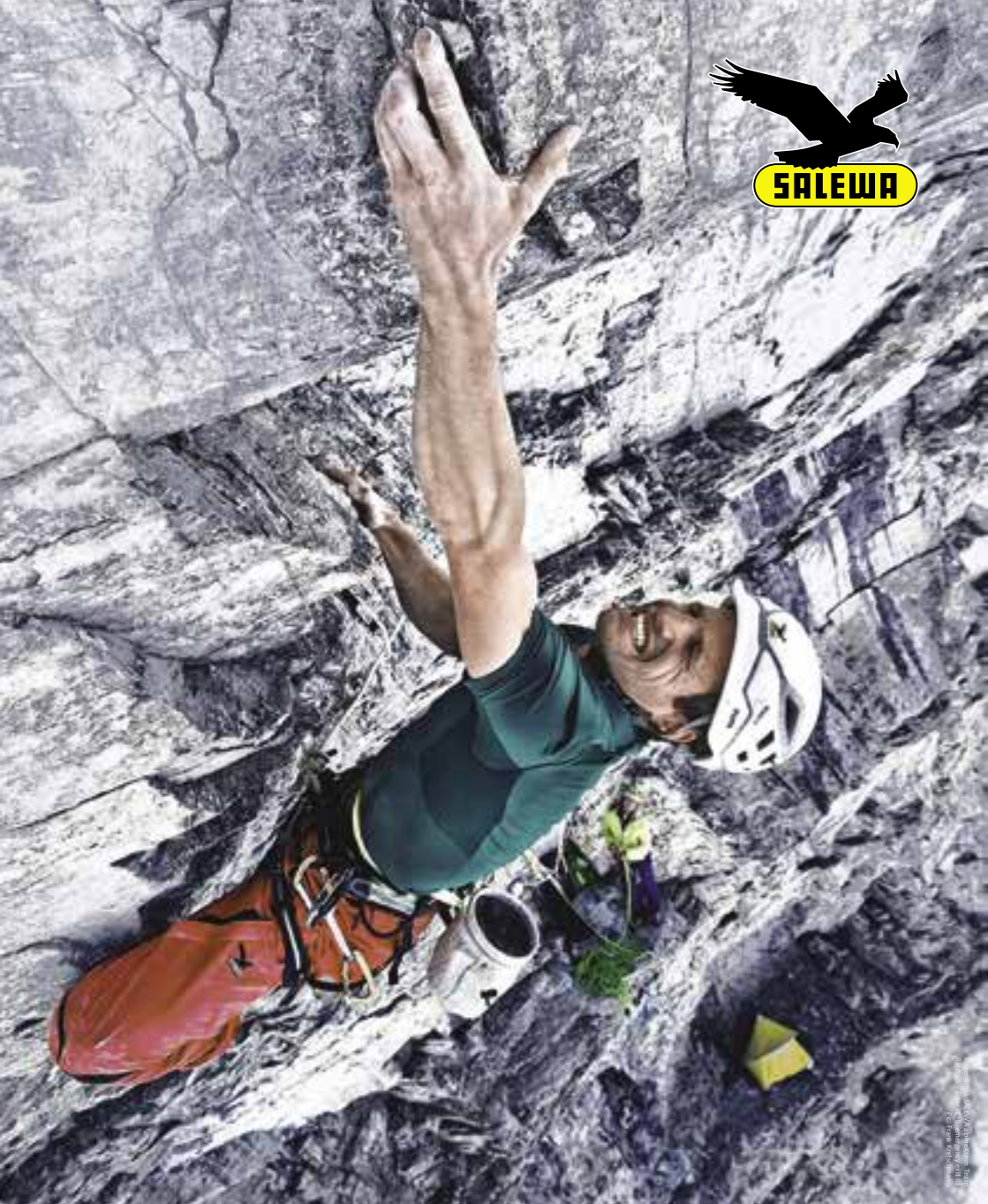


ISSN 1641-9359



www.kw.warszawa.pl

1(24)/2015
bezpłatny



Wszystkie zdjęcia: Salewa / Artur Kozłowski, Tomasz
Kozłowski, Artur Kozłowski, Tomasz Kozłowski

Salewa Mountain Store
Warszawa
ul. Nowy Świat 2
00-496 Warszawa (Śródmieście)
Tel: +48 22 628 87 44
www.salewa.waw.pl

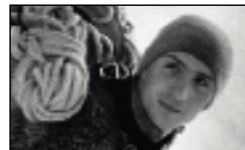
Salewa Mountain Shop
Rzeszów
al. Tadeusza Rejtana 53
35-328 Rzeszów
Tel: +48 17 85 00 330
www.salewasklep.pl

Salewa Mountain Shop
Zakopane
ul. Krupówki 36
34-500 Zakopane
Tel: +48 18 201 51 02
sklep.salewa.pl

Salewa Mountain Shop
Kraków
ul. Stawowa 61
31-346 Kraków
Tel: 607 070 257
sklep.salewa.pl

Książka wyjść

Słowo Prezesa, Zbigniew Skierski	♦ 2
Maciej Popko 1936–2014, Józef Nyka, Wojciech Nowicki	♦ 6
Uszba raz, Uszba dwa, Ievgen Obraztov	♦ 14
Dreams of Infinity, Łukasz Lewczuk	♦ 22
Ojos de Salgado, Andrzej Kurowski	♦ 26
Makalu, 88, cz. II, Ryszard Kołakowski, „Kolek”	♦ 28
Podsumowanie sezonu sportowego 2014 i 2015, Paweł Bednarz	♦ 40
Omówienie sezonu tatrzańskiego 2015, Aneta Nejman	♦ 52
Via Classica. Opowieść o drodze wspinaczkowej, Sylwia Zarzycka	♦ 58
Przepraszam, którąś na dół? Aneta Nejman i Piotr Zaremba	♦ 61
Topo. Dwa razy Korosad, Kacper Tekieli, Rafał Mikler	♦ 63
Topo. Strzelecka Turnia, Artur i Alicja Paszczakowie	♦ 71
Topo. Ostry Szczyt, filar południowy, Artur Paszczak	♦ 73
Czyżby w Tatrach były jeszcze niezdołane ściany?	
Czarny Kopiniak, ściana południowo-zachodnia, Artur Paszczak	♦ 75
Skąd się biorą nowe drogi?, Artur Paszczak	♦ 78
Jak Baryk wyszedł na swoje, Jaroslav Boček	♦ 82
Chód Tatrzański, Jan Nyka	♦ 84
VI.MAS – cyfra sezonu, Mariusz Marszał	♦ 88
Napowietrzny tunel, ale nie Kellermana! Andrzej Bobkowski	♦ 89
Góry i partnerzy, Andrzej Kurowski	♦ 96
Informacje klubowe i zniżki	♦ 98



A/ZERO – Biuletyn Informacyjno-Propagandowy

ISSN: 1641-9359

Wydawca: Klub Wysokogórski Warszawa

Redakcja: Artur Paszczak (redaktor naczelny), Aleksandra Belowska (z-ca redaktora naczelnego), Sylwia Zarzycka, Aneta Nejman, Andrzej Kurowski, Paweł Bednarz

Skład: Marcin Szaliński

Kontakt z redakcją: paszczak.artur@gmail.com, o.belowska@gmail.com

W A/ZERO piszemy o sportach nie zawsze bezpiecznych dla Waszego zdrowia i życia. Zespół redakcyjny nie ponosi żadnej odpowiedzialności za jakiegokolwiek powstałe w trakcie uprawiania przez czytelników sportów propagowanych na łamach A/ZERO. Pamiętajcie, robicie to na własne ryzyko.

Redakcja A/ZERO nie ponosi odpowiedzialności za treść reklam i tekstów zamieszczonych na łamach biuletynu.

Kopiowanie materiałów w całości lub tylko części wyłącznie za pisemną zgodą redakcji A/ZERO.

1 okładka – Tadeusz Grzegorzewski lustruje stromy teren na grani Żelaznych Wrót. Fot. A. Paszczak

4 okładka – podejście pd Batyzowiecki Szczyt. Fot. A. Paszczak



Drogie Koleżanki, Drodzy Koledzy!

Już trochę czasu upłynęło od naszego jesienno-walnego Zebrania Klubu. Jak wiecie, było to zebranie sprawozdawczo-wyborcze, w wyniku którego wyłoniony został nowy zarząd klubu. Chcę Wam w tym miejscu bardzo podziękować za okazane zaufanie i ponowny wybór na stanowisko prezesa. Jednocześnie chciałbym podziękować tym członkom byłego zarządu, którzy z różnych powodów nie kandydowali, za ich bardzo duży wkład pracy w nasze wspólne dobro, jakim jest Klub.

Przed nowym zarządem stanęły nowe zadania. Na pierwszym planie jednak do chwili obecnej było wykonanie nowej strony internetowej KW Warszawa. Prace trwały ponad dwa lata od podjęcia decyzji. Teraz możemy powiedzieć, że w 22 marca 2016 r. projekt został ukończony. I tutaj również chciałbym złożyć wielkie podziękowania – w szczególności kolegom Piotrowi Juszkiewiczowi, Tomkowi Mikołajczykowi i Sławkowi Sobańskiemu – za to, że byli w swojej pracy prawdziwie „niezłomni”. Dzięki nim w tej chwili mamy naprawdę świetne narzędzie do rozwijania i animowania życia klubowego.

Ich postawa zasługuje na najwyższą pochwałę, gdyż wymagała oprócz profesjonalizmu, poświęcenia dziesiątek, a może i setek godzin pracy wyrwanych ze swojego życia prywatnego i zawodowego. Zmagali się nie tylko z własnymi słabościami i zniechęceniem, lecz także z krytyką naszego środowiska. Na szczęście nie zabrakło im samozaparcia i uporu. Doprowadzili pracę do szczęśliwego końca. Nasuwa mi się w tym miejscu taka refleksja na temat pracy społecznej oraz tego, co Klub daje swoim członkom. Otóż niedawno, na fali dużej ilości wypadków, które miały miejsce w Tatrach na skutek dużego oblodzenia oraz niefrasobliwości turystów, zorganizowaliśmy darmowe wykłady pod hasłem „Jak bezpiecznie chodzić po górach”. Zainteresowanie nimi przeszło nasze najśmielsze oczekiwania. Skorzystało z nich łącznie około półtora tysiąca osób. Niektórzy z nich zapisali się później do klubu, aby kontynuować pogłębianie wiedzy na naszych kursach i obozach. Jednakże wielu ludzi, i to niestety jest zjawisko dość powszechne, przed zapisaniem się do klubu zadaje sakramentalne pytanie „a co ja z tego będę miał?”. Chciałbym w tym miejscu wyraźnie powiedzieć, że oczywiście Klub jest miejscem, gdzie pojawiają się różne możliwości i formy działań dla klubowiczów, obliczonych na realizację górskiej pasji. Jednak podstawą naszego funkcjonowania jest praca społeczna. Właśnie możliwość dawania innym i dzielenia się własnymi możliwościami, doświadczeniem oraz czasem, powinna być głównym motywem wstępowania do takich organizacji jak nasz klub. Tak naprawdę, gdyby nie takie altruistyczne podejście, nie byłoby wspólnych wyjazdów, szkoleń, nie byłoby A/Zero, nie byłoby zarządu, nie byłoby prezesa. Klub to nie miejsce, gdzie można coś „zarobić”. Tu można tylko coś z siebie dać, aby ktoś mógł coś zyskać i wtedy jest to nasz wspólny sukces i zarobek.

Wasz prezes
Zbigniew Skierski, „Siekiera”



Zygmunt Stary

Ufundowaną i przyznaną przez jednego z kolegów, który pragnie pozostać anonimowy, prywatną nagrodę Zygmunta Starego (banknot 200 zł) za ciekawy tekst w A/Zero otrzymała za numer 22. Agata Wieruszewska (Biegniemy po grani Tatr).

Dlaczego warto być członkiem KW Warszawa?

Jesteśmy klubem prawdziwie koleżeńskim i partnerskim, w którym znajdziesz ludzi dzielących Twoją pasję – góry i wspinaczkę. Znajdziesz kolegów i koleżanki na wspólne wyjazdy, otrzymasz pomoc w sprawach dotyczących Twoich zainteresowań. Poznasz doświadczonych wspinaczy i będziesz mógł się od nich uczyć.

W ramach naszej składki – jednej z najniższych w kraju – otrzymasz najbardziej atrakcyjny pakiet korzyści ze wszystkich polskich klubów:

- renomowany biuletyn A/ZERO przysyłamy Ci pocztą do domu,
- otrzymasz zniżki nawet do 30% w firmach i sklepach współpracujących z klubem, a także w schroniskach,
- będziesz miał możliwość zakupu tańszego sprzętu w ramach zbiorczych zakupów klubowych,
- uzyskasz możliwość nabycia klubowych gadżetów, a niektóre z nich otrzymasz bezpłatnie,
- będziesz mógł podzielić się z innymi klubowiczami swoimi zdjęciami i artykułami publikowanymi na naszej stronie internetowej, a także prowadzić tam swój osobisty wykaz przeżyć,
- ...i wreszcie będziesz mógł opłacić składkę przelewem, a znaczek wyślemy Ci pocztą.
- Oferujemy dostęp do klubowej biblioteki oraz bazy przewodnikowej, dzięki czemu – gdziekolwiek się udajesz – uzyskasz potrzebne Ci informacje.
- Będziesz mógł uczestniczyć w klubowych imprezach, szczególnie w wyjazdach i obozach wspinaczkowych (letnich i zimowych), na których udoskonalisz lub poznasz nowe dziedziny wspinaczki i jej techniki pod okiem najlepszych instruktorów.
- Posiadamy obszerną i w pełni wyposażoną (DVD, projektor multimedialny, ekran, wzmacniacz, kolumny) siedzibę klubową przy ul. Noakowskiego 10 m. 12.
- Będziesz mógł uczestniczyć w pokazach slajdów i filmów w klubowej siedzibie oraz je współorganizować – wystarczy, że zgłosisz chęć pokazania swoich materiałów.
- Uzyskasz możliwość tańszego korzystania z warszawskich ścian wspinaczkowych na Obozowej oraz Nowowiejskiej (wtorek od godz. 20.00 tylko dla KWW i tylko za 10 zł).
- W środy i soboty będziesz mógł korzystać z klubowej bulderowni w lokalu klubowym (w godz. 16.00–22.00, opłata 5 zł za wejście). Jeżeli zaś wstąpisz do sekcji bulderowej – uzyskasz dostęp nielimitowany.
- Dzięki współpracy klubu ze szkołami wspinaczkowymi („Alp Extreme”, „W Pionie”, „Planet Sports”, „Warszawska Szkoła Alpinizmu”, „Go Up”, „Pionowy Świat”), uzyskasz w nich 10% zniżki na wszelkie szkolenia.

A jeżeli będziesz tylko chciał – uzyskasz możliwość współtworzenia naszego klubu i pracy na rzecz środowiska górskiego i wspinaczkowego, ponieważ każdy z członków KWW może realizować w ramach niego swoje własne inicjatywy.

DRODZY PRZYJACIELE Z KWW

Pragnę podziękować Wam za wyróżnienie mojej skromnej osoby honorowym członkostwem Klubu.

Nie ukrywam, że ma to dla mnie szczególne znaczenie, albowiem moje taternicze początki związane były z kołem warszawskim, ogólnopolskiego kiedyś, Klubu Wysokogórskiego, z którego wywodzi się też KWW. „Club Polonais de Haut Montagne” widnieje na mojej legitymacji klubowej, noszącej numer 968, wydanej w styczniu 1958 r. Ostatnie znaczki opłat noszą datę 1961. Nie zdziwiłbym się, gdyby ktoś spytał: - Dla czego przestałeś płacić składki? Odpowiedź na te pytanie może wnieść pewien wątek, niekoniecznie wszystkim znany, i dla tego pozwólcie mi to przy tej okazji przedstawić.

Szkolenie taternicze, zaczynające się od kursu teoretycznego i kontynuowane na kursie skałkowym a następnie letnie i zimowe w Tatrach, miałem okazję przechodzić po nadzorem instruktorów, takich jak Czesław Mrowiec, Andrzej Pietsch, Basia Jaroszyńska (Kościuszko), Jurek Krajski. W późniejszym okresie, zasmakowawszy we wspinaczce, przeszedłem kilka liczących się wtedy dróg, takich jak Orłowskiego na Galerii Gankowej, „Hokejkę” na Łomnicy, Łapińskiego i Paszuchę na Kazałnicy oraz „Wariant R” na Mnichu (Z Krzysztofem Cieleckim), a także piękną zimową drogę w Śnieżnej Dolinie. W ten sposób udowodniłem sobie coś, rzecz normalna. Nie mogłem jednak nie dostrzec, że w tym czasie inni podejmowali już zupełnie nowe wyzwania, przyjmowała się technika penetracji ścian i filarów zjazdami, posługiwano się bormaszynami i zupełnie nowymi elementami asekuracji. A wszystko to, niestety, wiązało się z wydłużaniem czasu pobytu w górach. Na kursie skałkowym byłem w jednej grupie z Januszem Kurczabem, wtedy już znanym sportowcem, olimpijczykiem. Nie miałem kompleksów, lecz kiedy zorientowałem się, że Jano

spędza w Tatrach kilka miesięcy, a ja mam urlop tylko parotygodniowy - bo przecież urodziła się już Małgosia, w Instytucie profesor czekała na opracowanie wyników z wykonanych pomiarów a wydawnictwo zażądało finalizacji tłumaczenia, którego się podjąłem - to dotarło do mnie, że w tej konkurencji jestem bez szans.

Akurat dowiedziałem się, że jest w Warszawie prężny Klub Turystów Górskich (późniejszy Polski Klub Górski), z którym można wyjechać w jakieś tam góry w Bułgarii, albo do Jugosławii, gdzie podobno są nawet Alpy, albo w piękne, lesiste góry Rumunii. Pomyślałem – To chyba coś dla mnie. Bez większego żalu, że nie zostanę zawodowym taternikiem, zgłosiłem się do KTG. Trzeba było mieć dwóch członków wprowadzających; kiedy pokazałem wykaz swoich wejść, przyjęli bez problemu. Znać bajkę o Byczku Fernando? Był to byczek spokojny, lecz kiedyś przez nieuwagę usiadł na Panu Trzmielu, który poczuł się tym mocno dotknięty i ze złości wbił w ogon Fernanda swoje żądło. Strach powiedzieć co się potem działo, Fernando skakał, ryczał, a ludzie pomyśleli, że to byk bardzo srogi, który świetnie będzie walczyć na arenie. Jak pech, to pech... Życie zaskakuje, to banał, ale prawdziwy. KTG, działający w strukturze związków zawodowych, dostał szansę wymiany turystycznej z „bratnim” klubem Związku Radzieckiego. Nie w ciemie bici szefowie Klubu wskazali chyba Lokomotiw, mający swoją bazę w Kaukazie.

„I Fernando, ładny los to, do Madrytu jedzie prosto!”, a ekipa KTG - do alpagieru w Dolinie Adył-su. I ja z nimi.

A jak już tam się znaleźliśmy, to trzeba było trzymać fason, godnie kraj reprezentować i pokazać bolszewikom z kim

mają do czynienia. Oczywiście, oni od razu zorientowali się, że mają do czynienia z „nowiczkami”, którzy w życiu nie widzieli ani takich gór, ani po lodowcu nigdy jeszcze nie chodzili. Szybko jednak odbyliśmy pierwsze szkolenia, weszliśmy najłatwiejszą drogą na Gumaczi. Apetyt, jak wiadomo, rośnie...Więc zrobiliśmy jakąś „dwójczkę”, potem „trójczkę”, a kiedy na Wolnej Hispanii skróciliśmy znacząco czas wejścia, to dowództwo obozu dało nam szansę na coś szczególnego. Na Szheldzie była niepowtórzona jeszcze droga „Przez łopatę” wyceniona na maksa, czyli 5B. Kilkaset metrów wertykalnego prawie, śnieżno-lodowego płata, bez najluchszej skałki dającej szansę solidnej asekuracji. Udało się. Na koniec był jeszcze Elbrus.

I tak to się zaczęło. Dalszej paraleli z byczkiem nie ma, bo Fernando nie podjął walki na arenie, a ja jednak dałem się w to wciągnąć. Ale bez zadęcia i zaparcia, lajtowo. Co kilka lat udawało mi się gdzieś wyjechać, a to w Altaj, a to w Pamir, nawet w Himalaje. To wszystko.

Reasumując, sami widzicie, że z KW odszedłem przez ...No tak, chyba przez skromność... A może jedna z braku ambicji? Jakies wytłumaczenie zawsze się znajdzie.

Muszę jednak zwrócić Waszą uwagę na to, że mój casus nie jest jakimś wyjątkiem. Z Klubu Wysokogórskiego wyszło wielu wspinaczy, którzy w późniejszych latach byli aktywni w innych klubach, a nawet kluby takie zakładali. Jeśli udawało im się czegoś w górach dokonać, bez dwóch zdań trzeba uznać, że było to w dużej mierze zasługą Klubu Wysokogórskiego, w którym szkolili się i z klubem tym przeżywali swoje pierwsze górskie sukcesy, normalne niepowodzenia

i radości, czyli mówiąc słowami klasyka, swoje przygody ze skałą, dziewczyną itd.

Jak wiecie honorowym członkostwem KWW zostałem obdarowany razem z Krysią Palmowską, Elą Lange-Moroz i Waldkiem (Kazimierzem) Olechem. Nie ma co, w doborowym znalazłem się towarzystwie. Chapeau bas i czapki z głów - jak mówi mój znajomy. Krysię, zanim poznałem osobiście, poznawałem wcześniej wirtualnie czytając o jej dokonaniach. Z Elą to się nawet wspinałem, a z Waldkiem wchodziłem na wszystkie moje największe góry, stanowiące tylko cząstkę tych gór, na które on wszedł. Waldek ma chyba najwięcej z nas wszystkich wejść na siedmiotysięczniki, nie wspominając Kangczendzongi Środkowej. I tylko żal, że z powodu choroby nie mógł być na walnym, nadającym mu godność członka honorowego. Reprezentował go wnuk Marian.

Mówię o Waldku nie przez kumoterstwo ani z wdzięczności za to, że kiedyś, prawie na wysokości 8 i 1/2 tysiąca metrów, dał mi sztachnąć się kilka razy tlenem ze swojej butli. Bardziej dla tego, że sam już nie jest w stanie podziękować Wam za wyróżnienie, a jednocześnie jest on dla mnie przykładem wspinacza, i to wielkiego, u którego wszystko co górskie zaczęło się w Klubie Wysokogórskim. Numer widniejący na jego legitymacji klubowej KW wydanej w 1957r., to 953, ale data członkostwa to rok 1954.

Kończąc już, myśl taką chciałbym wyrazić, że to może my, i nam podobni odszczepieńcy, powinniśmy nadać Klubowi jakieś honorowe wyróżnienie?

Z górskim pozdrowieniem
Wojtek Brański

MACIEJ POPKO

1936-2014



22 listopada 2014 r. zmarł w Warszawie nasz długoletni kolega i serdeczny przyjaciel, wybitny naukowiec, filolog Starożytnego Wschodu, twórca polskiej hetytologii, przy tym zasłużony i aktywny po ostatnie lata życia taternik i alpinista, prof. dr hab. Maciej Popko. Urodził się 3 grudnia 1936 r. w Częstochowie. Po maturze w tamtejszym „Traugutcie”, odbył w Łodzi studia włókiennicze, zaś w latach 1958–1963 studia filologiczne w Warszawie. Jako absolwent znalazł zatrudnienie na UW, z którym związał całe swoje życie zawodowe. W roku 1968 obronił pracę doktorską, tytuł profesora otrzymał od Rady Państwa 30 października 1987 r., stopień profesora zwyczajnego w 1992. Pracował na Wydziale Orientalistycznym UW, będąc jednym z paru najbardziej poważanych w świecie znawców języka, historii i kultury imperium Hetytów, 3500 lat temu zajmującego obszary obecnej Turcji i Syrii. Był członkiem Komitetu Nauk Orientalistycznych PAN, któremu w latach 1990–1992 przewodniczył.

Na taternicką drogę wszedł w roku 1953, ale szkolenie odbył rok później w Kole Łódzkim KW. W 1958 przeniósł się do Koła Warszawskiego. W Tatrach pozostawił kilkadziesiąt nowych dróg i pierwszych przejść zimowych, w tym kilka kiedyś zaliczanych do najwyższej klasy. Wspinał się też w Kaukazie (1961), Dolomitach (1962), Alpach Francuskich (1965), górach i skałkach Półwyspu Bałkańskiego, na Bliskim Wschodzie i w Azji Środkowej. Kierował wyprawami do Turcji (1967, 1968 i 2001), a w roku 1975 wyprawą eksploracyjną w mało znane pasmo Koh-e Wachan i w Hindukusz. Dziesięć lat temu poprosiliśmy go o wyliczenie

jego ciekawszych przejść – przytaczamy w całości ten autorski wybór, zachowując jego notatkowy charakter – nie uzupełniając oczywistych przeoczeń, jak np. II p. zimowe filara Puškása na Galerii Gankowej (z Danką Topczewską, 24 IV 1961) czy wejście na dziewiczy P4574 m w Kaszmirze w 1976. Starannie zapisane daty i formacje skalne stanowią też cenne przyczynki do życiorysów jego partnerów – w połowie już nieżyjących. Częsta towarzyszka wspinaczek, M. Mikołajczyk, to od 1970 Maria Popko. Później były wejścia wspinaczkowe i turystyczne w Tatrach, Dolomitach, Bułgarii (Riła), Turcji (w grupie Aladag, Erciyes Dag, drogą normalną, Tahtali Dag i Akdag w Liçji), Iranie (lato 2004, „sukcesy skromne, cztery 4-tysięczniki nad Sarcał”), Grecji (25 VI 2006 Mitikas, Dikti, Psiloriti), Maroku (1 V 2007 Tubkal), Armenii (17 VIII 2007 pd. wierzchołek Aragac, 3897 m). Na ścianach Paklenicy pokonywał drogi do VIB. Turystykę letnią i zimową, bieganie na nartach i skitouring uprawiał w Beskidach, Karpatach ukraińskich (wielokrotnie), Karkonoszach. Z tatr wspominał też – o czym pamięta mało kto – wyprawy podziemne, lubił jaskinie głębokie i rozwinięte pionowo. W latach 80. przeszedł niemal wszystkie pionowe jaskinie tatrzańskie, bez Nadkotlin i Śnieżnej, uczestniczył w eksploracji Szczeliny Chochołowskiej po przekopaniu syfonu i Jaskini Czarnej. Speleoklubowi pozostał wierny i w roku 2004 pisał w GS o jego 50-leciu. W organizowaniu wypraw przeszkody bywały różne. Na lato 1972 Maciej przygotował wypad do Iranu z ambitnym celem wspinaczkowym, na drodze jednak stanęła... SB. „Mimo trzech prób nie dostałem paszportu, zrezygnowałem z dalszych starań i jadę z Żoną nad jeziora”, pisze w notatce z 28 VI 1972 r.



Od 1958 był instruktorem alpinizmu i wyedukował wielu kandydatów. Jako społecznik z natury, żywo angażował się w sprawy organizacyjne. W 1963 powołał do życia Sekcję Wysokogórską przy Komisji Turystyki RU ZSP UW, przekształconą później w Uniwersytecki Klub Alpinistyczny. W latach 1968–1969 był prezesem założonej przez Marka Głogoczowskiego FAKA – liczba zrzeszonych w Federacji organizacji skoczyła wtedy z 4 do 14. Od roku 1974 (z przerwami) kierował Sekcją Alpinizmu SKT. W uznaniu wielorakich zasług otrzymał członkostwo honorowe UKA, SKT, KW Warszawa i w 2004 PZA. W 1964 został przyjęty

do GT GPR i czynny był do ok. 1980 r., choć wypraw zapisano mu tylko kilka.

Na tematy górskie pisywał w *Taterniku*, *Poznaj Świat* i innych periodykach. Nie gardził nawet *Głosem Seniora*, w którym ogłosił ok. 30 relacji i notatek. Był redaktorem i współtwórcą podręcznika *Alpinizm* (1971, 1974), a także autorem żywo napisanych reportaży *Góry pod półksiężycem* (1974). Dla PWN opracował wznawianą dwukrotnie monografię Turcji (1991). Artykuł *Berge in den altorientalischen Kulturen w Alpenvereinsjahrbuch Berg*, 92 jest być może jedyną polską pracą w tym prestiżowym roczniku Deutscher Alpenverein. Pytany przez nas o ważniejsze książki naukowe, wymienił – choć było ich dużo więcej

– następujące: *Kultobjekte in der hethitischen Religion* (1978), *Keilschrifturkunden aus Boghazköi*, Heft LVIII (1988), *Huryci* (1992, 2005), *Zippalanda, ein Kultzentrum im hethitischen Kleinasien* (1994), *Religions of Asia Minor* (1995), *Das hethitische Ritual*, CTH 447 (2003), *Völker und Sprachen Altanatoliens* (2008), *Arinna, eine heilige Stadt der Hethiter* (2009). Ok. 2010 r. planował dalsze tytuły: *Hetyci, U korzeni kultury greckiej* – nie mógł wiedzieć, że jest mu pisane inaczej. Jako hetytolog wstawił się m.in. odczytaniem setek tekstów klinowych, poszerzeniem kręgu bóstw hetyckich oraz rozwiązaniem zagadki identyfikacji świętego miasta Hetytów, Zippalandy (spolszczonej w Ziplandę). To on też dowiódł, że każda kopia posągu bóstwa uzyskiwała osobną boską osobowość. W r. 2002 z okazji 65. rocznicy urodzin prof. Macieja Popki ukazała się kilkujęzyczna księga pamięci *Silva Anatolica* – z jego życiorysem naukowym i pracami światowej elity filologii Wschodu Starożytnego.

Długo zachował wysoką sprawność fizyczną i zapal do gór. W wieku 70 lat chodził jeszcze w skałkach i na sztucznych ścianach po drogach sięgających VII stopnia trudności. W swoim usposobieniu sam podkreślał młodość – *w której się nieustannie znajduję i wyjść z niej nie mogę, i nie chcę*. Kraje, ludy i dzieje Starożytnego Wschodu były polem jego badań ale i jego pasją. Barwnie i plastycznie opowiadał o miastach, zwyczajach, wierzeniach, obchodach – nawet wspinaczkach kultowych na świętą górę Daha niedaleko Ziplandy. Równie ciekawe były jego opowieści z gór, o zapomnianych zdarzeniach, nieżyjących już ludziach. Z pism tych słów wspominał przygody w Dolomitach, m.in. tę wcale nie górska, kiedy celnicy włoscy zabrali nam w Tarvisio całą przewożoną żywność. We dwóch z Mackiem zabiegaliśmy w Wenecji w urzędzie ceł o odzyskanie trzech pękatyń brezentowych worów, które z wyspy Salute przez kilka godzin we dwóch transportowaliśmy na dworzec, przenosząc ruchem gąsienicy po 300 m kolejne worki. Wspominaliśmy tę operację, jako jedną z najbardziej morderczych harówek życia. „Teraz wiem, po co tak ostro trenowałem”, powiedział Maciek, gdy ledwo żywi dobiliśmy do dworca.

Biografie Zmarłego pojawiają się w internecie – z górskich najpełniejsza jak dotąd pióra Grzegorza Głazka na stronie Wspinanie.pl. Ten sam autor pożegna go w *Taterniku*, opracował też jego szczegółową bibliografię górska, która ukaże się w *Roczniku Orientalistycznym* 2/2014. Los nie oszczędził Mackowi przeszło dwuletniej cierpienia ze świadomości nieuleczalności choroby. „Rzadko – mówił – myślę o przyjemnościach życia człowieka zdrowego, nie mam marzeń, z rzadka pojawiają się jakieś łąki, drzewa... Tylko czarne ptaki urozmaicają widok” (4 III 2013). „W chorobie hart ducha jest znacznie potrzebniejszy, niż był kiedyś w górach... Góry... Chodziliśmy po nich, teraz są daleko od nas”. Na kilka dni przed odejściem wyszeptał do przyjaciela, Tomka Łubińskiego: „tak długo trwa to umieranie”. Jego prochy złożono na Cmentarzu Północnym w Warszawie w kwaterze U III 4-6-8 (w pobliżu wejścia przy kaplicy). Zostawił żonę Marię, córkę Joasię i wnuczkę Anię. Pisał Jacek Kolbuszewski, że człowiek umiera dwa razy: raz w chwili zgonu i drugi raz, kiedy popada w zapomnienie. Maciek zostawił dorobek wspinaczkowy i naukowy o ponadczasowej wartości, a także kochającą Rodzinę, liczne grono przyjaciół i rzeszę wdzięcznych wychowanków górskich. Odejście w zapomnienie nie zagraża mu prędko.

Tekst przedrukowany zgodą Józefa Nyki – autora, z Głosu Seniora (www.nyka.home.pl)

- 1 IV 1957: Mięguszwiecki Szczyt pn.-wsch. filarem, IV p. zimowe, I jednodniowe zimą, z H. Furmanikiem.
- 24 VIII 1957: Mięguszwiecki Czarny pn.-wsch. grzędą, z dolnym urwiskiem, I p., z K. Sałygą(-Dąbkowską).
- 15 VII 1958: Kazałnica przez Sanktuarium, I w., z J. Długoszem.
- 14 III 1960: Mały Młynarz pn. ścianą, drogą Korosadowicza, I p. zim., z J. Mostowskim.
- 20 IV 1960: Hruby Wierch pn. ścianą i Grań Hrubego do końca, I p. zim., ze St. Bielem.
- 12 VII 1960: Pośrednia Bednarzowa Turnia pn. filarem, I p., z L. Sadusiem.
- 30 I 1961: Żabi Wyżni pn.-wsch. filarem, I p. zim., z A. Drescherem i C. Mielczarkiem.
- 6 IV 1961: Kazałnica („lewa”) drogą Długosza, II p. zimowe, I jednodniowe w zimie, z Z. Jurkowskim.
- 22 IV 1961: Ciężki (Czeski) Szczyt pn.-wsch. ścianą, drogą Stanisławskiego, I p. zim., z B. Kunickim.
- 26 IV 1961: Galeria Gankowa drogą Orłowskiego, z H. Furmanikiem.
- 10 II 1962: Przełęcz pod Chłopkiem wprost od pn., II p. zim., z G. Małaczynskim.
- 14 IV 1962: Żabi Szczyt Wyżni lewą częścią pn. ścianą, drogą Orłowskiego, I p. zim., z A. Heinrichem, L. Sadusiem i R. Zawadzkiem.
- 26 IV 1962: Skrajna Bednarzowa Ławka pn. żlebem, I p. zim., z G. Małaczynskim, L. Sadusiem i R. Zawadzkiem.
- 26 VII 1962: Mniszek wsch. ścianą, direttissima, I w., z J. Nyką.
- 3–4 IV 1963: Mięguszwiecki Szczyt wsch. ścianą, drogą Kurczaba, I p. zim., z Z. Jurkowskim i J. Kurczabem.
- IV 1963: Rysy lewą depresją wsch. ściany, I p. zim., z J. Hanaśiewiczem i A. Mrozem.
- 23 VII 1963: Orla Ściana, I p., z K. Paliwodą.
- 2 VIII 1963: Kazałnica filarem, I p. jednodniowe, z M. Pogorzelskim.
- 29 XII 1969: Mięguszwiecki Szczyt Czarny pn.-wsch. grzędą, z dolnym urwiskiem, I p. zim., z K. Wieteską.
- 10 VI 1971: Mięguszwiecki Szczyt Czarny środkową cz. pn. ściany, I w., z R. Wroną.
- 29–30 XII 1972: Komin Pokutników, z A. Szpocińskim.
- 27 VIII 1973: Świstowy Szczyt prawym żebrem zach. ściany, I w., z T. Łubińskim.
- 12 IV 1974: Mały Kościół lewym filarem pn.-wsch. ściany, I w., z M. Mikołajczyk.

- 14 IV 1974: Strzelecka Turnia pr. filarem pd. ściany, I w. zim. (?), z M. Mikołajczyk.
- 16 VIII 1974: Turnia ponad Kocioł środkowym żebrem wsch. ściany, wg St. Samuhela I w., z M. Mikołajczyk.
- 3 IX 1974: Wielki Kościół pn.-wsch. filarem (Granią Dziadków), I (?) w., z M. Mikołajczyk.

Wyjazdy w góry wyższe od Tatr nastąpiły w początku lat 60.:

- 13 VIII 1961: Nakra-Tau (Kaukaz Centralny) pn. filarem, z M. Bałą i H. Furmanikiem.
- 29–30 VIII 1962: Marmolada pd. ścianą, via Solda, z R. Zawadzkiem (I polskie VI+ w Dolomitach).
- 9 IX 1962: Cima Grande di Lavaredo, via Comici, z R. Zawadzkiem.
- 28 VII 1965: Triolet (rejon Mont Blanc), pn. ścianą, d. Gréloz-Roch, z R. Zawadzkiem.
- 18 VII 1967: Ararat – II w. polskie, z A. Kusiem, A. Mrozem i J. Tuszyńskim.
- 9 VII 1968: Süphan Dag (nad jeziorem Van w Turcji).
- 15 VII 1968: Genişkaya (góry Cilo w Turcji) pn.-wsch. filarem, I w., z J. Tuszyńskim.
- 24 VII 1968: Keskin Tepe (Cilo, dawniej Bergeistspitze) wsch. żebrem, I w., z K. Wieteską.
- 22 VII 1975: Koh-e Wedel (5325 m) w Koh-e Wachan, I w., z M. Mikołajczyk.
- 26 VII 1975: Koh-e Purwakszan (6080 m) w Koh-e Wachan, I w., z M. Mikołajczyk.
- 3 VIII 1975: Bezimienny szczyt 5950 m w Koh-e Wachan, I w., samotnie; tegoż dnia Koh-e Bardar (6110 m), II w., z M. Mikołajczyk.
- 24 VIII 1978: Varachova (950 m) nad Zat. Koryncką, środkowym filarem pd. ściany (z morza), V, z M. Mikołajczyk.
- 20 V 1989: Turcja – Erciyes Dagi pn. (NNW) ścianą (droga lodowa), z Ömerem Tüzelem.



Poznałem Maćka Popkę na ścianie w Lelewelu, jeszcze pod koniec ubiegłego wieku. Wraz ze swoim partnerem – obaj już po 60-ce – łoilii szóstki. Maciek wyglądał wtedy jak wyjęty z innych czasów: brązowy dres, korkotramпки, okulary na sznurowadle i dwuczęściowa uprząż, szyta chyba jeszcze z pasów samochodowych, złożona z dupowsporka i pasa piersiowego. Z czasem dowiedziałem się, że to redaktor i współautor *Alpinizmu*. Złapaliśmy dobry kontakt i kilka lat później namówiłem Maćka, żeby opowiedział o czasach, kiedy nie było ścianek, czekany miały drewniane styliska, grzbieit chroniła flanelowa koszula i anorak, a nylon dopiero zaczynał wypierać liny konopne i sizalowe.

Wojtek Nowicki



Uczestniczysz w warszawskim środowisku wspinaczkowym w zasadzie od zawsze. Jak ono się zmienia na przestrzeni lat?

Zaczniijmy od zasad – są takie same, tylko coraz rzadziej się je przestrzega. Teraz nas jest więcej; wypadki górskie – dawniej byliśmy gotowi biec z pomocą GOPR-owi, natomiast teraz zakłada się, że od takiego sprzątania jest GOPR. Ja sam się nanosiłem nieboszczyków, brałem udział w różnych akcjach, jeszcze zanim zostałem członkiem GOPR-u i to było normalne. Tam nie było podziały na goprowców, niegoprowców. Był wewnętrzny obowiązek niesienia pomocy innym, byliśmy potrzebni to szliśmy.

Śmierć zawsze była nieprzyjemna, to jest nasz los. Los, którego nie chcemy. Nigdy się tym nie fascynowałem, wręcz przeciwnie. Znosiłem wielu nieboszczyków. Tomek Kreszlar jak

go niosłem na bambusie to miał głowę przy moim ramieniu i charczał. W schronisku umarł. Czy Bilczewski, oni pod Mięguszcami leżeli. Mój partner Tomek przestał się wtedy wspinąć, taki to był dla niego szok. Dla nas to jest czarna karta tego sportu. Ta śmierć jest obecna w naszym myśleniu. Nam to grozi, ale nikt nie chodzi po to, żeby ginąć. Wszyscy kochamy życie, dlatego, że stale nadstawiamy dupy! Góry dają nam silniejszą motywację do życia. Akurat to się w środowisku nie zmieniło.

Poza tym obowiązują typowo ludzkie reguły, np. nie kradnij. Zresztą kradzieże pojawiły się dość późno w tym sporcie. Przypadki przywłaszczania mienia pojawiły się w latach 50. Ja w 60. latach byłem w sądzie koleżeńskim przy PZA. Nawet sam wielki Długosz – Palant, się o to otarł – przywłaszczył sobie anorak nieboszczyka. Ale były też kradzieże pieniędzy, sprzętu – to się później stało nagminne. Ale to nie są rzeczy

szczególne naszej społeczności. To się wiązało ze zmianą składu społecznego, wcześniej, mówiąc krótko, taternicy to byli ludzie na poziomie. U nas na kursie łódzkim był tylko jeden chłopak, który był robotnikiem. Ale ja bym zamienił wielu wykształconych na takiego robotnika z charakterem. Potem zaczęli przychodzić tacy różni żule i zaczęły się kradzieże, alkoholizm. Przecież myśmy w ogóle nie pili wody! Nasza subkultura polegała na urządzaniu zabaw, mam na myśli życie schroniskowe, gra w hokeja puszką, śpiewanie. Zresztą śpiewaliśmy na bardzo wysokim poziomie. To były zespoły *bel canto* z pieśniami rozłożonymi na cztery różne głosy, Palant nad tym czuwał. Chłanie zaczęło się w latach 70.

Wspinacze to była elita, też tak z zewnątrz byliśmy postrzegani. Taternictwo było snobizmem pośród elity intelektualnej. To Wawa Żuławski wprowadził tę snobistyczną modę w środowisku warszawskim, a Jan Kot robił to właśnie dlatego. Ich wspinanie samo w sobie jakoś szczególnie nie pociągało. Kot, jak żeśmy kiedyś zjechali z Karbu na tyłku, podniósł się i powiedział, „To nie jest zabawa dla starego Żyda”. Był związek pomiędzy tym, że to była elita intelektualna kraju, a tym, że się wspinali. Mnie pociąga środowisko, Andrzej Skłodowski też tak sądził. Myśmy tak socjologicznie traktowali zjawisko. Uważam, że taternikiem jestem dlatego, że mnie szalenie pociąga środowisko i wszystko, co z nim związane.

Co daje przynależność do środowiska?

To co jest typowe dla zjawisk mafijnych – jest grupa ludzi, na których można polegać. Mogę nawet na młodych taterników liczyć. Jak choruję to idę do kolegi wspinacza-lekarsza, jak potrzebuję tłumacza, to idę do wspinacza-tłumacza. Mamy swoich ludzi wszędzie i możemy na nich liczyć. Ja akurat mam autorytet z dawnych czasów i z tego korzystam [śmiech]. Od partnerów mogę – z wzajemnością – dużo wymagać, to jest takie partnerstwo na całe życie i to dotyczy wszystkich jego sfer. Rozszerzam tę więź na całe środowisko. Czuję się członkiem takiej społeczności, która jest mi bliska i mogę na nią liczyć.

A co jak „pójdzie i będą jaja”?

To „łozownie”, on się obraził, sądzi się. W ogóle wśród nas jest sporo psychicznych. Ale nikt nie jest albo czarny, albo biały. Każdy człowiek, który chodzi po górach, musi mieć jakąś szajbę, przecież to jest cholernie niebezpieczne! To, że chodzę na

żywcza to nie jest normalne. Ja działałam według zasady trzech punktów podparcia. Jak ich nie mam to się wycofuję. Lekarze się nie zajmują takimi dewiantami jak my! Wszyscy ryzykują, ale na ogół bardzo chcą żyć, uważają. Teraz jest dobry sprzęt. Ale moje pokolenie to wariaci. Kiedyś było takie założenie, że trzeba było chodź szybko. Do IV się nie asekurowało, przez co mam do tej pory dużo rekordów. Myśmy z Paliwodą szli środek Żabiej Turni dwie godziny, z asekuracją tylko na dole i samej górze. Przed nami najlepszy był też mój czas – 4:55, z Palantem robiłem. Jak się ożeniłem, to się wspaniałem z żoną tak, że ja prowadziłem na takiej francuskiej asekuracji. Po prostu odpowiedzialnie założyłem, że nie spadam. Prowadziłem VI, ona szła na drugiego. Tylko na trawersach jakieś pętelki zakładałem. Robiliśmy mnóstwo dróg, mamy dużo pierwszych przejść na Słowacji. Ale to na tym polegało, że zakładałem, że nie spadam i nie spadałem. Mój ostatni lot był w 1961 r. na Kaukazie. Tam już byłem taki wyczerpany przy załamaniu pogody, że polecałem. Jak widzę, że nie mam trzech punktów podparcia, to nie ryzykuję.

Czułeś kiedyś w górach strach, co z lękiem – pojawia się?

Prawdziwy lęk odczuwam dopiero po jakiejś sytuacji ekstremalnej. W samej sytuacji nie masz czasu na lęk, musisz z niej wyjść! My tych emocji nie możemy odczuwać, bo to blokuje i dopiero może być kłopot. Poza tym to jest nieetyczne wobec partnera. Jak się boisz, to twoja sprawność maleje i narażasz partnera. Natomiast człowiek, który boi się w ścianie, to jest dupa, a nie wspinacz. Nawet lot jest nieetyczny! Kiedyś polecałem na Mnichu zimą ze 25 metrów, szliśmy *Wariantem A*, poszedłem ostro. Wyrwałem drugi i pierwszy kolek, spadłem ze współczynnikiem 2 prawie do półek. Mnie się nic nie stało, ale partner miał wstrząs mózgu. Nawet w podręczniku napisałem, że lot jest nieetyczny wobec partnera.

Skoro jesteście przy partnerach, jacy byli Twoi partnerzy? Bliżej Ci do partnera w roli świetnego technicznie samobieżnego przyrządu asekuracyjnego czy wspólnoty, przyjacieli, etc.?

Oba warianty są niezłe, choć mnie bliżej do pierwszego. Nie miałem z tym problemów, bo całe moje życie to ja prowadziłem, więc partner tylko podawał linę. Zresztą to mnie partnerzy wyszukiwali, byłem po prostu dobry [śmiech], prowadziłem bardzo szybko. Bardzo nie lubiłem roli tego od

niesienia worów. Nie nadawałem się do tego, byłem za słaby, za mały, za lekki. No ale jak partner przystawia się do Rysy Bronikowskiego dziewięć razy to krew zalewa! Najważniejsze jest samo przejście. Wszystko jest podporządkowane sprawie przejścia i to efektownego.

Gdzie tu partnerstwo, braterstwo, romantyzm górski?!

Romantyzm jest, zwłaszcza jak idziesz z dziewczyną, bracie! Pod tym względem bardzo lubiłem Niżne Rysy. Tam ilość romantyzmu przechodziła ludzkie pojęcie! Byli tacy, którzy romantycznie te góry przeżywali. To Niemcy taką modę wprowadzili. Ja nie byłem aż tak romantyczny, żeby te góry tak przeżywać. Są drogi, które mi się podobają, na przykład na Kopie Lodowej, tam są takie kostki granitowe, kryształ, które wystają i po tym się wspinasz. Widoki są fajne i tyle. Odczuwam przyjemność z tego, że jestem w górach, mieszkam w kolebie. Nie wierzę w żadne duchy, czytałem o takich rzeczach, to są straszne teksty. Jak mówisz, że rozmawiasz z górą, to jest spektakularne. Ja mówię, że nie ma duchów. Sama wiara jest osobną kategorią, poza logiką arystotelesowską. W człowieku jest margines na wiarę. Jestem odporny na to wszystko. Ludzie się boją chodząc po lesie, a ja nie. To jest logiczne, no bo co bandyta ma robić w lesie w środku nocy?! Ja jestem cholernym racjonalistą. Zresztą mój zawód inaczej nie pozwala.

Czego jeszcze poza racjonalnością nauczyłeś się w górach?

Koncentracji. Te trzy punkty podparcia też w życiu funkcjonują. Jak pracuję to jestem skoncentrowany na temacie, żadne głupie myśli mi nie przeszkadzają. Zresztą im jestem starszy tym to mi lepiej idzie, bo odchodzą działania hormonów. One jednak rozpraszają. Teraz jestem bardzo skupiony na przedmiocie. No i stosunek do ludzi, ja mam zaufanie do środowiska. I przenoszę to na innych ludzi, nie boję się ludzi. Moja mama się wszystkich bała i wszystkich podejrzewała. Ja mam inne doświadczenia i jestem innym człowiekiem. Górcom bardzo dużo zawdzięczam. Jako dziecko nie byłem przygotowany do działania w elitach – ojciec był rzemieślnikiem, ja na początku studiowałem kierunek techniczny na Politechnice Łódzkiej, miałem być inżynierem. W górach poznałem ludzi, którzy otworzyli mi horyzonty. Na przykład mój partner, Tomek Łobieński, nauczył mnie sceptycyzmu jako postawy filozoficznej. Studiowałem też u Kołakowskiego, ale ten sceptycyzm pozostał. To bardzo dobre, bo podchodzi się z rezerwą do

wszystkiego co ludzie tworzą, nie grozi ci fanatyzm. Bardzo dużo zawdzięczam kontaktom z tamtego okresu, dzięki nim zacząłem studia w Warszawie na uniwersytecie, zresztą do dzisiaj tutaj pracuję, w tym samym zakładzie! Więc u mnie to był awans społeczny dzięki środowisku. Być może dlatego tak sobie je cenię. Wielu ludzi zawdzięcza środowisku więcej niż sądzą, dlatego należy oddawać to, co się dostało. Pamiętam jak prymitywny byłem jak matura zdawałem, miałem lat 16 i pół. Mama mnie posłała wcześniej do szkoły, zakładając, że będę zostawał w kolejnych klasach, a byłem najlepszym uczniem w szkole. Dzięki środowisku mądrzałem.

Co jeszcze mu zawdzięczasz?

Poczucie wspólnoty. Myśmy się zawsze czuli lepsi od tych cepów, od tej masy ludzi, którzy nażarli się, napili piwa i wychodzili. Myśmy się zawsze czuli lepsi jako ci, co mają z tymi górami zupełnie inny kontakt. My się wspinamy, my ryzykujemy. Zajmowaliśmy się czymś, co żadnemu z nich się nawet nie przyśniło [śmiech]. Chodziliśmy z nosem zadartym. Patrę na góry, a tu jest moja droga, a tam droga Palanta. Patrzyliśmy z tej samej werandy, ale ten ceper nic nie rozumiał z tego widoku. Dla niego to był taki landszaft, a dla nas każdy punkt to jakaś informacja. Mieliśmy też swoje zasady, na przykład nie należy eksponować sprzętu. Jak idziesz z liną na wierzchu to znaczy, że jesteś początkujący, niewychowany. Myśmy się z tym kryli. Łąpińska kazała mi się fotografować. Przyjechała ze znajomymi, a oni koniecznie chcieli mieć zdjęcie z taternikiem. Wyciągnęła linę i czekam, ja miałem to trzymać, a oni stali koło mnie. Okropnie się czułem, jak niedźwiedź z Krupówek.

Góry i środowisko taternickie – czy stało się to osią Twojego życia?

To jest takie literackie podejście. Nigdy nie jest tak, że są tylko góry i nic więcej. Łączymy tę pasję z normalnym życiem, żona, dzieci, teściowa. Ja zawsze kombinowałem, jak tu brać urlopy. Zresztą to był też argument, żeby pracować na uczelni, bo tam się ma dużo czasu. Góry determinowały moje życie, ale miałem też to normalne życie poza górami. Wielu porzuca wspinanie dla kariery. Ja stałem jedną nogą w zawodzie, a drugą w górach. I to było bardzo wygodne, bo jak ponosiłem jakieś porażki w jednej dziedzinie, to uciekałem do drugiej. Tylko racjonalne podejście do życia może uchronić przez brakiem równowagi pomiędzy górami a życiem.

GÓRY

CZYTAJ NA
URZĄDZENIACH
MOBILNYCH



dostępne na:





USZBA RAZ

levgen Obraztov



USZBA DWA

WERSJA KRÓTKA

Odbył się wyjazd w Kaukaz Południowy. W wyniku wielokrotnych dramatycznych zmian w ostatnich chwilach, zarówno plany, jak i zespół uległy zmianie. Uszba była dla nas pierwszym doświadczeniem wysokogórskim. Połączenie tego faktu oraz nieprzewidzianego charakteru i trudności wybranego szczytu zaowocowało przerażającą ilością przygód. Szczyt został osiągnięty. Wpuścił i wypuścił. Żadne zwierzę nie ucierpiało. To jest najdłuższy tekst, który pisałem po polsku.

WERSJA PEŁNA

Dusza prosiła o próbę i góry wysokie. Zaplanowałem wyjazd metodą kupna biletów lotniczych, a partnera znalazłem na forum klubowym. Później dołączył się do nas Wasyl, którego poznałem w Tatrach i miałem okazję zrobić z nim kilka dróg. Generalnie, ideą było zyskanie wspinaczkowego doświadczenia w górach wysokich bezpiecznie, dla tego umówiłem się z ukraińskim instruktorem wspinaczki wysokogórskiej. Im bliżej był jednak wyjazd i więcej szczegółów odkrywałem, tym mniej się chciało wspinąć w stylu radzieckim. Pomysł ostatecznie odpadł po tym, jak dowiedziałem się o obowiązkowej taktyce na drogach trudnych, czyli ciekawych: jeden się wspina, reszta małpuje.

Krótko przed wyjazdem Arek (jedyne z nas z doświadczeniem wysokogórskim) zrezygnował z poważnych powodów, co miało różne skutki. Po pierwsze, okazało się że nie trzeba szukać grubej liny na szybką trójkę, ale szturmowy namiot. Po drugie, łatwiej z taktyką i nie ma walki o przejście kluczowego miejsca. Czyli zdecydowaliśmy się na najbardziej ryzykowny, ale ciekawy sposób zdobycia doświadczenia: na własnej skórze w dwójce. Byliśmy jednak dobrze przygotowani: moi nauczyciele wspinaczki wysokogórskiej to Mark Twight, Will Gadd, Andy Kirkpatrick i wielu innych autorów książek, a Wasylowi wszystko zamieniała stalowa psycha.

JAK POZNAŁEM WASYLA

Sobota rano, tabor w Dolinie Białej Wody, kuchnia. Lampa po tygodniu ulew. Wybieramy się na Mnicha, reszta ścian jest mokra. Jestem w trójce z klubowiczami. Słyszę głośne narzekania na los po rosyjsku: przez tydzień zespół z Ukrainy próbował pływać wspinąć się, a kiedy zrobiła się lampa, jeden z nich spadł na szlaki i mocno uderzył kolano. Po krótkiej rozmowie okazało się, że ja – to ja (miał z mojej strony wydruki topo i opisów). Wasyl robił dobre wrażenie, a mi się nie chciało wspinąć w trójce, więc natychmiast wystartowaliśmy na Mnich. Na pierwszym stanie odkryłem, że Wasyl – to Wasyl,





Uszba Południowa się gotuje

opis ekstremalnych wspinaczkowych przygód, którego mam w wybranym na Risk.ru. Wspólne wspinanie poszło wyśmienicie, całkowite porozumienie przełożyło się na minimalną komunikację głosową, a padać zaczęło akurat z pierwszym łykiem piwa pod schroniskiem. Przy tym browarze mówiliśmy o wspólnej wspinaczce w przyszłości.

WASYL I SZPEJ

Dzięki stalowej psysze, szponie i zasadzie, że wszystkie piegiądzę mają być wydane na podróże wspinaczkowe, Wasyl ma szpej jak z karykatury „Alpinista 45-lecia PRL” – poza liną i kośćmi bałem się tego dotknąć. Na dodatek, szpeju na prowadzenie bierze o połowę mniej niż ja (w tym liny). Pięć friendów bardzo różnego pochodzenia, w tym ukraińskie za 10 USD i znalezione na drogach, i siedem kostek starcza mu na każde trudności. Ewentualną jedynkę w trudnościach 7a po prostu wkłada w rysy lub wbija dużą kostką.

PLANY

Pół roku przed wyjazdem sportowo i w dobrym stylu poprowadziłem palcem po mapie dziesięć dróg w masywie Szchary i Uszby. To był plan wyjazdu. Zebrałem wszystkie dostępne informacje o drogach, szczytach, typowej taktyce, podej-

ściach i dojazdach. Rzeczywistość jednak rażąco się różniła od marzeń i opisów. Gruzja – to przygoda sama w sobie, łatwo o połamanie każdego planów.

Diamentem wyjazdu miała być Szchara Główna południowym filarem z powodu pożądanej wielkiej skali, oczywistego przebiegu, głośnej nazwy szczytu, dostępnych opisów i dużego obozu wspinaczy z Ukrainy, z którymi zamierzałem umówić się o wspólne ratownictwo w razie potrzeby. Były jednak pewne wątpliwości. Po pierwsze, doświadczony kolega opisał otaczające Szcharę czterotysięczniki jako „bezlansowe bąble”. Po drugie, już na miejscu oceniliśmy skalę podejść i wagę plecaków na te podejścia i dostępny czas. Obawialiśmy się, że stracimy na te „bezlansowe bąble” za dużo czasu i nic ciekawego nie zrobimy.

Dwuurogi szczyt Uszby w środowisku wspinaczy jest symboliczny i ma półmityczną reputację. Najbliższym odpowiednikiem w Alpach byłby Matterhorn. Uszba jest tak samo fotogeniczną górą, na niej narodziło się w tej części świata wspinanie wymagające technicznie. Na południowy i północny szczyty prowadzi około 70 dróg, z których tylko dwie najłatwiejsze, ale niebezpieczne mają wycenę 45 (szacunkowo – alpejskie

D). Reszta dróg jest oceniana jako bardzo trudne i ekstremalne (TD i ED). Na dodatek Uszba ma bardzo nieprzewidywalną pogodę. 1700 m deniwelacji pomiędzy podstawą a szczytem robią z niej atrakcyjny punkt dla wspinaczy. Szabat Czarownic – jedno z tłumaczeń nazwy, trafnie charakteryzuje szczyt.

Bąłem się jej jako góry mocno ekstremalnej sportowo, natomiast nie czułem specjalnego szacunku jako do góry. Przygotowałem opis trzech dróg na Uszbe: klasyczną, pełny trawers i Drogę Gabriela na południowy szczyt. Ta ostatnia jest najtrudniejsza i najbardziej techniczna z wybranych, ale ma najprostsze podejście. Wasyl stwierdził, że wspinanie na trudny szczyt najłatwiejszą drogą się nie zalicza, z czym się zgodziłem.

Lato było nietypowo gorące, śnieg i lód się wytopiły, wszędzie był niebezpieczny parch. Dlatego zdecydowaliśmy zacząć od czegoś ciekawego zamiast rozgrzewki na czymś prostym i niebezpiecznie parchatym. Wasyl miał nastrój na walkę z ekstremem i nasz wniosek po wyjściu aklimatyzacyjnym był jednoznaczny – rezygnujemy z łatwych dróg. Na miejscu okazało się, że Uszba ma znacznie łatwiejszą logistykę, ma zasięg GSM (nie mieliśmy radia) i jest bliżej do ratowników.

CHOLERNA ROZGRZEWKA

W Mestii ostatecznie postanowiliśmy zaczynać od Uszby, mając skromny zamiar trawersu obu szczytów od północy. Spotkany ukraiński instruktor alpinizmu namówił nas na dodatkową aklimatyzację lekkim spacerem po lodowcu Alaczi (nieśpieszne podejście pod Uszbe Północną jest niezłą aklimatyzacją). Pierwszy dzień spaceru po Alaczi skończył się prowadzeniem z plecakami w pionowym lodzie w górę i w dół, trawersami, zjazdami i żywcowaniem w prostszym terenie. Drugi dzień – ucieczką od burzy z przełęczy ze „śpiwającym” metałem. W ten sposób odkryliśmy, że nie każda porada doświadczonej osoby jest dobra, a również że nie jest to sezon na drogi lodowe na Kaukazie Południowym. Uznaliśmy, że podejście pod Uszbińską Poduszkę rozerwanym lodowcem, lodowa grań pn. szczytu i przełęczka będą zbyt niebezpieczne. Rezygnowaliśmy z trawersu na korzyść Drogi Gabriela, która jest trudniejsza, ale wyglądała na bardziej przewidywalną (niby). Jestem szczęśliwy, że nie wybraliśmy wtedy trawersu.

USZBA RAZ

Pierwsza próba była horrorem. Nie byliśmy wystarczająco zaklimatyzowani, wzięliśmy mało jedzenia (bo ciężkie), ka-

mienie z wylotu żlebu nad głową z ohydny dźwiękiem latały co chwilę, nie zawsze mieliśmy gdzie się schować. Nerwy napięte jak smyczki. Jednak nie tak mocno jak mogło być, byliśmy jak dzieci: „Chyba w górach wysokich zawsze tak jest, napieramy szybciej!”. W ciągu godziny w dolnej części drogi przeleciało obok mnie więcej gruzu niż przez cztery lata wspinania w Tatrach.



Nagłymi jak biegunka szarpnięciami przebiegliśmy pomiędzy odsłoniętymi miejscami do żeberka. Na „bezpiecznym żeberku” dostałem kolejną salwę kalibru bagażu ręcznego wprost na stan, ale to było już nie tak strasznie, jak leżeć w środku gładkiej depresji.

Szerokie pole tłuczonego kamienia na wylocie z wielkiego żlebu





Nocleg na półwyspie, luksus

Nocleg mieliśmy obok wylotu z dużego żlebu, który bez przerwy rzygał. Sam teren wyglądał jak powierzchnia Księżyca – wszędzie był drobno tłuczony parch. Jednak te kamienie były ukierunkowane nieco do strony, w namiot kilka razy trafiały tylko kawałki tłuczonego kamienia. Spaliśmy w kaskach, przypięci do stanu.

Pod koniec drugiego dnia doszliśmy do miejsc noclegowych na południowej grani – bardzo wygodny biwak, jednak trudno z wodą (lodem). Rano startowaliśmy na kluczowe miejsce. To mogłoby być pięknym pionowym wspinaniem w pionowych rysach około 6b, jeśli nie ciekłaby po nim lodowata woda lub nie było ono pokryte cienką lodową polewką. Ściana z każdej strony jest lekko przewieszona, więc na głowę lało się bez przerwy.

Oczywiście nie mogło tak prosto puścić. Wasyl założył buty wspinaczkowe i poszedł klasycznie w tych lodowatych strumieniach bez plecaka. Ja szedłem na drugiego klasycznie/A0/byłe jak. Jeszcze trochę i oczy wyskoczyłyby od napięcia! W międzyczasie przemoczyło nas do gaci. I to był dopiero początek przygód. Zaczęła się mocna ulewa, która zamieniła się w grad, który zasypał chwyt, a temperatura spadała i wszędzie



Stan odpowiada stopniu wyprania

zrobił się lód. Wypadliśmy na półkę pod mały namiot, szybko go ustawiliśmy (nigdy później tak szybko się nie dało). Zaczęła się burza. Byliśmy wciąż poniżej grani szczytowej, otoczeni z trzech stron turniczkami. W te turniczki nad głową zaczęły walić pioruny. Więc miejsce na namiot było bardzo dobre: działała instalacja odgromowa. Skupiliśmy się na topieniu lodu i suszeniu rzeczy.

Rano okazało się, że cała reszta drogi zrobiła się mikstowa. Bardzo trafnie wzięliśmy po jednej dziobie. Trzeba było próbować. Wyszedłem na grań szczytową, wyciąg był podobny do tatrzańskiego III+, ale z jednym aztareksem. Rozpocząłem drugi, trudniejszy. Zbyt powolnie... Brak jedzenia, przemoczzone śpiwory, półtora dnia wycofu nieprzyjemnym terenem, 15 m repu na, jak się okazało, 25 zjazdów.



Zjeżdżamy z grani szczytowej, w tle - nasz namiot

Szczęśliwie znaleźliśmy 60 m świeżej liny rozciąętej w środku kamieniem, zostawione karabinki z wyrwanym hakiem. Ktoś miał znacznie gorsze przygody, nie chce się myśleć jakie i jak się skończyły. Zjeżdżaliśmy przez półtora dnia na czczo, cała próba zajęła nam 5 dni z podejściem i powrotem do wylotu doliny.

USZBA DWA

Decyzja o drugiej próbie padła nie szybko. Nie byłem gotowy na powtórzenie takiej przygody tuż po smacznej kolacji. Wasył jednak chciał dokończyć rozpoczęte, a ja rozumiałem, że szansa na Szcharze jest niższa niż na już „nadgrzycznej” Uszbie.

Zrobiliśmy dobrą pracę nad błędami, już z szacunkiem do góry. Opracowaliśmy lepszą taktykę, wzięliśmy właściwą ilość jedzenia (na zjazdy nie planowaliśmy), po dwa czekany, wystarczająco liny do pętli zjazdowych. Zaplanowaliśmy dzień odpoczynku po podejściu. Natomiast po aklimatyzacji i rozpoznaniu się z szlakiem podeszliśmy znacznie szybciej, a groźne prognozy pogody zmotywowały, by startować niezwłocznie.

Wydawało nam się, że za drugim razem będzie łatwiej, jednak okazało się, że zupełnie nie. Mielśmy wystartować o czwartej, ale mocna ulewa spowodowała opóźnienie o godzinę. Dalej wszystko poszło zgodnie z planem, ale na styk z rozkładem lotów kamieni. Tym razem potrafiliśmy skończyć niebezpieczne kawałki akurat minutę lub mniej przed tym jak tam zaczynało walić.

Mielśmy dobry czas i postanowiliśmy ominąć miejsce pierwszego noclegu. Do następnego znanego biwaku były cztery godziny wspinania. Poszliśmy nieco w lewo od linii poprzedniej próby, szukając żlebu z opisu, którego nie mogliśmy namierzyć w pierwszej próbie. Wasył przetraversował wylot z „rzygającego żlebu”, który tym razem działał rzadko i oszczędnie. Było cicho. Wasył zrobił stan i w tym momencie zaczęły lecieć „oszczędzone” kamienie. Rozpędzone arbuzy leciały przez całą szeroką depresję, w której poprzek była naciągnięta nasza lina. Szczęśliwie mieliśmy bezpieczne miejsca, akurat mieszczące jedną osobę każde. Moje było na tyle małe, że mogłem dociągnąć się do tych arbuźów ręką. Nasza lina miała 50 m po pierwszej próbie i przypadkowo nie została skrócona w drugi raz.

Wieczorem przed pierwszym cruksem zmieniłem Wasylą. Powyżej pionowej ściany miało być miejsce biwakowe, w które nie udało nam się wycelować w pierwszej próbie. Zrobiłem pionową ściankę łatwiejszą dostępną opcją w dudniących odstrzelonych blokach, wywalając telewizor. Szukając łatwego przejścia w trudnym terenie, trafiłem akurat na ten szukany biwak, co było bardzo pocieszające w nadchodzącym zmroku. Na dodatek, nad biwakiem była duża buła i kamienie wylatu-

jące ze żlebu używały jej jako skoczni, bezpiecznie przelatując 10-15 m nad nami.

Na drugi dzień krawędzią kruchego żlebu wysłiliśmy na szerokie i pochyle południowe żebro, kruszczynę, której nie potrafiliśmy opisać brzydkimi słowami po polsku.

Główny żleb w pobliżu wyjścia na południową grań (pierwsza próba)



W środku dnia zrobiliśmy przerwę i oceniliśmy zmienną prognozę pogody. Rozważaliśmy kontynuację wspinania przez noc do szczytu, ponieważ kolejnego dnia od rana obiecano 10-15 mm opadów. Jak wyglądają 3 mm już wiedzieliśmy, jak to jest w przypadku 10-15 mm, nie chcieliśmy sprawdzać na sobie.



Wasył w kluczowym miejscu, robionym trudną opcją

Pod kluczowym miejscem byliśmy dość wcześnie i przeszliśmy je znacznie szybciej. Wasył nie chciał drugi raz prowadzić w strumieniu wody, dlatego wybrał trudniejszą, jednak relatywnie suchą opcję. Nie sądzę, żeby kiedykolwiek ktokolwiek tam prowadził klasycznie. Najtrudniejszy wyciąg Wasył zrobił w butach wspinaczkowych, kolejny łatwiejszy VI/VI+ już w górskich. Do ukłasyzczenia kruksa zabrakło jednego ruchu, który poszedł A0. Jego wycena trudniejszego odcinka to F7a, przemałpowałem to przewieszenie używając reversa w autobloku i prusiku.

Tym razem wspinałem się bez rękawic, które zaczęły się rozpadać. Po odcinku w strumieniu wody, którego nie dało się całkowicie ominąć, dostałem screaming barfies. Wasył też był przemoczony i zmęczony. Zmieniliśmy się, zrobiłem dwa ostatnie wyciągi do już znanej półki biwakowej pod granią. Déjà vu. Byliśmy znów wyprani. Co robić dalej, nie zastanawialiśmy się: picie, jedzenie, sen. Tylko przekłęty namiot zepsuł każdemu z nas nieco krwi – był to Hogan Ultralight, leśny namiot wymagający licznych śledzi. Ustawialiśmy go na wietrze przez półtorej godziny, skacząc nad czeluścią.



Gloria w pobliżu szczytu

Przeczekaliśmy dzień opadów, od południa i przez całą noc szalała burza, dziękowaliśmy sobie, że nie byliśmy na grani. Od rana znów déjà vu: widok z namiotu był zupełnie inny niż wieczorem, wszędzie śnieg i lód. To był mój dzień – dziaby w ręce, atak! Tylko znów jakoś nie czułem palców na nogach. Wróciłem do namiotu, odpaliłem palnik i przez pół godziny je odgrzewałem. Skutecznie. Zaczęłem się wspinać. Dwie dziaby zamiast jednej – to ulga! Po robionym już kominku, kolejny wyciąg trudny i straszny: pion, brak asekuracji, brak chwytów, równowaga. Robiłem to długo, ale z każdym ruchem przychodziła pewność siebie. Mogę!

„Lodowa” grani szczytowa



Z kilku powodów nie wzięliśmy wody i jedzenia: po pierwsze, jedzenia już nie było, po drugie, oczekiwaliśmy szybkiej akcji. Kiedy pomyślałem, że to już koniec trudnej wspinaczki, zaczęły się kruche i niezmrożone niespodzianki. Podobno kiedyś w tym miejscu grani był komfortowy lód, ale nie teraz – ani asekuracji, ani obciążać dziabę. Uratował mnie kawałek lodu i jedynka z kieszeni. Przy wyjściu na grani pod szczytem góra w końcu nas przyjęła: dalej z wielu różnych możliwości nam trafiały się wyłącznie najlepsze. Szczyt był pomiędzy dwóch warstw chmur, mieliśmy ciepło i słońce, przed szczytem zobaczyliśmy glorie, symbolicznie.

Ze szczytu oceniliśmy podejście pod drogę klasyczną uszbińskim lodowcem i ucieszyliśmy się, że nie poszliśmy tamtędy. Również północna grani południowego szczytu i przełęczka okazały się nieasekurowalnym parchem. W końcu zaczęliśmy zjazdy, których było do podstawy

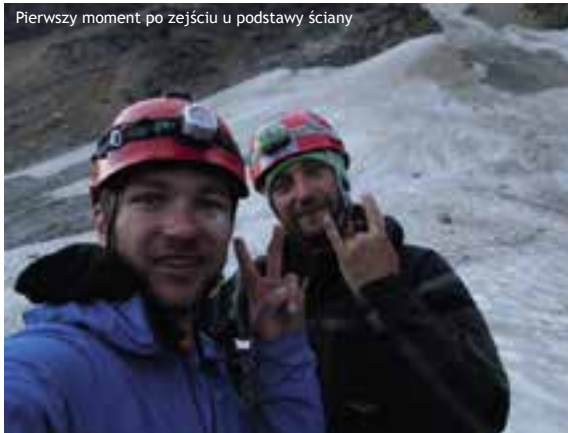
Na szczycie, widok na północny szczyt



ściany około trzydziestu. Większość stanowisk była na dużych, ale luźnych blokach. Wróciliśmy do namiotu po zmroku. Ostatni zjazd na grani był niezapominany dzięki temu, że stan ruszył.

Od rana na czczo zaczęliśmy zjazdy. Dzięki pętłom z poprzedniej próby mieliśmy część stanowisk. Lina po pierwszej próbie była uszkodzona i odcieiliśmy dziesięć metrów, dla tego musieliśmy zrobić kilkanaście nowych stanowisk. Przygód prawie nie było, tylko na stan przyleciało trzy melony jeden z których trafił, odskakując od stanu w Wasyla, i tego że tydzień później kolejny (trzeci)

Pierwszy moment po zejściu u podstawy ściany



zespół wyrwał nasze stanowisko z jednego haku. Przy zjazdach najbardziej niebezpiecznym terenem kamienie się wyłaczyły. Napięcie psychiczne odpuściło tylko na lodowcu. Dalej generalnie jedliśmy i piliśmy wino. Zaczęliśmy w samochodzie w drodze do Mestii, litr piwa z chlebem ułożył nas na trzy godziny. Jeśli są aniołowie stróże, to mój w tym wyjeździe zrobił się swiwy, bo Wasyla już dawno był.

A co, jeśli bym jechał tam wiedząc to, co wiem teraz?

1. Robiłbym to na początku lipca.
2. Umówiłby się na dojazd do Mestii i ewentualny nocleg w Tbilisi przed wyjazdem telefonicznie.
3. Wszedłbym na luzie (bez napinki, niesportowo, leniwo) najpierw na Tetnaldi (~4800 m) lub Kazbek, robiąc ekstra dwa noclegi powyżej 4000 m.
4. Wziąłby syntetyczny śpiwór i szturmowy (za pochodzeniem) namiot.
5. Brałby gaz i jetboil, nie patrząc na cenę i dostępność gazu. Jakis patent na ogrzewanie kartuszu jest obowiązkowy.
6. Bardzo szybkie wejście na Uszbę to dwa dni do góry i jeden pełny dzień w dół. Dlatego pierwszy nocleg ma być po miejscu kluczowym lub bezpośrednio przed nim.
7. Przecwiczylbym z partnerem chodzenie na lotnej w słabo-asekurowanym terenie.
8. Brałbym tylko 120-centymetrowe pętla na tradowe ekspresy i dwie o długości 240 cm na stany.
9. Mówiłbym wszystkim, że iść na Uszbę bez doświadczenia gór wysokich jest strasznym absurdem!

DREAMS OF INFINITY

Łukasz Lewczuk

– To co robimy? Wycofujemy się? – pytam z wyraźną złością w głosie. We trzech stoimy na stanowisku drogi *Dreams of Infinity*, na jednej ze ścian góry Monte Brento znajdującej się we Włoszech, nieopodal miejscowości Arco.

– W takim tempie nie mamy szans, żeby skończyć drogę przed zmrokiem. – Krzysiek z Jarkiem są zgodni.

Zerkam na zegarek. Jest kilka minut po 12. Południe. Pogoda jest super. Świeci słońce. Temperatura ok. 20° C. Warunki idealne do wspinania. Patrzę w dół. Pode mną, do piargów u podstawy ściany około 300 m ściany, których pokonanie kosztowało nas już sporo wysiłku. Niezła ekspozycja. Patrzę do góry. Widzę tylko skały znajdujące się bezpośrednio nade mną, oraz wysoko w górze kawałek przewieszenia stanowiącego prawdopodobnie zwieńczenie całej ściany. Ze schematu wynika, że zrobiliśmy dopiero trochę ponad jedną trzecią długości całej drogi. Nad nami jest jeszcze około 500 m ściany i główne trudności. . .

Niechętnie, ale muszę się zgodzić z kolegami. Na ostatnim wyciągu znowu straciliśmy zbyt dużo czasu po tym, jak po raz kolejny trafiliśmy na „zapych”. Tym razem było wyjątkowo perfidnie. Po około 40 m wspinania minąłem stanowisko, którego nie zauważyłem, bo było schowane 2 m z boku w niży i poszedłem do góry. . . po spitach, które niespodziewanie skończyły się po 10 m. Nade mną została tylko gładka płyta. . . Zamykam na chwilę oczy i oddycham głęboko.

– Trudno. . . – mówię. – Widocznie duże ściany nie są jeszcze dla nas. . . Zjeżdżamy!

Do Arco we Włoszech przyjechaliśmy w ostatnim tygodniu września. Nie było to miejsce, do którego początkowo planowaliśmy jechać, ale pogoda w bardziej górskich rejonach Zachodniej Europy (Alpy, Dolomity) już od początku miesiąca nie sprzyjała wspinaniu. Obserwując prognozy, przesuwaliśmy wyjazd z tygodnia na tydzień, licząc na poprawę warunków atmosferycznych. Prognozy wciąż nie były jednak przychylne naszym planom, a zbliżający się nieuchronnie koniec okresu letniego spowodował podjęcie decyzji

o wyjeździe do Arco. Oczywiście wspinanie w tym rejonie miało się odbywać tylko na drogach wielowyciągowych.

Następnego dnia po przyjeździe na miejsce i zrobieniu rozgrzewkowej, pięciowyciągowej drogi w pobliżu campingu (notabene bardzo ładna droga o nazwie *Marino Stenico* na Monte Colodri, VII) po południu jedziemy na rekonesans. Planujemy wspiąć się na Monte Brento – górę posiadającą jedne z największych ścian w tym rejonie. Wybraliśmy tam drogę, która stanowić będzie dla naszego trzyosobowego zespołu duże wyzwanie: *Dreams of Infinity* (800 m, 20 wyciągów, VII). Takiej długiej drogi jeszcze w górach nie robiliśmy. . .

Pod ścianę według opisu w przewodniku można dostać się na dwa sposoby: podchodząc od dołu (2,5 h) lub schodząc z góry do podstawy (1 h). Wybieramy wariant drugi. Tak będzie szybciej i łatwiej: pod drogę będzie z górki, a po wspinaniu powrót do samochodu po płaskim. Jedziemy do miejscowości San Giovanni (około 40 min podjazdu z Arco) i znajdujemy drogę przez las do skraj urwiska, skąd rozciąga się wspaniały widok na całe Monte Brento i naszą ścianę. W dół urwiska prowadzi ścieżka, którą należy zejść, a następnie podejść pod samą ścianę. Dzisiaj nie będziemy schodzić w dół. Wydaje się, że nie powinno być problemów ze znalezieniem dalszej drogi, nawet po ciemku.

Budzik dzwoni o 3 w nocy. Jest ciepło i bezchmurnie. Jemy śniadanie. Dopakowujemy sprzęt. Brama campingu jest zamknięta, ale my zostawiliśmy samochód na zewnątrz. Do San Giovanni prowadzi nas nawigacja. Wjeżdżając po wąskich, krętych serpentynach możemy obserwować piękną, rozświetloną licznymi światłami nocną panoramę Arco. W miarę jak wjeżdżamy coraz wyżej, temperatura spada o kilka stopni. W San Giovanni termometr w samochodzie wskazuje +8° C. Zimno. . . Idąc szybkim marszem przez las rozgrzewamy się jednak momentalnie. Dobrze, że wczoraj zrobiliśmy rekonesans. Po ciemku ciężko byłoby odnaleźć czerwone znaki na drzewach i kamieniach wskazujące drogę na skraj



Ściany Monte Brento. Fot. Łukasz Lewczuk.



Skorpion pod ścianą. Fot. Łukasz Lewczuk.

urwiska, a droga kilka razy się rozwidła. Po przejściu przez las zaczynamy schodzić ścieżką w dół urwiska. Jest wąsko, stromo i ślisko. Podłoże to czarny piach i kamienie. Trzeba łapać się korzeni i kępek trawy. Po pewnym czasie musimy wykonać jeden zjazd (na skale jest ring zjazdowy). Dalej idziemy nikiłą ścieżką wśród kamieni, krzaków i drzew, aż dochodzimy do piargów pod naszą ścianą. Szybko znajdujemy miejsce, które wypatrzyliśmy wczoraj, a które wydawało nam się być startem do naszej drogi. Podejście zajęło nam 1,5 h (o pół godziny więcej niż jest to opisane w przewodniku).

Las i urwisko – widok na teren, którym wiedzie droga podejściowo-zejściowa pod ścianę. W dole szosa Arco-Sarche. Panorama z okolic szczytu Monte Brento. Fot. Łukasz Lewczuk.



Miejsce, z którego zjeżdżaliśmy w czasie podejścia pod ścianę. Fot. Łukasz Lewczuk.



W czasie szpejenia się zauważamy pomiędzy kamieniami dwa skorpiony... Tego się nie spodziewaliśmy... Trzeba uważać. Krzysiek rusza do góry. Wciąż jest ciemno. Droga powinna być obita – tak jest w opisie. Szukamy więc spitów. Krzysiek przechodzi do góry około 40 m łatwym terenem, jednak nie znajduje żadnego spita... To chyba nie to miejsce. Idzie trochę w lewo, trochę w prawo. Nic. Schodzi. Przechodzimy pod ścianą trochę w bok. Znajdujemy na skale napis: *Boomerang*. Cholera. Tak więc nasza droga powinna startować jeszcze dalej. Przechodzimy dalej i szukamy spitów lub jakiegoś śladu na skale. Nie ma nic. Zaczyna robić się jasno. Krzysiek startuje do góry po raz kolejny. Może wyżej coś będzie... Niestety po przejściu kilkudziesięciu metrów schodzi na dół. Coś jest nie tak... Po raz trzeci wchodzi w skalę w miejscu pomiędzy napisem *Boomerang* a poprzednią próbą. Znowu nie ma żadnych spitów. Przechodzi w bok. W końcu słyszymy: „JEST! Jest stanowisko!”. Szybko dochodzimy do niego kruchym terenem za około III–IV, w którym Krzysiek nie miał nawet możliwości założenia żadnej asekuracji. Na skale znajduje się napis: *Dreams of Infinity*. Jest też spit stanowiskowy. Powyżej widoczny jest rząd spitów. Jest to dopiero pierwszy wyciąg naszej drogi. Nigdy byśmy się nie domyślili (i nie wynika to również ze schematu), że droga startuje dopiero około 40 m nad ziemią. Minęła już ósma. Zrobiło się widno, a na niebie co chwila pojawiają się spadochroniarze – B.A.S.E. jumperzy, którzy skaczą z głównego spiętrzenia Monte Brento. Początkowo słychać świst przypominający odgłos spadającego kamienia, a po chwili odgłos grzmotu, który wydaje otwierającą się czasza spadochronu. Możemy obserwować podniebne ewolucje na otwartych spadochronach i wybór miejsca lądowania. Krzysiek prowadzi dalej. Pierwszy wyciąg ma wycenę V+ i jest to fajne, czujne wspinanie na tarcie po gładkim, lekko poługim slabie.

Kolejne wyciągi posiadają trudności od IV do VI. Spity są tylko tam, gdzie jest trochę trudniej i krucho (a miejscami jest bardzo, bardzo krucho...), więc musimy często ich szukać chodząc

w lewo i prawo. Tracimy na tym sporo czasu. Droga miejscami biegnie trawersami. Tam, gdzie na schemacie jest narysowane malutkie odchylenie, to w rzeczywistości trzeba iść w bok nawet 20 m. Cały czas szukamy spitów, bo tylko one wskazują nam dobry kierunek w tej wysokiej na kilometr i szerokiej na kilkaset metrów ścianie. Ogrom ściany robi na nas duże wrażenie. W zasadzie nigdzie nie ma możliwości, żeby dołożyć własną asekurację. Krzysiek prowadzi siedem wyciągów, później ja przejmuję prowadzenie. Robię ładny wyciąg za VI+ i zapycham się, wprowadzony w błąd przez spity ponad stanowiskiem. Wspólnie podejmujemy decyzję o odwróceniu...

Wycof i powrót do samochodu nie okazały się czystą formalnością. Poza tym, że na jednym ze zjazdów zaklinowała nam się lina, nie mogliśmy jej ściągnąć po zjeździe i trzeba było około 50 m prusikować do poprzedniego stanowiska to jeszcze powrót ścieżką, którą w nocy dostaliśmy się zjazdem pod ścianę, okazał się nie lada wyzwaniem. Teraz trzeba było wspiąć się do góry bardzo kruchym terenem bez żadnej asekuracji. Stroma, śliska ścieżka, którą schodziliśmy po ciemku w świetle słonecznym okazała się bardzo eksponowana i niebezpieczna. W nocy nie było widać jak to wszystko wygląda. Potem powrót przez las i około 40 min jazdy samochodem. Na



Zjeżdżamy. Wycof po nieudanej próbie na Dreams of Infinity. Fot. Łukasz Lewczuk.

kempingu byliśmy po godzinie 18, żli chociaż z przekonaniem, że podjęliśmy właściwą decyzję.

Postanowiliśmy nie wracać na *Dreams of Infinity*. Krucho, niebezpiecznie... Wspinamy się zbyt wolno.

Cztery dni później budzik dzwoni o 2:30. Noc jest ładna. Świecą gwiazdy. Okazało się, że po nieudanej próbie na Monte Brento każdy z nas czuł spory niedosyt i myślał o powrocie w tamto miejsce. Po zrobieniu kilku łatwiejszych i krótszych dróg podjęliśmy decyzję o powrocie na *Dreams of Infinity*.

Wariant podejściowy pozostał bez zmian. Pierwsze dwa wyciągi robimy jeszcze po ciemku przy światłach czołówek. Tym razem ja prowadzę pierwszą część ściany. Idzie nam sprawnie. Wyciąg, po zrobieniu którego wycofaliśmy się poprzednim razem, prowadzi już Jarek. Szybko przechodzi tę długość liny i wspina się dalej. Wchodzi w bardzo kruchy komin (dwa wyciągi). Trudności za VI i IV. Gęsto obite, lecz trzeba się dwa razy zastanowić zanim się czegoś złapie, żeby za chwilę z tym nie polecieć. Dochodzimy do trawersu za VII (połowa drogi). Trzeba przejść po długim, poziomym pęknięciu w skale porośniętym kępami trawy. Chwyty brak. Z półki następuje przejście do ładnych, litych odpękniętych płyt, którymi wspinamy się do góry, do stanowiska. Dalej kolejny kruchy komin (wyciągi za V i IV) i trochę mniej kruche poлогіe słaby (trudności od V do VI). Znowu prowadzi Krzysiek. Pokonujemy kolejne długości liny i dochodzimy do dwóch następujących po sobie wyciągów za VII. Koniec drogi jest w zasięgu ręki! Prowadzenie przejmuję Jarek. Jarek wspina się dużo lepiej od nas, wyciąg za VII nie stanowi dla niego żadnego problemu. Idzie szybko i pewnie. W pewnym momencie słyszymy: „Teraz uważajcie. Muszę zaryzykować”. Chyba rzeczywiście jest trudno... Po chwili Jarek wykonuje długi ruch do chwytu i... idzie dalej. Jeszcze kilka wpinek i jest już przy stanowisku. Teraz moja kolej. Jest trudno, ale idzie mi dobrze. W trudnym miejscu rzeczywiście trzeba było wykonać strzał do małego chwytu, przy czym nogi stały tylko na tarcie. Był to bez wątpienia najładniejszy wyciąg na całej drodze. Lity i bardzo estetyczny. Piękne wspinanie! Kolejny wyciąg również



Krzysiek prowadzi wyciąg za VI. Fot. Łukasz Lewczuk.



Zjeżdżamy. Wycof po nieudanej próbie na Dreams of Infinity. Fot. Łukasz Lewczuk.



Początek wspinania podczas drugiej próby. Fot. Krzysztof Lewczuk.

Wspinanie w górnej części ściany. Fot. Łukasz Lewczuk.



Wspinanie w kruchym terenie. Fot. Łukasz Lewczuk.



Kluczowy - piękny wyciąg za VII. Fot. Jarek Zdanowicz.

Powrót do samochodu. Fot. Łukasz Lewczuk.



wyceniony na VII nie był już tak ładny jak poprzedni, gdyż był bardziej kruchy. Wydawał się także, pomimo takiej samej wyceny, dużo łatwiejszy. Ostatni wyciąg, na którym na samym końcu prawie zrzuciłem na siebie kawał skały wielkości telewizora, wyprowadził nas na stromą ścieżkę już w lesie. Droga została zrobiona. Powrót do samochodu to była już czysta przyjemność! Schodząc, podziwialiśmy piękne widoki otoczenia doliny Sarca.

Czas naszego przejścia nie robi zbytniego wrażenia. Wspinaczka zajęła nam 10 h, jednak dla nas była to pierwsza tak duża ściana. Żaden inny zespół nie wspinął się tego dnia w tym rejonie. Byliśmy sami. W ścianie była cisza i czuło się wielką przestrzeń. Klimat tego miejsca przypominał klimat prawdziwego rejonu górskiego. Przeżyliśmy prawdziwą górską przygodę i zdobyliśmy kolejne doświadczenia.

OJOS DEL SALADO

Andrzej Kurowski

W styczniu ubiegłego roku spędziłem trzy tygodnie na argentyńskiej Puna de Atacama i chociaż widziałem różne górskie rejony Ameryki Południowej, to kiedy na co dzień w miejskim tłoku pomyślę o Andach, przypomina mi się właśnie to pustynne i kompletnie bezludne miejsce.

Odległości mogą mylić - jeszcze dzień podejścia pod górę

Kiedy w młodości zaczytywałem się literaturą górką i zetknąłem z opisami polskich przedwojennych wypraw andyjskich, mocno się dziwiłem – jeździć w góry, gdzie prawie nie ma śniegu, brak wody? Nie ciągnęło mnie to zupełnie. Aconcagua – o, to zupełnie coś innego – lodowce, ściany, więc po latach tam pojechałem. Potem zobaczyłem Puna de Atacama z okien samochodu, z daleka, przejazdem. Jeszcze pełen rezerwy postanowiłem zobaczyć z bliska. Potem się w niej zakochałem. W pustyni, skałach i piasku? A jednak!

Z technicznego punktu widzenia wejście na jakiegokolwiek szczyt Puna de Atacama to niewiele więcej niż trekking na dużej wysokości. Również na najwyższy – Ojos del Salado (6893 m), o ile trafi na dobre warunki – a takie mieliśmy – można wejść, podpierając się kijkami i nie używając raków. Trudności i urok wyjazdu na Atacamę polegają na możliwości bycia na zupełnym odludziu, daleko od jakichkolwiek przejawów cywilizacji. Po prostu dzicz. A jednocześnie dzicz łatwo dostępna,

bo odległa o zaledwie kilkanaście godzin jazdy od tętniącego życiem Buenos Aires. Niestety, zmienia się to w miarę wzrostu populacji Puna, w coraz więcej miejsc (od stosunkowo niedawna nawet do miejsca bazy pod Ojos – aż na 5500 m) można dojechać samochodami terenowymi, koleiny po ich kołach na pustynnym gruncie przypominają ślady księżycowych łazików. Ciągłe jeszcze w ciągu kilku godzin z leżącej u podnóża gór Fiamballi (w którą stronę byś nie wyjechał z miasteczka – pustynia) można znaleźć się wśród krajobrazów jak na Dzikim Zachodzie i to raczej przed przybyciem osadników. To właśnie najbardziej mnie urzekło – przestrzeń i prawie zupełny brak ludzi. Dość powiedzieć, że w czasie dwóch tygodni, jakie spędziliśmy w drodze i pod Ojos del Salado, spotkaliśmy poza naszymi mulnikami tylko dwóch (sic!) wędrowców, bo trudno powiedzieć alpinistów – Francuza i Serba. Również sami byliśmy na szczycie, niższym od bardzo zatłoczonej Aconcagui tylko o kilkadziesiąt metrów, i mieliśmy uczucie, że jesteśmy naprawdę na Dachy Ameryki.



Ostatni odpoczynek pod szczytem Ojos

Do tego zero biurokracji – żadnych permitów, opłat itp. Czy były w tym idyllicznym obrazie jakieś skazy? Były – upał, palące słońce i ból głowy. Ale do tego można przywyknąć.

DLA TYCH, KTÓRZY BY CHCIELI – GARŚĆ INFORMACJI PRAKTYCZNYCH

Kiedy jechać? Lato na półkuli południowej to okres grudzień–marzec. My byliśmy w styczniu i trafiliśmy na znakomitą pogodę, ale wiem od znajomych, że bywa różnie. Dla amatorów zimowej działalności – panują wtedy stale niskie temperatury i wieją silne wiatry, ale według uzyskanych informacji pod koniec sierpnia/na początku września pogoda jest bardziej znośna, umożliwiająca działalność. Wiele szczytów Atacamy nie posiada wejść zimowych.

Taktyka. Ojos del Salado jest dostępny zarówno od strony Chile, jak i Argentyny. Ta druga jest (moim zdaniem) ciekawsza i bardziej urozmaicona. Wjazd warto zaplanować na trzy tygodnie. Wejście na Ojos jest problemem kondycyjno-aklimatyzacyjnym, nie ma trudności technicznych. Klasyczny sposób zdobywania góry to dojazd do Casadero Grande (3500 m), Quemaditos (3700 m) lub Las Juntas (3900 m) i dalszy powolny marsz do Arenal (5500 m), stanowiącej rodzaj bazy. My rozłożyliśmy podejście do Arenal na siedem dni i było w sam raz. Drugi wariant, możliwy od niedawna, to wcześniejsza aklimatyzacja w innym rejonie i całonocny wjazd samochodem terenowym bezpośrednio z Fiambala na Arenal (skorzystaliśmy z niego w drodze powrotnej). Z Arenal da się wejść na szczyt dwa dni z noclegiem na wysokości 5800–6000 m. Woda jest dostępna do Aguas Calientes (4300 m) i dalej ponownie od Arenal. Na dwa etapy: Ag. Calientes–Agua de Vicuña–Arenal, trzeba zabrać ją ze sobą.

Dojazd i transport. Z Buenos Aires komfortowym autobusem nocnym (cama) do Cajamarca i dalej do miejscowości Fiambala zajmuje około doby (równowartość ok. 100 USD). Transport w góry (nie tylko w masyw Ojos) można zorganizować we Fiambala – w zależności od miejsca skąd startujemy (Quemadito – 100 USD, do bazy Arenal – 560 USD za samochód/w jedną stronę). Wynajęcie mułów do transportu bagaży – ok. 30 USD za muła/dzień (biorąc ok. 50 kg ładunku). Wszystko można załatwić u Johnsona Reynoso – człowieka instytucji – jednocześnie najlepszego znawcy Puny.

Noclegi. W Buenos bardzo dużo niedrogich hoteli, np. wzdłuż Avenida 25 de Mayo. We Fiambala warto zatrzymać się w Campo Base prowadzonym przez Ruth Raynoso (niski standard, ale pełna swoboda i obsługa przez firmę rodzinną – nocleg, transport i co jeszcze chcesz).

Żadne pozwolenia nie są wymagane. Ze względów bezpieczeństwa warto się zarejestrować na policji we Fiambala.

Żywność i gaz. Gaz lepiej kupić w Buenos. W Cajamarca jest tylko jeden sklep. Można też zamówić w agencji we Fiambala – będzie trochę drożej. Żywność – markety w Buenos, bardzo dobry na dworcu autobusowym w Cajamarca, we Fiambala małe sklepiki. Jeśli ktoś jest amatorem liofilizatów, musi zabrać z kraju. Wyżywienie w restauracjach – to przeżycie kulinarne, chyba że ktoś jest wegetarianinem, ale z głodu też nie umrze. Piwo i wino – wszędzie dostępne, to ostatnie – lepsze niż europejskie. Ceny zbliżone do polskich lub nieco wyższe.

Przydatna literatura: John Biggar – *The Andes. A guide for Climbers* (również wydanie polskie); Wojciech Lewandowski – kilka pozycji na temat Andów, w tym dotyczące samej Atacamy *Najdziwniejsze góry świata, Puna de Atacama*.

Na szczycie Ojos del Salado



MAKALU '88 PAMIĘTNIK Z WYPRAWY CZĘŚĆ II

Ryszard Kołakowski

02.09

Ich czterdziestu, nas czterech plus doktor, kobiet nie liczę. Mają grube kije, a co poniektórzy *kukri* – my kijki narciarskie i szczyorki firmy Gerlach. Otaczają, nas zwartym pierścieniem. Rozognione twarze, podniesione kije, zaciśnięte pięści. Żądają pieniędzy. Jesteśmy w tzn. Hillary Base Camp, cztery godziny od bazy. Wycykali nas bez mydła. Nie wiem, czyja to wina. Miałem się nie wtrącać do karawany, panie spiszywały umowę. Teraz trzymają się z boku. Stoję przy Zbyszku Skierskim i gorączkowo myślę, co robić. Na razie usiłujemy rozmawiać z co bardziej rozgarniętymi. Ale niektórzy są naprawdę agresywni. Gdybym był Bruce'em Lee lub Schwarzeneggerem, sprawa byłaby prosta. A tak, być zatłuczonym kijami, gdzieś wśród kamieni. Na razie działamy psychologicznie, usiłujemy rozmawiać z prowodyrami, zbić ich z pantałyku. Niestety idzie bardzo opornie. Sedar to figurant, a gide jest po stronie kulisów. Znaleźli się hiszpańscy Szerpowie, którzy byli tu z Pankiewiczem, też nam pomagają, ale wszystko na nic. Prowodyrzy łapią ładunki i biegną w dół. Kiedy idzie bęben z moimi koflachami, zastępuje mu zdecydowanie drogę i rzucam bęben na ziemię. Facet się peszy. Grabienie ładunków zostaje zahamowane, ale kilka zniknęło już za kamieniami. Gominimy za nimi Sedara. Po dłuższej chwili wracają. Sytuacja jest patowa. Znowu krzyki i kije w powietrzu. Nic się nie zmienia.

Trudno, trzeba płacić. Teraz gramy już tylko dla zasady. W końcu dziewczyny idą z pieniędzmi do namiotu, Zbyszek sprawdza i wypłaca, ja przejmuję ładunki. Przegraliśmy. Wiatr i deszcz wyganiają kulisów z bazy. Nie wiem co dalej. Na razie czekam na jedzenie. Ciekawe jak skomentuje to Kacuga.



portret

03.09

Stoimy. Do góry poszedł Zbyszek z Melą oraz czterech porterów. Zostało więc pięćdziesiąt ładunków. Pogoda piękna, świeci słońce, wspaniałe widoki. Leżę w namiocie, głowa napierdala umiarkowanie, apetyt dopisuje. Wmulam więc różne syfy, czekając z utęsknieniem na ciapaty i pełny asortyment żarcia. Z boku dochodzi radosny szczebiot panienek. Wszystko odbija się od nich jak od muru. Słońce, herbatka, fajnie jest, piknik w górach. Dno!

Beztroska i brak koncepcji zaczynają być niebezpieczne. Jeśli akcja górska będzie prowadzona tak chaotycznie i bez koncepcji, to trzeba się będzie chyba odciąć. Ale to też nie jest korzystne. Ładny gips!

Poczekajmy na Tomka. Jutro powinni tu dojść. Na razie pętają się trekersi Scotta. Hiszpanie dzisiaj są w bazie.

Sytuacja organizacyjno-towarzyska jest pojebana totalnie – a to dopiero początek i właściwie nie ma o co walczyć. Chyba że o ciasteczka.

Karawana w komplecie. Nastąpiły różne przetasowania. Mamy trzydziestu czterech portersów do góry. Czyli w dwóch rzutach powinniśmy osiągnąć bazę. Jutro idę do góry – ciężki dzień. Wszechogarniająca samotność. Nawet nie chcę myśleć o domu, lwonie i dzieciakach. Po prostu mnie skreca.

Czy to miotanie wśród kamieni i śniegu warte jest tej ceny? Z drugiej strony wiem, że w domu bym długo nie wytrzymał. Przecież nie mogę się wycofać akurat teraz. Miałbym ciągle poczucie straty. Ile to razy wraca mi się Uszba lub filar Zerwy. A dzieci – chyba co innego tata alpinista, którym można pochwalić się w piaskownicy, a co innego robotnik wysokościowy czy po prostu handlarz przemysłowy. Cóż, trzeba grać do końca. Niekończące się dyskusje, bicie piany o tym samym, brak konkretów. Dobrze, że jesteśmy razem, ale i tak każda decyzja to cesarski cięcie. Zaproponowałem, żeby do bazy zatrudnić Szerpanki – panie dały zdecydowany opór i tak trzeba się będzie ciągle wpatrywać w kamienie i lodowiec. Gdzie indziej się nie da. Może przyjdą jakieś trekkerki. Głosik Joli jest cudowny. Od razu mam gęsią skórę na plecach. Skierski zaczyna mi imponować, jest strasznie twardy, ciekawe, jak będzie wyżej. Aha, jeszcze wyniki testów: tętno 88, ciśnienie 135/95, po 20 przysiadach tętno 108, po trzech minutach tętno 89, ciśnienie 130/90. Następne badania za 30 dni.

Wszystko jest tutaj ogromne – lodowiec, morena gór. To już największy wymiar.

04.04 – 17.30

Jestem w bazie. Łeb napierdala równo, tętno 99. Rozbiłem namiot, uporządkowałem kamienie, rozrzuciłem swoje rzeczy. Bębna nie ruszam, nie mam siły. Zjadłem, wypilem, leżę i cierpię. Oczywiście miałem kolejne zwanie z panią leaderką i panią P. Pierwsze, co zrobiła pani P., to kazała zanieść kuliskom ładunki do kuchni. Ciekawe, kto je będzie stamtąd wnosił. Pierdole! Leaderka ma mi za złe, że nie rozbiłem jej namiotu i nie nastawiłem herbatki jak płaciła portersom. Dobre sobie – trzy dupy godzinę nie mogły się z tym uporać. Rzeczywiście są bardzo operatywne.

Namiot z widokiem na zachodnią ścianę i Meksykankę. Na razie widać tylko Meksykankę. Szkoda, że to żona tego kutasa Carlosa, ale zawsze przyjemnie popatrzeć.

W bazie jest cienko z wodą. 50–100 m poniżej są trzy na wpół wyschnięte bajora. Woda musi starczyć dla Hiszpanów, Angoli, nas i jeszcze innych. Są kłopoty z myciem. Czyżbym ostatni raz mył się ostatniego dnia sierpnia?

Dialog z leaderką:

– Wiesz co, za stara jestem, żeby tacy jak ty mnie ruszali.

– Zgadza się, stara jesteś.

– Ale ciebie to jeszcze przeżyję.

– Kto wie, kto wie?

W tej miłej sytuacji naprawdę nie mogę dać się upierdolić!

Wstałem i zdobyłem się na zdrowotny spacer. Potem kisiel, głowa trochę przestała boleć, a tętno 96. Teraz leżę i oddycham. W głowie kompletna pustka. Co chwila mierzę tętno i wsłuchuję się w bicie własnego serca. Czuję dziwny ucisk na klatkę. Ale przecież spałem już na takich wysokościach. Tu wcale nie doszliśmy tak prędko. Cisza, w ciszy stłumione głosy rozmów. To i tak lepsze niż samochody czy wrzaski Nepalczyków.

05.09

Od rana piękna pogoda, chociaż cirrusy nie wróżą nic dobrego. Czuję się kiepsko, głowa boli, żadnych gwałtownych ruchów. Zjadłem, rozłożyłem rzeczy do suszenia, umyłem się. Z wodą jest kanał. Czarny chyba będzie ciągle biegał po wodę. Z paniami ignorujemy się. Rozbijają namiot bazowy. Nie wiem dlaczego – mogłyby poczekać na resztę. Może chcą się wykazać. Idzie im to średnio, oczywiście mógłbym pomóc, ale chyba nie potrzebują mojej pomocy. W ogóle jestem coraz bardziej wkurwiony, że tu jestem. Po co i dlaczego? Żeby dać dupy na tej pierdolonej górze? Ile osób weszło dotychczas na wysokie ośmiotysięczniki? Dlaczego akurat ja miałbym być tym wybranym? Nastrój mam podły, we łbie huczy jak w ulu, leżenie oczywiście nic nie pomaga. Jest zimno w cieniu, na słońcu nie można wytrzymać. To w ogóle nie są warunki do życia. I niech nikt nie pierdoli o romantyce czy innych takich głupotach. Banda niedowartościowanych bałwanów dorobiła sobie ideologię, a żeby móc się wykazać. Rzeczywiście trzeba mocno siebie nie lubić, żeby skazywać się na takie cierpienia. W imię czego? Przerost ambicji i zadęcie! Jest mi po prostu źle i chce do domu!

06.09

Wczorajszy dzień zakończył się całkiem mile. Przyszła reszta ekipy. Zmobilizowałem się, wzięłem dupę w troki i poma-gałem przy ustawianiu bazy. Czarni kupowali bębny, trzeba je było więc opróżniać i dzielić żarcie. Był też inauguracyjny obiad. Udało mi się wszystko ładnie zakomponować. Kasza gryczana z warzywami, mięso z cebulą, czosnkiem, chili + przyprawy. Smakowało!

Wieczorem Zbyszek wydał przyjęcie urodzinowe. Zaczęliśmy od whisky, żeby miękko wejść w spirytusik. Panie dziwnie oży-

wiają się po wypiciu paru procent. Erotyzm wisi w powietrzu. Doktor dzielnie przyjmował wszelkie sugestie. Z magnetofoniku leciał Billy Joel i Benson, nagle zrobiło się miło i przytulnie. Zmieniliśmy sedara z agencji na tutejszego – nowy nazywa się Lakpa i jest świetny. Dziś rano budowaliśmy kuchnię i świetlice. Trochę się zmęczyłem – boli głównie głowa, wziąłem prochy i czekam aż odpuści. Idę sobie zmierzyć ciśnienie. No, wynik niezły: 120/85. Żeby tylko głowa tak nie bolała i żebym mógł się umyć!

Trochę dialogów:

– Doktor, masz krem na wargi?

– A na które wargi?

– Te baterie to jaki wymiar?

– O, R20 to dobry wymiar.

– Wiecie co, chciałabym ustawić antenę.

– No, ze staniem anteny to nie mam kłopotu.

Znowu obżarłem się jak świnia.

07.09

Dzielną czwórka pognała w górę. Pani P. + Mela i dwóch naiwniaków westmanów, na razie zachowujemy kamienny spokój. Ja obojętnie czekam na Tomka. Chcemy razem sfazować. Niestety głowa boli mnie ciągle, a poza tym badania mam dobre. Zrobiłem wycieczkę na morenę i wlałem całkiem wysoko. Po powrocie pranie, mycie i żarcie. Nasz kucharz i pomocnik starają się jak mogą. To wielka wygoda przyjść, zjeść i pierdolnąć brudne naczynia w kącie do umycia.

Szykujemy podejście do góry na jutro, Tomek piłuje w butach rowki pod raki. Jak zrobi dziurę to będą jaja.

Otoczenie obozu jest wspaniałe, szkoda tylko że odkrywa się na krótko. Codziennie mamy popołudniowe opady śniegu.

09.09

Tym razem opad śniegu jest ciągły. Przyszło poważne załamanie. W związku z tym zostaliśmy w blokach. Czekamy na powracające z góry panie. Radiotelefony działają tylko w jedną stronę.

Wczoraj wieczorem przyszedł do nas Scott. Poinformował nas, że przepowiadają za trzy dni trzęsienie ziemi. Cały zeszytniałem ze strachu. Boję się potwornie i czuję jak w zepsutym samolocie. Właściwie to jesteśmy w pułapce. Stąd naprawdę nie można uciec. Wszędzie niżej jest

jeszcze bardziej niebezpiecznie. Możemy tylko czekać. Pocieszam się, że poprzednie trzęsienie nie zostawiło tu żadnych widocznych śladów, może się uda. Ale sytuacja jest koszmarna.

Do wszystkiego tak jak przypuszczałem kierownictwo nie ma żadnego planu działania, a i pojęcie o drodze wejścia raczej marne. Zaczęto coś mówić o poręczowaniu Kukuczki – na to mamy za mało lin – Hiszpanie twierdzą, że lodowiec jest nie do przejścia ze względu na szczeliny – czyli co, położyć się i czekać na koniec świata? Wszystko mocno mi się nie podoba. Dziś czuję się zupełnie dobrze. Tylko w nocy budziłem się ze strachu.

Naprawdę, gdyby było to tylko możliwe, to spierdoliłbym stąd natychmiast jak najdalej. Ale to jest właśnie alpinizm – nie można w połowie gry zejść z boiska lub rzucić ręcznik na liny. Tu się walczy do końca. Dlatego inne tzw. sporty to zabawa lub biznes – tutaj nie ma markowania, trzeba walczyć. Tylko czy ja naprawdę mam na to ochotę?

Wyjście zmieniło się w kolejny spacer. Byłem na wysokości do 5800 m. Po powrocie bycie i b. dobry obiad. Potem spanko. Wstałem i czuję się zupełnie dobrze. Trzęsienie ziemi zapowiadają na pojutrze. Co robić?

10.09

Wczoraj wyjście do obozu I, to znaczy Polish Women Camp I. Tak to wszyscy tutaj określają, bo normalny obóz I jest godzinę lub dwie dalej. Szło się ciężko, szczególnie ostatni odcinek. Po drodze pokłóciłem się z Kopysiem. Nie wiem co robić? Może naprawdę jestem zupełnie nie do życia. Ale jak ktoś się obraża o jednego chuja, to ja dziękuję, nie gram dalej. (Tym bardziej że miałem rację). W każdym bądź razie wylądowałem w namiocie ze Zbyszkami. Na początku czułem się źle. Zeżarłem coś na sępa i leżałem, potem trochę się rozruszałem, a pod wieczór byłem całkiem dobry.

Dzisiejszy poranek bez apetytu, ale w formie. Trochę żałowałem, że nikt nie chciał iść wyżej. Ciągłe nad głową wisiła wizja trzęsienia ziemi. Na razie spokój – podobno to były plotki rozpuszczane przez Scotta – o tym to już ogólnie nie wiem co myśleć – to przecież paranoja.

W każdym razie jesteśmy znowu w bazie. Zejście, a właściwie bieg w dół za Zbyszkami zajął nam godzinę czterdzieści. Umyłem nareszcie głowę i resztę. Teraz po niezłym obiedku leżę i myślę. Czy naprawdę będę wchodził solo na tę górę? Bo teraz to nie popuszczę. Postaram podłączyć się do Zbyszków, tylko że oni są piekielnie silni. Nie jestem pewien, czy nadążę

za nimi. Trudno, ostatecznie mam swoją płachtę biwakową. Jak widać, wszystko pojebane jest na ganz. Po obiedzie wielka dyskusja na temat wyjść. Bicie piany przez trzy godziny. Wszyscy są dokładnie przeciwko wszystkim. Czyli jest tak jak przewidywałem. Zbyszek Skierski ustanowił to

jogurt z granolą (mikst orzechowo-rodzynkowy) i miodem. Całkiem nieźle. Teraz odpoczywamy. Niebo lazurowe. Badania lekarskie: tętno 80, ciśnienie 130/90, po przysiadach 98 i 145/95, po odpoczynku 84 i 125/90. Ogólnie dobrze, jeszcze tydzień aklimatyzacji i można na full.

prezentacja dla sponsorów



jakoś uporządkować. Nie wiem, co z tego wyjdzie. Ja będę się chyba musiał za kims opowiedzieć. Jak na razie to chyba trochę zyskałem. Przyszła „baba z cielęciną”, to znaczy pasterz z jogurtem. Weszliśmy w litr.

11.09

Pierwszy piękny, słoneczny dzień. Wiaterek minimalny. Mela z panią P pod presją społeczną poszły do góry. Towarzyszy im Barni, a w obozie I czeka na nie kierowniczka. Dzisiaj pyszne śniadanie – tybetań bred z zerkim, ozorki, cebulka, czosnek, ketchup O wszystko lekko ciepłe. Potem

Dzień lenistwa w bazie. Lektura, muzyka, drobne zajęcia. Na obiad bigos z golonką i kasza gryczana z warzywami! Zdaje się, popsuł mi się aparat. Zmarnowałem dwa filmy! Co za ciągły skurwysyński pech. Ciekawie zapowiada się jutrzejsze wyjście. Panie w górze, my na dojsciu, Jola zostaje w blokach. Może być interesująca wymiana zdań przez radiotelefon. Aczkolwiek taki plan jest jedynym logicznym.

15.09

12.09 byliśmy w jedyńce, szło mi się nieźle. Panie porzuciły sprzęt na około 6900. Doszliśmy tam następnego dnia. Zapropnowałem biwak. Kacuga był przeciwny, chciał iść

dalej, dokąd nie wiem, była już trzecia, a nasze tempo niezbyt rewelacyjne. Miotał się wokół nas, coś majaczył. W tym czasie rozstawiliśmy drugi namiot. Noc była koszmarna – wiatr o dużej sile po prostu kładł gaca [typ namiotu – przyp. red.]. Do tego musiałem wychodzić kilka razy. Doktor twierdzi, że to pozytywny objaw aklimatyzacji, ale kłopotu z tym co niemiara. Rano potworny ból głowy, który przeszedł po porannym picu. Jeść nic nie mogę, tylko piję i lekkie ciasteczka.

Ustalamy z Tomkiem: właśnie nastąpiło zawieszenie borni, wyjaśniliśmy sobie parę spraw i może pociągniemy to dalej, że idziemy wyżej. Kacuga jest przeciwny, chce schodzić – w ogóle nie rozumiem tego faceta. Nie zwracamy na niego uwagi. Pakujemy gaca i idziemy do góry. Żeby nie strach przed lawinami, to szłoby się nam dobrze. Hiszpańska poręczówka nawet nie była konieczna. Nachylenie w porывach do 40 stopni. Gubię gogle – cóż, straty muszą być. Wybieramy na obóz miejsce z prawej na serakach. To jedyne płaskie i nienarażone na lawiny miejsce. Po chwili okazuje się, że jest tam już Carlos. On gra całkiem rozsądnie. Hiszpanie pchają się w lewo pod skałki. Następnego dnia okaże się to raczej bez sensu. Na razie stawiamy gaca, mocujemy go i w dół. Wysokość 6800–6900. Na 6400 zastajemy w namiocie Jolę. Zostajemy tu na noc. Wiatr mocniejszy. Chociaż głowa boli mnie tak samo. Oprócz makaroników nic nie mogę jeść. Tylko piję. Rano schodzimy do bazy. Dzielne leaderki plus Mela idą do góry. Teraz są dla nas bardzo miłe. Nawet gratulują – chociaż nie wiem czego – w końcu jest to robota i trzeba ją wykonać, no nie?

W bazie kąpiel i ogólne. Kacuga ze Skierskim schodzą do Makalu Hotel 4800 m. Po cholere, nie wiem?

Cóż, akcja rozwija się. W górze wygląda to bezsensownie. Takie masochistyczne katowanie się, ale w bazie już lepiej. W końcu chciałoby się wejść na tę górę.

16.09

Bazowe życie.

17.09

Pada śnieg! Panienki dały dupy wczoraj, dochodząc tylko do obozu półtora (6400). Dzisiaj usprawiedliwione pogodą schodzą. Czyli dwójka jest niezaopatrzona. Chyba zmienimy z Tomkiem koncepcję pójdziemy na lekko – w końcu we dwóch nie będziemy wszystkiego robić. Oczywiście przesadzam, ale coś w tym jest. Wczoraj nawrzucałem Joli – chciała się do nas podłączyć i trzeba było dać zdecydowany opór. Pomijając to, że

jest głupia, to na dodatek dyletantka. Jak zaczęła coś bredzić o solowym wyjściu do dwójki, to musiałem ją opierdolić. No i spokój.

Teraz spekulujemy jak długo będzie padać i co dalej robić. Jestem mocno wyczulony na lawiny, będę więc opóźniał wyjście jak się da. Chciałbym złapać pewien rytm pogodowy, może to już wreszcie koniec monsunu? Góra raz się przybliży, raz się oddala. Optymizm i pesymizm na przemian. Wczoraj już prawie byliśmy na wierzchołku, dzisiaj przed nami daleka i niepewna droga. Poza tym brak jasnej koncepcji działania. Jak na razie każdy działa na własną rękę, oglądając się dodatkowo na Hiszpanów. Cóż, spodziewałem się tego – wychodzi powoli na moje.

15.30

Śnieg ciągle pada. Zjedliśmy pyszny obiad! Lakpa wrócił z jedyńki, paniom udało się zejść do jedyńki hiszpańskiej. Płaczą przez radio, że nie mogą dalej. Teraz jest dobrze, bab nie ma, a nikogo nie trzeba ratować. Podniebna sjeżdża!

Właśnie uświadomiłem sobie, że to dopiero połowa czasu minęła. Powrót mamy na 7.11. I ja w tym wieku tak tracę czas! Żona, dzieciaki, mieszkanie – dlaczego? Leżę w namiocie i słucham szelestu padającego na tropik śniegu. Jak wróć, będzie już listopad. Potem grudzień – znowu góry, narty i szkolenie, oby z lwoną i dziećmi i koniec roku. Kolejnego roku, w którym co najmniej jego połowę spędziłem sam, to znaczy poza domem lub bez lwony. Kompletna paranoja!

A może dzięki temu, kiedy jesteśmy razem to nie nudzimy się nawzajem, mamy o czym rozmawiać, cieszymy się sobą. Mimo wszelkich kłótni i sprzeczek dalecy jesteśmy od tzw. kryzysu małżeńskiego. Może właśnie ta stabilizacja i domowe ciepłko byłoby wyrokiem na nasz związek? Tylko że dotychczas nie bardzo było do czego wracać – mieszkanie kątem u teściów nie stanowiło żadnej atrakcji. Ot, zmiana jednego wspólnego lokum na drugie. A teraz jesteśmy samodzielni. Szkoda tylko, że tak późno. Po piętnastu latach to człowiek nawet nie ma ochoty na radość. Zresztą ile pojawiło się problemów. To wprost niewiarygodne. A co robią ludzie nie mający takich środków jak my? No, nie można się rozklejać – jestem tu dobrowolnie. W końcu ta góra to duża rzecz. Ludzie dla głupszych idee fixe poświęcali życie. Może nie głupszych, ale na pewno mniej ciekawych i bardziej uciążliwych. A ja cóż – zarabiam górami na niezłe życie. Owszem zajęcie ryzykowne, ale czy jest coś za darmo? Jako uczeń interesowałem się geografią i przyrodą. Czytałem książki, oglądałem filmy. Potem z wiekiem zaprzestałem tego.

Po co się napalać i robić sobie apetyt. Zawsze byłem konkretny, jeśli czegoś nie mogłem osiągnąć, to się tym nie zajmowałem. A potem nagle góry stworzyły szasną wyrwaną się z polskiego kotła. Przecież ja już zjeździłem kawał świata – chociażby Ameryka Południowa, Azja.

Przyszedł Kopyś i nadaje – cytuje: „Zgadzam się z tobą, że dajemy dupy jako wyprawa ze szczególnym uwzględnieniem bab. Kiedy one umierają, to Hiszpanie poręczują powyżej dwójki, a Scott z dupą i Szerpą siedzi sobie w dwójce. Hiszpanie w bazie mają taki mały przyrząd i kiedy przekręcić gałkę w jedną stronę, to ma łączność z Everestem, a w drugą to ma łączność ze swoją grupą. Na nasze pięć radmorów [typ krótkofalówki – przyp. red.] działają dwa. Ale my za to nie używamy Szerpów. Trzy najlepsze alpinistki świata zostały zgarnięte przez ciemnych najemników ze środka lodowca i zaprowadzone za rączkę do końca lodowca”.

Podsumowanie Tomka:

„Dwóch poszło na dół, trzy najlepsze alpinistki świata zostały sprowadzone przez murzynów do najbliższej stacji kolejowej, a dalej to się już nie da opowiedzieć”. Tylko co my dwaj tutaj wśród tego cyrku robimy?

I tak życie brutalnie przerwało mi moje egzystencjalne dygresje. Cóż, czekany w dłoń!

Kolejna rozmówka – Kopyś do Lakpy:

– Lakpa, odpoczniesz parę minut, wrócisz i przyniesiesz nasze panie do bazy.

Na to wtrąca się Coldo:

– Do Kangbari.

19.09

Wróciły dzielne alpinistki. Całe zdrowe, tryskające humorem i erotyzmem. Zachowujemy spokój. Śnieg popaduje, nie wygląda to najlepiej. Czyżby rzeczywiście siedem dni? Radosny szczebiot roznosi się po całej bazie.

Później.

Siedzę w jadalni, leci Sting. Zamykam oczy i wyobrażam sobie, że siedzę z dziećmi na podwórku, walkman na uszach, Jurek bawi się w piaskownicy. Pełny luz.

Jest zimno, przewalają się białe lodowe obłoki. Troszkę prośsy, trochę świeci słońce. Śnieg przykrywający rano równą warstwą bazę zniknął. Jak jest w górze? Kiedy wyjść, żeby się nie wpuścić w kanał? Jutro chyba jeszcze nie. I tak z dwóch dni odpoczynku zrobiło się minimum cztery. Panie są rozkoszne, co słowo to „tonkaja” aluzują!

A ja „ponury łojant” siedzę i ze znudzoną miną udaję, że totalnie wszystko olewam. Kto też na końcu będzie miał rację?

19.09

Kolejny nudy dzień wyczekiwania. Chmury snują się wokół. Bezwietrznie. Pustka i beznadzieja. Bardzo źle wpływa to wszystko na psyche.

Przepychanki z kierownictwem kto, kiedy ma wyjść. Śnieg prośsy. O boże, żeby już było po wszystkich. Kopyś negocjuje z leaderką. Dobrze, że przynajmniej z nim jakoś się dogadałem. Oby! Na te panie to już nie mogę patrzeć, nie mówiąc o słuchaniu ich mądrych wypowiedzi. Chyba mam „neczo s mosgiem”. Dzisiaj nie czuję się najlepiej – może to pogoda, a może ta beczynność.

20.09

Kolejny zmarnowany dzień. Pogoda bez zmian, to znaczy niewyraźna. Czekamy. Ktoś powiedział: „Alpinizm to czekanie i cierpliwość”. Jest to prawda, tylko jak trudno ją zaakceptować. Panie okupują kuchnię, trudno.

Jutro mamy wyjść. Ale co zastaniemy w górze? Nie mam ochoty na żadne ryzyko. A przecież bez ryzyka działalność jest niemożliwa. Dzisiaj świetnie spałem – bez przebudzeń i przymusowego wychodzenia, czyżbym się zaaklimatyzował? Słońce wzbudza nadzieję, chwilę potem opad śniegu wpędza w ponury nastrój. Chodzimy między namiotami jak zwierzęta w zoo. A przecież ile już takich podobnych sytuacji przeżyłem. Element pogody jest stałym fragmentem gry we wspinaniu. Gdyby nie niewiadoma pogodowa, o ile wszystko byłoby prostsze i łatwiejsze. Staram się zawsze dostosować do pogody. Ale tutaj pole manewru jest niestety ograniczone. Wiele nie da się wymyślić.

Coldo i Barni nie wytrzymali, wyrwali do góry. Cały cyrk związany z ich wyjściem. Jaki namiot mamy wziąć i ile bagażu? Wszyscy docinają kierownicze, że będzie za nich znosić. I prawda.

Niebo ciągle niewyraźne – cirrusy i inne podejrzane chmury. Może się to przewieje.

Zrobiłem obiad, a Jola (tak, Jola) pyszny deser. Jak patrzę na darmozjadów to mnie oczywiście skręca. Leaderka wybitna kulinarna indolentka. Żarcie bazowe jest całkiem niezłe, ale niektóre asortymenty już się kończą. Trzeba do góry!

21.09

Dupa błada!

I znowu śniadanie, mycie, kremowanie, sikanie. Te same twarze, ta sama muzyka. Z białych oparów wychyla się ogrom Makalu. Seraki i pola śnieżne błyszczą świeżą bielą. Nocny opad zdążył już stopnieć w bazie. Cisza. Kolejny dzień bazowy. Kto pierwszy odważy się pójść w górę?

To wszystko naprawdę nie ma sensu. Po powrocie do polski rzucam to wspinanie wyprawowe. Skałki, szkolenie w Tatrach, narty, jakieś Dolomity, coś w tym rodzaju. Po co mi ten cały syf wyprawowy? To naprawdę idiotyczne zajęcie! Oby wytrzymać do końca. A podejrzewam, że koniec będzie syty.

Chyba jestem chory psychicznie. Nie potrafię znaleźć wspólnego języka z nikim. A znowu samotność niszczy mnie jeszcze bardziej. Patrzę na wyczyny naszych leaderek i chce mi się rzygać. A przecież nie robią nic złego. Dwie podstarzałe panie. I ta ich nieudolność kulinarna. Ciekawe, jak żarcie wysuwa się na pierwszy plan.

Panie zaprosiły na kolację Hiszpanów. Bardzo mili faceci. Tylko osobiście to o czym z nimi rozmawiać. Zimno w nogi – poszedłem do namiotu.

Sytuacja jest rzeczywiście niejasna – pogoda nie jest taka zła – trzeba tylko grać zdecydowanie. Pozostaje problem lawin – ale tego nie oceni się z namiotu w bazie. Czy jutro wyjdziemy? Gdybym tylko mógł, to jednak odwróciłbym się plecami i poszedł w dół. Może w bardzo zgranym, znającym się dobrze towarzystwie takie eskapady mają sens. Ale taki przypadkowy zespół to horror. Teraz rozumiem hermetyczne grupy, broniące się rękami i nogami przed nowymi twarzami. Po co skazywać się dobrowolnie na przymus obcowania z jakimś pojebanym osobnikiem? W końcu nikt mnie nie przymuszał do brania udziału w tej hecy – sam chciałem. Jestem dorosły i muszę znieść to do końca. Trudno, zmarnowałem trzy miesiące, ale na pewno jest to nowe doświadczenie i przeżycie. A jak było na Tukche? Pewnie, że tam byłem po raz pierwszy w Nepalu – egzotyka i działanie – a efekty równie mizerne. Przecież nie zawsze można wygrać. A znowu dwie porażki w roku to trochę za dużo.

Lodowiec oglądany z góry wygląda niesamowicie – kamienno-lodowy przekładaniec żyjący jakimś tajemnym życiem. Z jednej strony martwota i pustka, a z drugiej ciągły ruch – szmer płynącej wody, łoskot spadających kamieni, huk walących się brył lodu. W tym ogromnym świecie człowiek jest drobinką, intruzem i podglądaczem. „Nasza” góra pokazuje się nam codziennie po kilka razy, wyniosła i obojętna. W zależności od oświetlenia jest zimna i daleka, to znowu na wyciągnięcie

ręki. Często wierzchołek okryty jest welonem chmur lub jawi się jak zjawia w oparach mgły.

Wyłączyć się i nie myśleć przez najbliższe tygodnie. Być doskonałym, nieczułym automatem. Do góry to do gry, w dół to w dół, jeść, spać, defekować. Zdobyć się na solowy krok – tylko jak wyczuć tę granicę ryzyka? Nie mogę jej przekroczyć, niby Hiszpanie są obok – ale sam to jednak mocno ryzykowne, szczególnie w tych warunkach. A taką mam ochotę.

Słychać złowrogi huk lawin – no i co z tego? W końcu są to góry, a nie morze. Czy jest to gościnność, czy wyrachowane lizanie dupy? Bulwersują mnie te wszystkie zagrania. Angoli, naszych leaderek – wyprawowe gierki. Kto komu przedepcze, zaporękuje. Przecież o to chodzi! Panie widzą, że nie bardzo dajemy się w to wrobić, i szukają sprzymierzeńców gdzie się da. Tak, to są tak zwane wyprawowe wyjadaczkę, ale chyba tylko to wyjadanie im pozostało.

Ciekawe, co napiszę, gdy wejdą na szczyt – i to przede mną! – „Mam neczo s mosgiem”.

22.09

Znowu nieoczekiwana zmiana miejsc. Błahy incydent przy szachach – nieopatrznie zadałem pytanie i zostałem przez Kopsia zmieszany z błotem – zmieniło zasadniczo układ sił. Dzisiaj wyszedł do jedynki Zbyszek&Zbyszek. Jutro mam iść ja + trzy panie. I tak słowo ciałałem się stało! Największy wicherzyli i opozycjonista będzie grzecznie torował koleżankom drogę na Makalu La. Oby tak było!

Wracając do Kopsia. To chyba już definitywny koniec naszego związku. Związku zresztą bardziej pozornego niż prawdziwego – wystarczy zobaczyć w wykazie przejść. Mam dość obchodzenia się z nim jak ze zgniłym jajkiem. Zresztą jak ktoś o przypadkową uwagę robi taką awanturę i przekreśla wspólny dorobek kilkunastu lat, to albo jest chory (wysokość), albo nie warto sobie nim zawracać głowy – pozostaje mi niesmak i żal – przeżyję to!

Pogoda w dalszym ciągu wisi nad nami jak miecz Damoklesa. Może ona przekreślić cały wysiłek i wszelkie starania. Czy tak będzie?

Barni kiepsko znosi pobyt w bazie – rozmawiałem z nim o tym i owym. Ale on ma dopiero dwadzieścia lat. Dla niego to pierwsza wyprawa, dla mnie pewnie ostatnia. Bo nawet jak wejdę, to w tej formie nie powtórzę już żadnego ośmiotysięcznika. Powiedziałem: krótko, ostro i elegancko – a nie dożywanie się tępych nożem.

łażę w kółko w bazie: namiot – morena – kuchnia – namiot. Ciągłe ten sam widok przelewających się chmur. Kołują czarne kawki czy inne wronczyki. Na końcach bazy piramidy kamieni odganiające złe duchy. Zbyszki już pewnie dochodzą do jedynki. Cirrusy i chmury bez zmian. Czyżbym już aż tak upadł na ducha?

24.09

Poszliśmy do dwójki. Panie dogoniły nas wieczorem. Szliśmy bardzo wolno, przynajmniej ja. Zaporęczyliśmy ostatni kawałek kuluaru – i dobrze, bo potem zeszała tamtędy lawina, która trochę sponiewierała Jolę.



droga w górę

Wrócić do domu: wykąpać się, usiąść za stołem, telewizor, kapię, normalna herbata lub piwo, lwona, dzieci. Normalnie, spokojne życie. Jak to smakuje tutaj na wysokości 5400.

27.09

Byłem na Makalu La 7400.

Wyjście rzeczywiście przedziwne. Do jedynki podchodziłem na luzie. Potem doładowanie rzeczy osobistych i sprzętu i jakby mnie ktoś pałką dzielił po głowie. Dowlekliśmy się do 1,5, a tam był Zbysze i Zbyszek. Czyli delikatnie mówiąc dupodanie. Świetne rozmowy przez psujący się radiotelefon z kierownictwem. Właściwie to jest nudne. Kacuga wymyślił doskonały sygnał wywoławczy: „Słabi wzywają silne”.

25.09

Wyjście na Makalu La. Jola z panią P., Zbyskiem Skierskim, Mela i ja. Jola bardzo dzielnie toruje – idzie na lekko. Pani P wraca z końca hiszpańskiej poręczy. Grzejemy dalej. Jola poręczyuje na samą przełęcz. Tym razem mi zaimponowała. Wlokę się na końcu. Gdy dochodzę, na przełęczy stoi rozbite Samitdoma [Summit Dome – rodzaj namiotu – przyp. red.]. Zostaje w nim z Melą na noc. Mela odzywa się do mnie krótkimi warknięciami. Ignoruję ją, bo co mam robić – w języku polskim są jednak inne wyrazy niż „kurwa” i „pierdolę”. Ale jak ktoś nie potrafi ich używać to trudno. Noc taka sobie. Apetytu brak, głównie piję. Wstaję parę razy. Rano moja „partnerka” zmywa się wcześniej. Zostaje sam.

Ide kawałek do góry – ot tak, żeby coś zobaczyć. Około 200, 300 metrów i 80 w pionie zajmuje mi 45 minut. Paranoja! Przed nami kurewski kawał i tysięcy metrów przewyższenia. Jak to przejść? Wracam do namiotu i schodzę. Po drodze spotykam Hiszpanów, panie leaderki, Jolę, Kopsia i Kacugę. Skierski zrezygnował ze spania na Makalu La i zszedł z Melą. Idę i ja w dół. Słońce pali niemilosierdzie. Piję jakieś syfy po drodze. Wreszcie po piątej jestem w bazie. Jedzenie i picie w umiarkowanych ilościach. Mam miękkie nogi. Dlaczego jestem taki słaby?

Dzisiaj od rana jedzenie i mycie. Czuję się lepiej, ale w dalszym ciągu słabo. Barni postanawia wracać do domu. Długo z nim rozmawiałem. Ma swoje racje – ale szkoda, bo zostają już zupełnie sam.

Och, jak bym chciał tak jak on pierdolnąć to wszystko i w 10 dni być w Warszawie. Ale cóż, ja niestety muszę walczyć do końca. Teraz nie ma już odwrotu. Jestem „czarną owcą” i tym najgorszym, każdy może mnie bezkarnie opluć, bo i tak wiadomo, że ma rację, a ja nie jestem winien – pozostaje mi tylko wejść na tę górę, a przynajmniej dojść jak najwyżej.

Niepokoi mnie pogoda – właściwie to teraz powinno się atakować szczyt. A co będzie za 7–8 dni? Czuję, że będzie nerwówka.

Teraz to tylko „cysta”. Leżeć, jeść i czekać – a potem do góry. Żebym tylko miał motywację! Iwnona, ja chcę kategorycznie do domu!

Reszta ekspedycji wraca z góry: rozkład śpiworów: obóz I – 1, obóz 1.5 – 1, obóz II – 5, obóz III – 5. Wynika z tego, że trzeba będzie sobie tachać śpiwór z bazy. Melunia jest taka słodka dla chłopców, że chyba im wejdzie do dupy. Chce się z nimi załapać na wejście szczytowe. Swoją drogą ciekawe jak pogra to Kacug, a jak Anka. Teraz wszyscy gadają o wierzchołku, dzieląc skórę na niedźwiedziu. A przecież każdy opad śniegu może wszystko przewrócić do góry nogami.

Ciekawe czy dzisiaj przyjdzie baba z jogurtem. Proste problemy, proste zainteresowania. Kurwa mać, gdzie ja jestem? Co tu robię?

28.09

Reanimacja w bazie: żarcie, listy – Barni schodzi do Katmandu. Pogoda utrzymuje się dobra – czekamy dalej. Forma rano cieniutka.

Pozostałe ekspedycje w górę, my prawie w komplecie w bazie – polski styl przeczekiwania dobrej pogody. Ale coś się rusza. Leaderki przebąkują o jutrzejszym wyjściu.

W pełni podziwiam – po dniu odpoczynku na wierzchołku. No! No!

Przewiduję niezłe jaja w górę. Kto pierwszy dopadnie namiotu i chapnie śpiwór, że o żarciu nie wspomnę. Barni za 10 dni będzie w domu, a ja kiedy?

Pikanterii dodaje fakt braku łączności. Właśnie Mela postanawia ruszyć jutro rano solo w kierunku szczytu. Będzie szczytowanie, że hej!

29.09

Bładym światem Mela poszła do góry. Po śniadaniu panie P. i Cz. poszły do obozu I. W bazie zostali panowie plus Jola i doktor. Pogoda niepewna, całe niebo zasłane cirrusami. Jak to się dalej rozwinie? Co robić – czekać na załamanie czy grzać do góry, licząc na szczęście i szybkość? Sytuacja robi się nerwowa. Brakuje nam dwóch dni. Co zdziałają panie u góry? Co będzie jak wejdą?

Barni zszedł na dół i ma już z głowy. A ja? Jeżeli jesteś w grupie i identyfikujesz się z wyprawą, to nieważne, kto zakłada obozy i kto wjedzie na szczyt – sukces liczy się dla wszystkich i wszyscy są zadowoleni. Natomiast jak jest tak jak tutaj, gdzie każdy gra swoją grę i wszyscy są przeciwko wszystkim, to liczy się sukces tylko indywidualny. Jeżeli nie wejdę to będzie moja osobista porażka. Bez względu na ogólny wynik wyprawy. Jest mi po prostu smutno! Właściwie to okazało się, że nie mam wśród górskiego środowiska ani jednego przyjaciela. Są to tylko znajomi lub koniunkturalni partnerzy. To nieprzypadkowo nie spotykamy się razem poza górami. Przysłowiowa lina wcale nas nie łączy. Czy to znaczy, że coś zgubiliśmy po drodze do trudności i wysokości? Kto napisze dziś książkę o środowisku lat osiemdziesiątych? Czy istnieje w ogóle takie środowisko? Czy to tylko luźna zbieranina dzieląca się na tych początkujących i tych z nazwiskami?

Owszem, chętnie wracam do schronisk i Betlejemki, ale wtedy, gdy gdzieś wszedłem, coś wykośiłem: do Dzdzicha czy Piotrka idę zawsze, a nawet wtedy, gdy coś się nie układa to chętniej. A może się mylę?

U lekarza: tętno 82, ciśnienie 130/95. Pobrałem polopirynę S, kardilun, dimax i potas.

Spakowałem rzeczy, pogoda niewyraźna, zawsze dotychczas jak byłem spakowany to dupiło śniegiem. Czy i tak będzie teraz? Obozy tylko z nazwy są obozami. Brakuje żarcia, paliwa i śpiworów – burdel, nie wyprawa.

W kooperacji ideowej ze Zbyszkim, Kacugą przygotowałem supergolonkę z kapustą – czekać aż się uwarzy. Efekt był

do przewidzenia. Leżę w namiocie i cierpię. Bezpardonowo potraktowany żołądek burczy i się skręca. Coś w nim kipi, coś w nim gra. Doczekać kolacji.

Pogoda w dalszym ciągu mami. Z jednej strony błękit, z drugiej złowróżbne cirrussy. Wyjść, nie wyjść? Oto jest pytanie na wagę trzymiesięcznej przerwy w życiu.

06.10

Tak, to już październik.

Z kuchni dochodzi wrzaskliwy śmiech Meli. Jak trudno jest współżyć z drugim człowiekiem. Jesteśmy po kolejnym wyjściu, które okazało się kompletnym fiaskiem. Zarówno naszym jak i kierownictwa. A było tak:

29.09 – błądym światem Mela wyruszyła cichcem z bazy. Kilka godzin potem nieświadome niczego leaderki pomaszerowały dziarsko do obozu I.

30.09 – ja z Kopysiem (tak, nowe zawieszenie broni) wysłaliśmy z bazy w celu dotarcia do 1,5. Ku swojemu zdziwieniu przy obozie I zobaczyliśmy znajomą sylwetkę Meluni, a kilka minut potem zwały się tam z góry jeszcze leaderki kompletnie zgnojone. Otóż panie postanowimy po nocy dojść z I do Makalu La. Oczywiście zastopowało je już w 1,5, gdzie przemarznęte obudziły w środku nocy przerażoną Melę. Dotrawszy do rana postanowiły zejść do I, gdzie skwapliwie zabraliśmy im w majestacie prawa dwa śpiwory. Z dołu podchodzili Zbyszki z jednym śpiworem.

Czyli: ja z Tomkiem do góry z dwoma śpiworami. W I leaderki z jednym i Zbyszki z Melą też z jednym. Jaja jak berety. Nic to, grzejemy do półtora, a następnego dnia do Makalu La. Kiedy padał w namiocie na przełęczy, Kopyś przynosi wiadomości, że właśnie schodzą dwaj Angole, z których jeden jest mocno porozbijany – spadł z lawiną na 8000. Mój mózg niewiele z tego rejestruje – dopiero słowa Tomka, że schodzi do II biją mnie jak obuchem i tak obolałą głowę. Nie ma czasu na dyskusję – zostaję sam na sam z górami. W środku nocy z płytkiego snu oprócz potrzeby fizjologicznej wyrwywa mnie szuranie na zewnątrz. To nie wiatr, w rękawie namiotu pojawia się twarz Zbyszka Skierskiego. Ki diabeł! Okazuje się, że na skutek burzliwych dyskusji w II na temat pomocy Angolowi zdenerwował się i poszedł do góry. Gotujemy kisiel, czekamy do rana.

Rano na szczęście pomagają Hiszpanie – ich leader jest lekarzem, a Angol może chodzić. Schodzi z pomocą Szeperów w dół, w dół odchodzi też Zbyszek. Na chwilę zostaje sam, ale zaraz pojawia się Kopyś, potem leaderki. Leżymy.

Następnego dnia najpierw my, potem leaderki ruszamy do góry w kierunku obozu IV. I tutaj popełniamy błąd. Zważeni mirażem lekkości nie bierzemy namiotu. W niezłej formie docieramy do hiszpańskich namiotów na 7800 m. Ale noc jest koszmarna. Namioty zasypywane śniegiem nie wytrzymują – są pojedyncze, śnieg jest wszędzie. To jeden z cięższych kibli, jakie przeżyłem. Ratuje nas jedynie dobre ubranie i dobre angielskie śpiwory. Rano koszmar wyjścia: gotowanie i ubieranie, wszystko trwa, każda najdrobniejsza czynność przerywana odpoczynekami. Butan nie chce się palić, zapalniczki nie działają. Czarna rozpacz. Leaderki zbierają się szybciej, my marudzimy. Wychodzę przed namiot, wieje jak cholera. Zostawić Tomka i spierdalać, czy czekać? Kopyś grzebie się w ciasnym namiocie. Usiłuje zapiąć raki – wspaniałe dotychczas spidy nie chcą załapać. Tomek mi pomaga – żadnych efektów – tylko drętwieją mi palce. Zdeterminowany wracam do namiotu. Rozgrzewam palce, wiatr się nasila. Czujemy się jak w pułapce. Czy naprawdę nie będziemy mogli wyjść z namiotu? Wreszcie po półgodzinnym rozgrzewaniu palce odpuszczają. Zapinamy raki w namiocie, wygrzebujemy się. Wiatr zatyka. W dół, w dół. Docieramy do Makalu La. Wiatr, wiatr. Na przełęczy Zbyszki + Mela. Leaderki już pomknęły niżej. My też nie czekamy. Zatrzymujemy się w dwójce. Noc w porównaniu do poprzedniej komfortowa. Nie ruszają nas wściekle uderzenia wiatru. Rano okazuje się, że jedno z nich powaliło samotnika. Czujemy się bardzo słabo.

05.10 schodzimy wolniutko w dół. Do wieczora wszyscy są w bazie, nastroje mirowe.

Dzisiaj ustalamy termin powrotnej karawany na 18 lub 20. Kurwa, czyli jeszcze dwa tygodnie. Jeszcze jedno wyjście. To już tak, żeby nie mieć sobie nic do zarzucenia. Jesteśmy zmęczeni, brudni i źli. Atmosfera nie do wytrzymania. Panie wyglądają kiepsko. Kacuga zwija rzeczy. Odwiedziłem Claudie – ma infekcję nogi – leży sama w bazie niemieckiej. Niczym nie przypomina miłej i energicznej Szwajcarki z Interlaken. Okazuje się, że nasz wyprawowy wypadek lawinowy spod Eigeru nie został zakończony. Przewodnika grupy narciarzy powołano przed sąd. Biegli lawinowi stwierdzili, że to była jednak ich wina. No cóż, Sławkowi nie przywróci to życia, ale nasze odczucia były podobne.

Niebo bezchmurne, w górze chorągwie śniegu na grani.

Hiszpanie podali, że rozpruto nam namiot na przełęczy. Wyprawa chyli się ku upadkowi. Nawet nie myślę o domu. Czarna rozpacz! Leżę w namiocie i wymyślam takie bzdury, że płakać



obiad w bazie

się chce. Wkoło lazury, tylko chorągwie śniegu sygnalizują wichurę. Czeką nas ciąg beznadziejnych dni.

07.10

Wykańczalnia. Żarcie, ludzie, sprzęt są na wykończeniu. Najgorsze są ranki. Ubierać się wyjść ze śpiwora i namiotu. Potem przemyć twarz wodą i zasiąść do śniadania. Kosz-

mar. A w perspektywie wyjść w górę i tydzień mordęgi o wiele gorszej. Coraz to nowe osoby przestają się odzywać. Teraz Kacuga usunął się w cień namiotu. Chyba pogryzł się z Melą. Mela jest teraz wielką przyjaciółką Joli. Zresztą zbliża się finał i role w zasadzie zostały już rozdane, chyba żeby nieprzewidziane zastępstwo lub nieodpowiedzialny wybryk. Wiatr wyje. Można mieć tylko nadzieję, że akurat będziemy w górze to przestanie. Ale spróbować trzeba. Powietrze przejrzyste, widoczność idealna. Teraz odczuwa się ogrom i majestat gór. A właściwie ich obojętność. No bo co znaczy człowiek w porównaniu z tysięcznym olbrzymem.

Wracając do zejścia z obozu IV. Wiatr, chmura, widoczność minimalna, spod nóg usuwają się maleńkie śnieżne deski. Każdy krok wymaga wysiłku i uwagi. I znowu pojawia się strach, że wystarczy moment, chwila nieuwagi, pech i koniec. Nie ma odwrotu. Że można umrzeć na równej drodze, wręcz na ścieżce turystycznej tyle tylko, że na wysokości ponad siedem tysięcy metrów. Bezradność i bezsilność. Może po prostu już za dużo sytuacji. A przecież schodziliśmy już, czy wchodziliśmy w takie ściany, zleby i śniegi, że wiało autentyczną grozą. A Kaukaz zimą, wycofi i zejście z Baszkary, podejście pod Uzbijskie Plateau, czy tam nie było lawiniasto? Kto o tym myślał? Schodziło się i już. A próba wejścia na Tukche w grudniu – czyste wariactwo. I jakoś się o tym wszystkim nie myślało. A teraz – każdy krok rozważany jest na wszelkie sposoby. Każdy szmer, każdy oddech. Cóż, starzejemy się chyba.

Z innej beczki: prawie wszyscy mężczyźni na wyprawie mają rodziny – wszystkie natomiast panie, bez względu na wiek (nawet dość zaawansowany) są jak to się mówi „wolne”. Dla

mnie to są one kalekie.

Cisza oczekiwania w bazie. Co mam robić – znowu leżeć lub jeść. Bo myśleć ani o górę, ani o domu nie mogę. Bogate życie wewnętrzne – tak, to jest! Tylko ile można.

Burzliwe narady co robić i ogólne pranie brudów. Wiatr wieje, obozy zniszczone, ale opracowano plan ataku szczytowego. Fajnie, ale trzeba to było zrobić miesiąc wcześniej. Teraz to

już musztarda po obiedzie. Chyba że znowu się uda tak po polsku „na hurra”.

Jestem ciągle głodny. Właściwie to podjada się od rana do wieczora. Co pozostało?

Widoki niby te same od miesiąca, ale spogląda się na nie innym okiem. Właściwie to nawet nie pamiętam pierwszych dni w bazie. Wszystko było szare i przysłonięte bólem głowy. Wszędzie daleko. Teraz zalane jest słońcem – tylko ten wiatr! Ale w powietrzu czuć zbliżającą się zimę. Jest tak jakoś lodowato – jak w mroźny styczniowy dzień. A my mamy iść do góry.

08.10

Constans. Słońce świeci, wiatr wieje, my w bazie. Role rozdane. Wychodzimy w drugim rzucie 11.10. Albo kita albo sława. Plan teoretycznie dobry. Tylko albo zawiodą ludzie, albo pogoda nie pozwoli go zrealizować. Schodzimy w dół osiemnastego czyli jeszcze dziesięć dni – a kiedy w Polsce? Znowu włos mi się jeży – biedna Iwona. Przzyrzekam, że jak wrócę to na początku w ogóle nie będę wychodził z domu. Zamknę się w łazience i będę oglądał z wanny telewizję. Świeżego powietrza starczy mi na długo. Najgorsze są przebudzenia i tuż przed zaśnięciem. Zimno. Siedzę w pięknym słońcu, a lodowaty wiatr liże mi stopy. Można oszaleć. Z drugiej strony jak gdybym przyzwyczał się do wszystkiego. Taki odjazd. Jeść to jeść, wyjść to wyjść,

zimno to zimno. Żeby chociaż udało się wejść na osiem! A Barni to już chyba we Wiedniu!

Dzisiaj pierwszy raz wyciągnąłem karimat na słońce. Dało się poleżeć. Wprawdzie w ubraniu, ale zawsze. Od razu poczułem się lepiej. Może jakoś wytrzymam do końca.

09.10

Bez zmian. Kukuły z Jolą poszły do góry – co za ulga. My czekamy. Wczoraj wieczorem totalny odjazd. Rzuciło nam się na mózgi, ale przynajmniej pośmialiśmy się. Dobre i to.

10.10

Kukuły doszły do półtorówki i wrzeszczą, że wieje. Chyba znowu dadzą dupy. To im chyba weszło w krew. W bazie powstało nowe określenie: „hieny himalajskie”.

My wychodzimy jutro. Czuję moc! Ciekawe jak wysoko zajdziemy – czy powtórzy się Tukche? W bazie słońce, lekki wiaterek. Jest mi tu coraz lepiej – czyżbym się dopiero teraz zaaklimatyzował?

Na razie wygląda na to, że Makalu odparł ataki tej jesieni. A przecież pogoda była bardzo dobra – znowu zadecydowały trzy dni opóźnienia w Delhi.

Kto by pomyślał.

14.10.1988 Ryszard Kołakowski zginął w trakcie zejścia,
po samotnym zdobyciu wierzchołka Makalu.

Jego ciała nigdy nie odnaleziono.

PODSUMOWANIE SEZONÓW SPORTOWYCH 2014 I 2015

Paweł Bednarz

Przeglądając poprzedni numer *A/Zero* można było odnieść wrażenie, że scena sportowego wspinania w klubie AD 2014 została zdominowana przez raptem kilku (bardzo utalentowanych skądinąd) aktorów. Rzeczywistość jednak, dająca o sobie znać zarówno w postaci pogłosek zasłyszanych nad podlesickim ogniskiem, jak i plotek docierających od czasu do czasu z bardziej wirtualnych źródeł, zdawała się zupełnie tym swoim fragmentarycznym obrazem nie przejmować. Szczęśliwie, brakujące wykazy dotarły w końcu do redakcji, dzięki czemu mogę teraz przedstawić – miejmy nadzieję kompletny już – obraz tego, co udało się „naszym” przez ostatnie dwa lata osiągnąć. A nazbierało się tego na tyle dużo, że dla czytelności artykuł ten rozbiłem na trzy oddzielne sekcje, z których każda traktuje o innym aspekcie wspinania sportowego.

WSPINANIE Z LINĄ

Chyba wszyscy będziemy zgodni, że ostatnimi laty wspinanie z liną ma w klubie twarz kobiety. Stało się tak za sprawą **Niny Gmiter**, która w imponującym tempie odhacza kolejne trudne drogi. Tylko dzięki dosłanym w ostatniej chwili wykazom wygraliśmy w konkursie „Nina kontra reszta klubu” na ilość ósemkowych przejść. I tak koniec roku 2014 to dla naszej zawodniczki przede wszystkim sukces na *Fish eye* (8c) w Olanie. W roku 2015 natomiast Nina nie tylko pokonuje kolejną drogę

w stopniu 8c, lecz też na *El Repte* (Terradets, 8a) podnosi swoją życiówkę we wspinaniu bez znajomości. Meldując się pod łańcuchem *Et Dieu créa la flamme* (Verdon, 8a+), poprawia również swój najlepszy wynik w stylu flash. Zgromadzone przez naszą koleżankę przejścia bez cienia wątpliwości plasują ją w ścisłej czołówce najlepiej wspinających się Polek.

W tym podsumowaniu po dżentelmeńsku pola w kategorii osiągnięć „linowych” ustąpił Ninie **Janek Sokołowski**. Ustąpił, ale tylko o krok, bo chyba nikt by już nie uwierzył w wiarygodność

Janek Sokołowski podczas prób na *Chucku* (VI.6). Fot. Kamil Żmija



Nina Gmter na drodze *Snails paradise* (8b+). Fot. Marvin Winkler

zestawienia, w którym przy nazwisku „Sokołowski” nie widniałaby droga spod znaku VI.6. Tym razem w jego wykazie znajdziemy trzy takie linie, co wraz z pokaźną kolekcją dróg w stopniu VI.5 składa się na obraz bardzo owocnych sportowo sezonów. Wspomnieć wypada także, że ostatnio działalność Janka nie koncentruje się tylko na wspinaniu skałkowym z liną, dzięki czemu jego świetne przejścia pojawiają się także w zestawieniu górskim i bulderowym. John konsekwentnie dodaje również do jurajskiej oferty dróg własne propozycje. Tym razem w wyniku jego ekiperskich wysiłków powstają trzy trudne drogi na Łęczu i jedna na Górze Aptece. Minione dwa sezony z pewnością do udanych może zaliczyć **Łukasz Wolf**. W jego wykazie wyróżnia się przede wszystkim onsight na drodze *Le grand pèlerinage* (8a) w Tarnie oraz flash na *Powierzchniach tnących* (VI.5) w Trzebniewie. Godną pozazdroszczenia cechą wspinania Łukasza jest łatwość, z jaką radzi on sobie z drogami w przedziale 7c-7c+. To, co dla wielu oznacza często wielodniową batalię, jemu zajmuje nie więcej niż trzy próby, co potwierdza kilkunastu (!) przykładami w ciągu ostatnich dwóch lat.

W tegorocznym podsumowaniu zdecydowanie nie należy przeoczyć świetnych przejść **Marysi Karpitowskiej**. Marysia wpinając się do łańcucha *Wycieczki do Ojcow* na Okienniku (VI.5+), dokonuje jednego z najlepszych kobiecych przejść na Jurze w naszym klubie. Świątną formę potwierdza też podczas jesiennych wyjazdów na Kalymnos, gdzie pokonuje drogi *Boom boom* i *The Path to Deliverance* – obie wyceniane na 7c+.

Ostatnimi czasy dobrze spisuje się nasza klubowa młodzież. 11-letni **Kostek Sobański** po sukcesach na Jurze (techniczny

Chiński Maharadża i zdecydowanie bardziej siłowy *Messer*, obie w okolicach VI.5), w sezonie 2015 wybrał się do Margalefu. Tam jego łupem pada *La sombra del viento* (8a) i dwa onsighty na drogach wycenianych na 7b (*Sabore di mare*, *Tropicana*). Z kolei nasz drugi silny młodzik, 17-letni **Gilbert Baćmaga** skupił się na kompletowaniu trudnych dróg na Filarze Abazego w Dolinie Bolechowickiej, czego efektem są przejścia spod znaku VI.5 i VI.5+, w tym autorska kombinacja o nazwie *Maska* wyceniona przez Gilberta na VI.5+.

Dla **Karoliny Gurby** szczególnie udany okazał się sezon 2014. Reprezentantka naszej sportowej kadry odwiedziła wiele skałkowych rejonów Francji i Hiszpanii, z których przywiozła kolejną „ósemkę a” – *Les ailes du désir* oraz kilkanaście dróg z przedziału między 7b+ a 7c+.

Niesłabnącą od lat mocą dysponuje **Andrzej Szypowski**, co udowadnia regularnie przechodząc linie wyceniane na VI.5 z haczykiem, w tym ocierające się o stopień VI.6 *Powitanie wiosny* na Okienniku Skarżycym oraz równie trudną, znajdującą się na Jastrzębniku *Aleję zasłużonych*. Na brak formy nie może też narzekać **Dominik Bokowy**. W jego wykazie wyraźnie dominują linie, w których umiejętność solidnego doginania ręki w łokciu jest więcej niż wskazana. Perłą w koronie jego wykazu jest flash na świeżej jeszcze propozycji Przemysława Mizery i Piotra Wycislika o nazwie *Bruno i Toni*. Wydaje się, że dyskusje na temat trudności tej drogi doprowadziły do konsensusu w postaci stopnia VI.5. Konsekwentnie po drabince kolejnych skałkowych trudności wspina się **Leszek Iwan**. W roku 2015 podnosi swój życiowy



Janek Sokołowski i jego nowa propozycja: *Perfekcyjna niedoskonałość* VI.6. Fot. Szymon Marciniak

wynik do VI.5+/6 (*Alis in the Sky*, Bogdanka). Podobnie jak i Dominik, wpisuje też do kajetu przepiękną *Bożą inwazję* na Heavy Metalu (Łęzec). Leszek o nowości spod wiertarki Janka Sokołowskiego wypowiada się w samych superlatywach pisząc, że to droga, która w każdym rejonie wspinaczkowym na świecie byłaby prawdziwą perełką.

Rewelacyjnie poczynali sobie w skałkach nasze klubowiczki. **Aga Cudna-Ryzer** podnosi swoją zagraniczną życiówkę, prowadząc w Ospie *Preobrazbę* (7c+), a w Polsce notuje przejście *Supernowej* na Suchym Połciu (VI.4+/5). Droga ta ze względu na dość słowy start i parametryczną końcówkę z pewnością nie jest łatwą dla pań propozycją i tym bardziej należą się za nią Adze gratulacje. **Ola Stańczak** wzorem ubiegłych lat skutecznie łączy egzotyczne podróże ze sportowym wspinaniem na wysokim poziomie. Pomimo zmagani z kontuzjami udaje się jej na dłużej odwiedzić tureckie Geyikbayiri i australijskie Blue Mountains, czego efektem są przejścia na poziomie 7c RP i 7b OS. **Asia Oleksiuk** oprócz obiecujących startów w zawodach może pochwalić się dwoma jurajskimi liniami wycenionymi na VI.4+, a z pobytu w Geyikbayiri przywozi dwie „siódemki b”. Przebojem do podsumowania wdarła się **Kasia Najman**, która przechodzi w Margalefie *Esquerre Espinazzo* (7c). Szybkie tempo, z jakim Kasia rozprawia się ze swoją życiówką, pozwala przypuszczać, że mocniejsze przejścia w jej wykonaniu są tylko kwestią czasu. **Magda Nowak** to przykład zawodniczki, której udaje się z sukcesami łączyć wspinanie górskie i sportowe. W ostatnich latach Magda rozprawia się z obowiązkową propozycją Leśnej Turni w Rzędkowicach –

Warszawskimi lekcyjami. Do tego przechodzi bardzo palczaste *Wahadelko* w Dolinie Będkowskiej (obie drogi za VI.4/+), a z wyjazdu na Kalymnos wraca z trzema 7a pokonanymi bez znajomości. Bardzo cieszy fakt, że umowne 7b kwalifikujące do grona najlepszych klubowych wspinaczek przekraczają po raz pierwszy jeszcze trzy panie: **Milka Niezgoda**, **Marlena Jastrzębska** i **Marysia Rupińska**. W przypadku Marysi jest to debiut z przytupem, bo rzeczone 7b poddaje się od razu w stylu onsight.

Semestralny wyjazd do Andaluzji świetnie wykorzystuje **Piotrek Zaremba**. W El Chorro pokonuje m.in. monstrualną *Lourdes* wycenianą na 8a, a dobrą formę udaje mu się przekuć na jurajskie sukcesy w postaci przejść *Chirskiego Maharadży* i *Krytyki czystego rozumu* (obie VI.5). Z tą ostatnią radzi sobie również Wojtek Ryzer. Wojtek w sezonie 2015 rozprawia się też z niełatwą propozycją Wielkiej Cimy w Podzamczu, *Mandalą życia*, którą opisuje jako „przepiękne, techniczne wspinanie przedzielone kilkoma restami”. Dwóch klubowych przejść w wykonaniu **Marcina Księżaka** i **Mateusza Zabłockiego** doczekał się *Kaprys bogów* (VI.5+) na Górze Zborów. Mateusz może się dodatkowo pochwalić poprowadzeniem znajdującej się nieopodal rysy *Science fiction*, której wycena (VI.4+) zaproponowana przed laty przez Piotra Korczaka nie oddaje zdecydowanie trudności tej wymagającej linii. Jedną z najpopularniejszych dróg tegorocznego zestawienia zostaje o dziwo niełatwa w swojej wycenie *Dupa Biskupa* (VI.5) w Rzędkowicach – wpisują ją do kajetu **Alek Barszczewski**, **Alex Sharman**, Janek Sokołowski i **Przemek Klentak**. Klenio przechodzi tę biegnącą rysą drogę

w stylu HP. Jak sam pisze, dwie „betonowe” kości w połowie drogi zabezpieczają cruxa niczym ring z nierdzewki, podobnie na wyjściu. Jedynie dół nie jest dobrze asekurowalny i tu należy spiąć poślady. W kontekście przejścia GU własna asekurowacja na Dupie wydaje się trudna, ale jak najbardziej możliwa. Alex Sharman na Brzuchatej Turni przechodzi jeszcze Pałę Kardynala (VI.5) oraz dwie linie w tej wycenie na Okienniku Skarżyckim. Ze względu na charakter wspinania w polskim wapieniu przejścia OS i flash na wysokim poziomie nie goszczą zbyt często w klubowych wykazach – w tym kontekście trzy linie za VI.4 pokonane przez Aleksa flashem robią wrażenie.

W ostatnich sezonach z tonu nie spuszczają też **Maciek Wolski**, **Dominik Wiśniewski** i **Mariusz Bartosiewicz**. Każdy z nich zapisuje na swoje konto po trzy jurajskie sześć-piątki. Maciek wykazał się przy tym dużą skutecznością na drogach o plusa łatwiejszych (osiem dróg w stopniu VI.4+). Dominik natomiast radzi sobie z nietypową propozycją Jastrzębnika – *Młynarczykową wycieczką*. W przeciwieństwie do sąsiednich, siłowo-wytrzymałościowych linii na głównej ścianie, droga jest sprawdzianem techniki i umiejętności znalezienia całkiem nieoczywistej sekwencji w kruście.

Rok 2014 to dla **Tomka Rumianowskiego** głównie wspinanie w pomarańczowym wapieniu. Z wiosennego wypadu do El Chorro Tomek przywozi swoją życiówkę – biegnącą prawą krawędzią sektora Poema de roca *Talibanę* (7c+). Z kolei jesień to dłuższy pobyt w Geyikbayiri i wyrównanie życiowego wyniku – już w czwartej próbie pada *Pumping on Big Mother's Breasts*. W położonym niedaleko Citdibi Tomek

przechodzi w stylu OS drogę *Playing for Change* cenioną na 7b+. Z kolei poprzedni sezon upływa pod znakiem niezłych przejść jurajskich, gdzie oprócz kilkunastu dróg za VI.4 i wyżej pokonanych w stylu PP, Tomek łączy ekspresowo (flashem) przechodzi drogę *Ekspres* (VI.4) w Dolinie Wiercicy.

Po swoje pierwsze sześć-piątki pod Kraków wybrał się **Jerzy Rostański**. Tam przechodzi m.in. *Anhedonię* – najtrudniejszą propozycję Łysych Skał, która wymaga od wspinacza dużej wszechstronności – wprost po pokonaniu czujnych ruchów na początkowym połogu przechodzi się do serii mocnych, siłowych przechwytyw na przewieszanej górze. W klasycznym stylu warszawskim swoje wspinanie na poziomie VI.5 rozpoczął tymczasem **Maciek Ostrowski**, radząc sobie z ruchem do słynnej kasetki i topowym przewisem *Greka Korby*. W kolejnym sezonie Maciek potwierdza niezłą formę, wpinając się do łańcucha *FFMeuh* (7c+) w Saint-Léger. Mocnymi przejściami może się też pochwalić **Tomek Czopowicz**, który w sezonie 2015 zapisuje na swoje konto trzy drogi wyceniane na VI.5, w tym zrobioną w szybkim tempie *Kampanię zimową*.

Szymon Marciniak, który przyzwyczał nas już do solidnych jurajskich przejść tym razem swoje najmocniejsze drogi pokonał we Francji. W położonym w okolicach Saint-Léger Du Bas Szymon przechodzi w najczystszy styl *Les mini Pousses* (7b), a w nieodległym Russan pokonuje *Macumbę* za 7c.

Ze względu na ilość zawodniczek, których nazwiska pojawiają się w powyższym zestawieniu, jak i na trudność pokonywanych przez nie dróg można śmiało powiedzieć, że kobiece wspinanie w klubie przeżywa obecnie swój złoty okres. Natomiast wiele



Leszek Iwan w trudnościach *Kaprysu bogów* (VI.5+). For. Maciek Ostrowski

solidnych wykazów po męskiej stronie podsumowania (w tym młodych Gilberta i Kostka) pozwala mieć nadzieję, że na polu męskiego wspinania sportowego doczekamy się w najbliższych latach równie spektakularnych wyników.

ZAWODY

Lata 2014 i 2015 przynoszą kilka pozytywnych akcentów jeśli chodzi o starty naszych reprezentantów. Zanim jednak do tego przejdziemy, należy wspomnieć o sukcesach dwóch osób, dzięki którym od kilku lat nazwa naszego klubu pojawia się w wynikach zawodów najwyższej krajowej rangi. **Olek Romanowski** w ciągu ostatnich dwóch lat czterokrotnie staje na podium bulderowego Pucharu Polski, wygrywając w Jaworznie, a w Poznaniu ustępując tylko reprezentantowi Ukrainy Sergiejowi Topishko. Z kolei z liną świetnie reprezentuje nas Nina Gmiter, która zajęła drugie miejsce w szesťorocznych Mistrzostwach Polski w prowadzeniu.

Do grona klubowych mistrzów dołącza bezapelacyjnie **Kostek Sobański**, który może poszczycić się pierwszymi miejscami w Pucharach Polski w swojej kategorii wiekowej zarówno we wspinaczce na czas, jak i w prowadzeniu. Kostek bierze również udział w zawodach amatorskich, regularnie zajmując miejsca na pudle, a zdobyte przez niego doświadczenie startowe z pewnością zapoczątkuje w przyszłości w seniorskich zmaganiach z liną. Warto sobie zdawać sprawę, że młodzieżowe starty to nie tylko wysiłek samego zawodnika, ale też duża determinacja rodziców i wycucie trenera, dobierającego stosowne w tak młodym wieku metody treningowe. Pod tym

względem gratulacje należą się więc również tacie Kostka – Sławkowi Sobańskiemu oraz naszemu klubowemu specjalście od pracy ze zdolną młodzieżą – Jankowi Sokołowskiemu.

Na polu wspinania bulderowego doczekaliśmy się w klubie kilku utalentowanych zawodniczek. Rewelacyjnie startuje Asia Oleksiuk, zajmując 7. miejsce w Pucharze Polski w Poznaniu i 10. w Mistrzostwach Polski w Warszawie. Kasia Nejman może się poszczycić udanymi startami w zawodach amatorskich, a w ostatnim sezonie z sukcesami bierze udział również we wszystkich edycjach Pucharu Polski (swoje najlepsze 10. miejsce zajmując w Gdańsku). W zawodach lokalnych zaś triumfy święci **Alicja Szczerek**, która już dwa razy stawała na podium Warszawskiej Ligi Bulderowej (w tym raz na najwyższym jego stopniu). W przypadku Ali trudno oprzeć się wrażeniu, że scena zmagani amatorskich robi się już dla niej zbyt ciasna i pozostaje mieć nadzieję, że w przyszłym sezonie również i ją będziemy mogli dopingować na zawodach rangi mistrzowskiej.

Warto też wspomnieć o coraz lepszych startach Tomka Rumianowskiego, który w tym roku trzykrotnie miał okazję zbierać pucharowe szlify. W zawodach amatorskich z sukcesami rywalizowała Ola Stańczak, najlepiej wypadając na Antygrawitacji w Poznaniu (2014), gdzie uplasowała się na 3. miejscu. Ewidentnie dwa poprzednie sezony przyniosły pozytywną zmianę w postaci wzrastającej wreszcie ilości startujących w naszych barwach zawodników. Oby ten pozytywny trend utrzymał się i w nadchodzącym roku, gdyż liczebność reprezentującej nas kadry ciągle zdaje się być niewspółmiernie niska w stosunku do ilości członków klubu.

Kostek Sobański w drodze po 3. miejsce na Pucharze Polski Młodzików i Dzieci 2014. Fot. Sławomir Sobański



BULDERY

Na małych formach dominowała stara gwardia klubowych bleusardów w osobach **Łukasza Jankowskiego i Janka Koguta**. Janek z podparyskich lasów przyjeżdża bogatszy o przejścia czterech problemów wycenianych w okolicach 7C, w tym *Coup de Force* w sektorze Rocher Guichot (tu wycena brzmi 7C/+). W wykazie Janka natomiast imponuje nie tylko trudność samych problemów (choć dwa z nich są przecież wyceniane są na 7C), ale też ilość pokonywanych przez niego rokrocznie siódemek. W ciągu ostatnich dwóch lat licznik zatrzymał się na trzydziestu ośmiu siódemkowych przejściach, co uwzględniając rzetelny styl wyceniania bul-

derów w Fontainebleau jest nie lada wynikiem. Ola Stańczak udowadnia, że problemy za 7A to dla niej chleb powszedni. Potwierdza to wielokrotnie, nie tylko podczas kolejnej już swojej wizyty pod Paryżem, ale też w ramach wyjazdu do południowoafrykańskiej mekki bulderowców – Rocklands. Na polskim podwórku natomiast z klasykiem Kamienia Michniewskiego o nazwie *Keep fit* radzi sobie Janek Sokółowski, skromnie stawiając przy swoim przejściu cyferkę 7C (poprzednicy skłaniali się raczej ku 7C+). W tym samym (nota bene jednym z najbliższych Warszawie geograficznie) rejonie działają również Piotrek Zaremba i Tomek Rumanowski, dzięki czemu każdy z nich może pochwalić się przejściami na poziomie 7B.

SKAŁY

AGNIESZKA CUDNA-RYCZER**Jura Krakowsko-Częstochowska***Supernowa* VI.4+/5 RP*Prostowanie sprawdzianu z refleksu* VI.4+ RP*Wolant* VI.4/4+ RP*Manitua* VI.4 RP*Strzał w dziesiątkę* VI.4 RP**Chulilla, Hiszpania***Nivelungalos* 7c RP*Sendero sinuoso* 7a+ OS*Lgargola R1+R2* 7a+ RP*Miguel Gomez* 7a/a+ OS*Richar line* 7a OS*Plan „Z”* 7a OS**Margalef, Hiszpania***O'Mar Galef* 7b RP*Pitus i Flautes* 7b RP*Amb pal no dona pal* 7b RP*(bez nazwy)* 7a+ OS*Beta de boira* 7a OS*Baby siter* 7a OS*Qué pasa neng?* 7a OS**Osp, Słowenia***Preobrazba* 7c+ RP*Nikita* 7b+ RP*Vitez iz Poljan* 7a OS**NINA GMITER****Les Gorges du Verdon, Francja***Spanish Caravan* 8c RP*Le feu occulte* 8b+ RP*Bohemian Symphony* 8b RP*Mister Benjoin* 8b RP*Et Dieu créa la flamme* 8a+ FL*Kiss Kiss Bang Bang* 8a RP**Pic Saint-Loup, Francja***Dieu* 8b+ RP*Riche du temps* 8b+ RP*Les rois du petrole* 8b+ RP*Snails Paradise* 8b RP*La memoire des mutants* 8a+ RP*La genese des mutants* 8a+ RP*La verite est ailleurs* 8a RP**Oliana, Hiszpania***Fish Eye* 8c RP*Los humildes pa casa* 8b+ RP*Los humildes pa riba* 8a+ RP*Mishi* 8a RP**Rodellar, Hiszpania***La Banda* 8b RP*Aporia* 8a+ RP*Paideia* 8a+ RP*Citrus* 8a/+ RP**Terradets, Hiszpania***Sense estil* 8a+ RP*Alone* 8a+ RP*El Repte* 8a OS*La Treva* 8a RP

ok. 30 dróg 7b-7c+ OS/RP

KAROLINA GURBA**Gorges du Tarn, Francja***Les ailes du désir* 8a RP*Pas d'pognon, pas d'8a, pas d'gonzesse* 7b+ RP*Planet Groove* 7c+ RP*Le plaisir qui demonte* 7c RP**Saint Léger, Francja***FFmeuh* 7c+ RP**El Chorro, Hiszpania***Talibania* 7c RP*Honk down* 7c RP*(bez nazwy)* 7c RP**Margalef, Hiszpania***(bez nazwy)* 7c RP

3 drogi 7b OS/FL

17 dróg 7b-7b+ RP

MARLENA JASTRZĘBSKA

Jura Krakowsko-Częstochowska

Mandolina ogiera VI.4 RP

Rodellar, Hiszpania

Tu eres la primera 7a OS

Lola 7a FL

MARYSIA KARPIŁOWSKA

Jura Krakowsko-Częstochowska

Wycieczka do Ojcowa VI.5+ RP

Maratończyk „na krzywy ryj” VI.5 RP

Pożegnanie z wiadrem VI.4 RP

Sernik Wiedeński VI.4 RP

Kalymnos, Grecja

Boom boom 7c+ RP

The Path to Deliverance 7c+ RP

Sirene 7c RP

Inti Raymi 7b+ RP

Xaveri 7b FL

Omeros 7b RP

Lucky Luka 7b RP

Sevasti 7b RP

Lysistrati 7a+ OS

Osp, Słowenia

Pinot 7c RP

Runo 7b+ RP

Hugolina 7b+ RP

Reksi 7b RP

Pticia perspectiva 7b RP

KATARZYNA NAJMAN

Jura Krakowsko-Częstochowska

Mandolina ogiera VI.4 RP

Margalef, Hiszpania

Esquerre Espinazzo 7c RP

7 dróg 7a RP

MIŁKA NIEZGODA

Jura Krakowsko-Częstochowska

Mandolina ogiera VI.4 RP

Rudy Orm VI.3+ RP

Panel słoneczny VI.3 RP

Pajęcza zwinność VI.3 RP

Lewiatan VI.3 RP

MAGDA NOWAK

Jura Krakowsko-Częstochowska

Warszawskie lekcje VI.4/+ RP

Wahadełko VI.4/+ RP

Kalymnos, Grecja

Gladiator 7b RP

DNA 7a OS

Ioli 7a OS

Tahar la queale 7a OS

9 dróg 7a RP

ASIA OLEKSIUK

Jura Krakowsko-Częstochowska

Piekło jest we mnie VI.4+ RP

Anna Maria VI.4+ RP

Bajer full VI.4 RP

Rekin VI.4 RP

Tarantula VI.3+ RP

Aminokwas VI.3/+ RP

Anakonda VI.3 FL

KW Asior (Szarak) VI.3 FL

Citdibi, Turcja

Number 1 7b RP

Geyikbayırı, Turcja

Rattle Snake Saloon 7b RP

Toros 7a+ RP

MARYSIA RUPIŃSKA

Gorge du Tarn

Une colonne derrière les verrous 7a OS

Kalymnos, Grecja

Lucky Luca 7b OS

Omiros 7b RP

Amphora 7b RP

Saule 7a+ OS

Ixion 7a FL

Biloute 7a OS

DNA 7a OS

OLA STAŃCZAK

Blue Mountains, Australia

George, King of the Jungle 25 RP

Madge MacDonald 25 RP

Dr Stein 25 RP

Grape Hour 25 RP

Good Big Dog 24 OS

Meat Mallet 24 OS

Nev Herrod 24 FL

Jaqueline Hyde 24 FL

Geyikbayırı, Turcja

Memory of Giovanni 7c RP

Geyikbayırı Games 7b+ RP

Power Slave 7b OS

Lycian Highway 7b FL

Pink Power 7b RP

Greek Gift 7b RP

Blue Hotel 7b RP

Viagra Cocugu 7b RP

Demir Kazik 7b RP

Rock Republic 7b RP

Neptune 7b RP

Diplomarbeit 7b RP

Fire Spire 7a+ OS

Toros 7a+ OS

Big Turkey 7a+ OS

Ahtapot 7a+ FL

14 dróg 7a OS

15 dróg 7a-7a+ RP

ALEK BARSZCZEWSKI

Jura Krakowsko-Częstochowska

Dupa biskupa VI.5 RP

Hektor VI.5 RP

Eldorado VI.5 RP

MARIUSZ BARTOSIEWICZ

Jura Krakowsko-Częstochowska

Lumbago VI.5 RP

Władca pierścieni VI.5 RP

Salami vice VI.5 RP

Kant finansowy VI.4+/5 RP

Międytłapie VI.4+ RP

Ogi VI.4+ RP

GILBERT BAĆMAGA

Jura Krakowsko-Częstochowska

Wariacje VI.5+ RP

Maska VI.5+ FA

Akslop VI.5/+ RP
Skalne sztafety VI.5 RP

PAWEŁ BEDNARZ **Jura Krakowsko-Częstochowska**

Rzuty osobiste VI.5 RP
Chiriski maharadża VI.5 RP
Hektor VI.5 RP
Odłot proroka VI.5 RP
Wzlot VI.5 RP
Messer VI.5 RP
Murarz IV - reaktywacja VI.5 RP

Rodellar, Hiszpania

A cravita 8a RP
Tragaldabas L1 + L2 7c+ RP

Sperlona, Włochy

Salsiccia power 7c+ RP

26 dróg 7b+–7c RP
5 dróg 7b OS

DOMINIK BOKOWY **Jura Krakowsko-Częstochowska**

Idą łysi VI.5+ RP
Eldorado VI.5 RP
Boża inwazja VI.5+ RP
Dewastator getta VI.5+ RP
Tytanowe implanty VI.5+ RP
Bruno i Toni VI.5 FL
Gdzie przykazarli brak dziesięciu VI.5 RP
Awaryjna Anka VI.5 RP
Pała kardynała VI.5 RP

Hektor VI.5 RP

Kalymnos, Grecja

Helios 8a RP
Pandora 7c+ RP
Orion 7c+ RP
Nirvana 7c OS

TOMEK CZOPOWICZ **Jura Krakowsko-Częstochowska**

Hektor VI.5 RP
Lumbago VI.5 RP
Kampania zimowa VI.5 RP
Prostowanie sprawdzianu z refleksu VI.4+ RP

LESZEK IWAN **Jura Krakowsko-Częstochowska**

Alis in the Sky VI.5+/6 RP
Kaprys bogów VI.5+ RP
Boża inwazja VI.5+ RP
Hektor VI.5 RP
Kruchy żółty okap VI.5 RP
Brutalny trucht VI.5 RP
Samotność długodystansowca VI.5 RP
Bruno i Toni VI.5 RP
Kampania zimowa VI.5 RP
Lumbago VI.5 RP
Władca pierścieni VI.5 RP
Porozmawiamy o kobietach VI.4+/5 RP

Adlitzgraben, Austria

Streetfighter 7c RP

Osp, Słowenia

Hobit 7c RP

Geyikbayırı, Turcja

Flat Rate 8a RP
Ikarus 8a RP

Perseus 7c+ RP

Yin Yang 7c RP

Pusht Bush 7b+ OS

Lycian Highway 7b OS

11 dróg 7b-7b+ RP

PRZEMEK KLENTAK **Jura Krakowsko-Częstochowska**

Dupa biskupa VI.5 HP

MARCIN KSIĘŻAK **Jura Krakowsko-Częstochowska**

Kaprys bogów VI.5+ RP
Władca pierścieni VI.5 RP
Kant finansowy VI.4+/5 RP

SZYMON MARCINIAK **Jura Krakowsko-Częstochowska**

Prostowanie siostrzeńców kaczora VI.4+ RP
Młode strzelby VI.4+ RP
Du Bas, Francja
Les mini Pousses 7b OS

Russan, Francja *Macumba* 7c RP

MACIEK OSTROWSKI **Jura Krakowsko-Częstochowska**

Grek Korba VI.5 RP
Lumbago VI.4+ RP
Saint Léger, Francja
FFMeuh 7c+ RP
Geyikbayırı, Turcja
Black Moon 7b+ RP
San Vito lo Capo, Włochy
All cats are black at night 7b+ FL

JERZY ROSTAFIŃSKI **Jura Krakowsko-Częstochowska**

Anhedonia VI.5 RP
Komarów 1920 VI.5 RP
Megiera VI.4+ RP
Dzikie węże VI.4 RP
Rekin VI.4 RP

TOMEK RUMIANOWSKI **Jura Krakowsko-Częstochowska**

Anna Maria VI.4+ RP
Piekło jest we mnie VI.4+ RP
Agent dołu VI.4/+ RP
Pieskie życie VI.4/+ RP
Tam gdzie rosną poziomki, czyli Jacek dalby 6.6 VI.4/+ RP
Ekspres VI.4 FL

El Chorro, Hiszpania

Talibania L1+L2 7c+ RP

Honk Down 7c RP

Citdibi, Turcja

Citdibi 7c RP
Playing for Change 7b+ OS

Geyikbayırı, Turcja

Pumping on Big Mother's Breasts 7c+ RP
Leon 7c/+ RP
Tenten Konglomera'da 7c RP
Arsenik 7c RP
Poseidon 7b OS
Demir Kazik 7b OS

WOJTEK RYCZER

Jura Krakowsko-Częstochowska

Krytyka czystego rozumu VI.5 RP

Mandala życia VI.5 RP

Osp, Słowenia

Preobrazba 7c+ RP

ALEX SHARMAN

Jaroniec

Studenten Futter VI.4 FL

Jura Krakowsko-Częstochowska

Dupa biskupa VI.5 RP

Maratończyk na krzywy ryj VI.5 RP

Pała kardynała VI.5 RP

Władca pierścieni VI.5 RP

Supernowa VI.4+/5 RP

Hiszpański karawan VI.4+ RP

Zabójcza dłoń VI.4+ RP

Leśne echa VI.4+ RP

Rekin VI.4 FL

Lew morski VI.4 FL

Kalymnos, Grecja

Themelina VI.4+ RP

Tufa King Pumped VI.4+ RP

Alfredo Alfredo VI.4+ RP

Lucky Luca 7b OS

Gladiator 7b FL

10 dróg 7b RP

KOSTEK SOBAŃSKI

Jura Krakowsko-Częstochowska

Chiński Maharadża Wprost VI.5 RP

Chiński Maharadża VI.5 RP

Messer VI.4+/5 RP

Margalef, Hiszpania

La sombra del viento 8a RP

Corporació antiestética 7c RP

Sabore di mare 7b OS

Tropicana 7b OS

8 dróg 7b RP

JANEK SOKOŁOWSKI

Jura Krakowsko-Częstochowska

Chuck VI.6 RP

Perfekcyjna niedoskonałość VI.6 FA

Sportland na mściwoja VI.6 RP

Alis in the Sky VI.5+/6 RP

Boża inwazja VI.5+ FA

Stalo/drzew VI.5 FA

Ergofobia VI.5 FA

Dupa biskupa VI.5 RP

Awaryjna Anka VI.5 RP

Hektor VI.5 RP

Pinokio VI.5 RP

Tytanowe implanty VI.5 RP

Eldorado VI.5 RP

Bruno i Toni VI.5 RP

Seul VI.5 RP

Grek korba VI.5 RP

Prostawanie problemu Kuchara VI.5 RP

Rekin VI.4 OS

Ph 5,5 VI.4 FL

Ekspres VI.3+ OS

Russan, Francja

Quart de siècle 8a RP

Desplomilandia, Hiszpania

No toques a tu madre 8a+ RP

Madre salvaje 7c RP

11 dróg VI.4-VI.4+ RP

ANDRZEJ SZYPOWSKI

Jura Krakowsko-Częstochowska

Powitanie wiosny VI.5+/6 RP

Aleja zasłużonych VI.5+/6 RP

Dewastator getta VI.5+ RP

Eldorado VI.5+ RP

Moce piekielne VI.5+ RP

Drwal anonim VI.5 RP

Rzuty osobiste VI.5 RP

Lumbago VI.5 RP

DOMINIK WIŚNIEWSKI

Jura Krakowsko-Częstochowska

Będkowski playboy VI.5 RP

Młynarczykowa wycieczka VI.5 RP

Wzlot VI.4+/5 RP

ŁUKASZ WOLF

Jura Krakowsko-Częstochowska

Koniec wyścigu VI.5+ RP

Powierzchnie tnące VI.5 FL

Donos VI.5 RP

Jądra ciemności VI.5 RP

Lumbago VI.5 RP

Supernowa VI.4+/5 RP

Wolant VI.4+ RP

Agent dołu VI.4+ RP

Labák, Czechy

Údolní Hrana IXc OS

(bez nazwy) IXc OS

Psi zivot IXc RP

Priwniwlaska IXc RP

Gorges du Tarn, Francja

La tarte aux poils 8a+ RP

Le grand pèlerinage 8a OS

(bez nazwy) IX+ RP

Pyromania 7c+ OS

Avatarn 7c+ RP

Planet Groove 7c+ RP

Murati 7c FL

Gros but 7c RP

(bez nazwy) 7c RP

Loup de foudre 7b+ OS

(bez nazwy) 7b+ OS

Living color 7b+ FL

Saint Léger, Francja

La singe est l'avenir de l'homme 8a/+ RP

Fi, flo, floty 7c/+ OS

Trou de memore pour les commandos pasta gua 7b+ OS

Osp, Słowenia

Samsara 8a RP

Dolga cava 7c RP

Hugolina 7b+ OS

Tržaška Smer (przedłużenie) 7b+ OS

Krvave dimlje 7b+ FL

Ceredo, Włochy

No fear 7b+ OS

9 dróg 7b+ RP

MACIEK WOLSKI**Jura Krakowska-Częstochowska**

Kampania Zimowa VI.5 RP
Hektor VI.5 RP
Eldorado VI.5 RP
Messer VI.4+/5 RP
Zapotrzebowanie na pozory VI.4+ RP
Ogi VI.4+ RP
Spotkajmy się o północy VI.4+ RP
Wolant VI.4+ RP
Agent dołu VI.4+ RP
Zanikający biceps VI.4+ RP
Pieskie życie VI.4+ RP

MATEUSZ ZABŁOCKI**Jura Krakowska-Częstochowska**

Kaprys bogów VI.5 RP
Donos VI.5 RP
Science Fiction VI.4+/5 RP

PIOTREK ZAREMBA**Jura Krakowska-Częstochowska**

Krytyka czystego rozumu VI.5 RP
Chiński maharadża VI.5 RP
Srodek Lipczyński VI.4/+ RP

Sokoliki

Kletter Killer VI.4+ RP
Nos żubra VI.4/+ RP

El Chorro, Hiszpania

Lourdes 8a RP
Talibania L1+L2 7c+ RP
Atlas shrieked 7c+ RP
Siempre fuimos punkies 7c RP
Talibania L1 7c RP
Viejo traidor 7b+ RP
Irquieza 7b+ RP
Moritos jaeger 7b+ RP

La columna de Gollum 7b OS

Jackie Brown 7b OS

Las loi laufen 7b OS

Malaga, Hiszpania

Wake up and live 7b+ RP

Pinares de San Antón, Hiszpania

Eran tres putas 7c+ RP

12 dróg 7a-7a+ OS

Wszystkie wyceny ujęte w zestawieniu są wycenami przesłanymi przez autora przejścia. Ponieważ w wielu wypadkach nie dysponowałem informacją, czy przejście miało miejsce w stylu PP, czy RP postanowiłem używać oznaczenia RP do obu tych stylów.

ZAWODY

OLA STAŃCZAK**Fontainebleau, Francja**

Elucubration / le Quark 7A RP

Action Directe 7A RP

(bez nazwy) 7A RP

(bez nazwy) 7A RP

Cape Town, RPA

Mighty Steel Leg 7A RP

Planet Terror lub *Grindhouse* 7A RP

Ludic Fallacy 7A RP

Kill the Batman 7A RP

Rocklands, RPA

Maties 7A RP

Silky Smooth 7A RP

Sunset Traverse 7A RP

PAWEŁ BEDNARZ**Borzęta**

Licz kalorie 7C RP

Animal Pak SD 7B RP

Trochę szaleństwa 7B RP

ŁUKASZ JANKOWSKI**Fontainebleau, Francja**

Coup de Force 7C/+ RP

Le Lot de Boudins 7C RP

Coup de Faiblesse 7C RP

Bifurcation-Diversion Combi 7C RP

Magic Bus 7B+ RP

Chevalier Errant 7B RP

7 boulderów 7A-7A+ RP

JANEK KOGUT**Fontainebleau, Francja**

Bifurcation-Diversion combi 7C RP

La Bérézina / L'Abbé Résina 7C RP

Le Carnage 7B+ RP

Kangaroo City 7B+ RP

Futebol 7B+ RP

Mach 7B RP

Diversion 7B RP

Marginal 7B RP

Épiphyse 7B RP

Bifurcation 7B RP

27 boulderów 7A-7A+ RP

TOMEK RUMIANOWSKI**Kamień Michniowski**

Monsun 7B RP

JANEK SOKOŁOWSKI**Kamień Michniowski**

Keep fit 7C RP

Kusięta

Rudzik 7B RP

PIOTREK ZAREMBA**Brody Hżeckie**

Excoratio 7B RP

Piach w brodzie 7A+ RP

Gra przedwstępna 7A RP

Paździoch SD 7A RP

Kamień Michniowski

Tabex – Osmo 7B RP

Krzyżobranie 7A+ RP

Ojтам ojтам SD 7A RP

LISTA BALDY

NINA GMITER

2. miejsce, Mistrzostwa Polski, prowadzenie, Wrocław 2015

KASIA NAJMAN

1. miejsce, Drewniana Kłama, bouldering, Kielce 2014
10. miejsce, Puchar Polski, bouldering, Gdańsk 2015
12. miejsce, Puchar Polski, bouldering, Łódź 2015
13. miejsce, Puchar Polski, bouldering, Poznań 2015
16. miejsce, Puchar Polski, bouldering, Zakopane 2015
18. miejsce, Puchar Polski, bouldering, Warszawa 2015

ASIA OLEKSIUK

7. miejsce, Puchar Polski, bouldering, Poznań 2015
2. miejsce, T-wall Bouldering Cup, Katowice 2015
1. miejsce, Drewniana Kłama, bouldering, Kielce 2015
6. miejsce, BlokoBlisko Contest, bouldering, Kalisz 2015

OLA STAŃCZAK

8. miejsce, TrafoBoulderSzpil, Katowice 2014
12. miejsce, Bloco ReOpen, bouldering, Warszawa 2014
17. miejsce, ZakoBoulder Power, 2014
7. miejsce, Blokfit Open, bouldering, Gdańsk 2014
3. miejsce, Antygravitacja, bouldering, Poznań 2014
6. miejsce, Sydney Boulder Series - 5th round, 2015

ALICJA SZCZEREK

1. miejsce, Warszawska liga boulderowa, jesień 2014
2. miejsce, Warszawska liga boulderowa, jesień 2015
1. miejsce, VI Memoriał Andrzeja Skwirzyńskiego (w zespole z Mariuszem Marszałem), 2015

PAWEŁ BEDNARZ

5. miejsce, Warszawska liga boulderowa, jesień 2015

OLEK ROMANOWSKI

1. miejsce, Puchar Polski, bouldering, Jaworzno 2014
2. miejsce, Puchar Polski, bouldering, Poznań 2015
3. miejsce, Puchar Polski, bouldering, Zakopane 2015
3. miejsce, Puchar Polski, bouldering, Warszawa 2014
8. miejsce (półfinał), Mistrzostwa Polski, bouldering, Kraków 2014

KOSTEK SOBAŃSKI

1. miejsce, Puchar Polski MiD, prowadzenie, Wrocław 2014
1. miejsce, Puchar Polski MiD, prowadzenie, Tarnów 2015
1. miejsce, Puchar Polski MiD, prowadzenie, Wrocław 2015
2. miejsce, Puchar Polski MiD, wspinanie na czas, Warszawa 2014
2. miejsce, Puchar Polski MiD, wspinanie na czas, Jaworzno 2014
2. miejsce, Puchar Polski MiD, wspinanie na czas, Tarnów 2015
2. miejsce, Puchar Polski MiD, wspinanie na czas, Bytom 2015
3. miejsce, Puchar Polski MiD, prowadzenie, Warszawa 2014
1. miejsce, Juniorboulder, Warszawa 2014
1. miejsce, Mural Challenge, prowadzenie, Warszawa 2015
1. miejsce, zawody na otwarcie Makak Arena, wspinanie na czas, Warszawa 2014
1. miejsce, Zawody o Puchar Burmistrza dzielnicy Ochota, prowadzenie, Warszawa 2014
2. miejsce, Otwarte Mistrzostwa Śląska - Gliwice na Topie VII, prowadzenie, 2014
1. miejsce, Pierwsze Otwarte Zawody Wspinaczkowe na Ursynowie, prowadzenie, Warszawa 2015
1. miejsce, Mistrzostwa Lublina, bouldering, prowadzenie i wsp. na czas, 2014
1. miejsce, Zawody Turnieju Czterech Ścianek, prowadzenie, Brzeszcze 2015
1. miejsce, Zawody Turnieju Czterech Ścianek, prowadzenie, Jastrzębie-Zdrój 2015
2. miejsce, Zawody Turnieju Czterech Ścianek, prowadzenie, Brzeszcze 2014
2. miejsce, Zawody Turnieju Czterech Ścianek, prowadzenie, Jastrzębie-Zdrój 2014
2. miejsce, Zawody Turnieju Czterech Ścianek, bouldering, Ruda-Śląska 2015
2. miejsce, Zawody Turnieju Czterech Ścianek, prowadzenie, Bielsko-Biała, 2015
3. miejsce, Zawody Turnieju Czterech Ścianek, prowadzenie, Bielsko-Biała 2014
3. miejsce, Zawody Turnieju Czterech Ścianek, prowadzenie, Ruda Śląska 2014



www.obozowa.waw.pl

REKLAMA

SZKOŁA ALPINIZMU W PIONIE



ZAPRASZA NA

WWW.WPIONIE.PL

➔ **NAJWIĘKSZA ŚCIANA WSPINACZKOWA
W CENTRUM WARSZAWY** UL. NOWOWIEJSKA 37B

➔ **KURSY WSPINACZKI NA SZTUCZNEJ ŚCIANIE,
W SKAŁACH I W TATRACH**

Dla członków KW Warszawa 10% zniżki na kursy



ALPINIZM
W PIONIE

↓

0 601 24 29 23
0 501 501666

OMÓWIENIE SEZONU TATRZAŃSKIEGO 2015

Aneta Nejman

Patrząc na wykaz w tym roku można zauważyć, że duża część klubowiczów postanowiła przenieść się z działalnością taternicką na Słowację, a najpopularniejszymi celami były Kieżmarski i Batorywiecki Szczyt, Wołowa Turnia oraz Łomnica. W polskiej części Tatr wspięło się znacznie mniej osób, jednak udało im się zaliczyć mocne przeżycia. Łukasz Wolf razem z Tomkiem Osypińskim poprowadził jedną z najtrudniejszych linii Mnicha, czyli *Metalikę*. Na rozpracowanie drogi chłopakom wystarczyły dwa dni – sobotni rekonesans dwóch najtrudniejszych wyciągów oraz prowadzenie całosci w niedzielę. Na Mních działało również sporo innych zespołów. Drogę *American Beauty* VIII+ zrobili w stylu flash Janek Sokołowski z Pawłem Bednarzem oraz Piotr Zaremba z Tomkiem Mrozem. Janek przeszedł również *Alabamę* VIII- z Pawłem Bednarzem w stylu PP, a następnie RP z Maciem Korzeniakiem. Autor drogi prowadził kluczowy wyciąg w stylu PP i jest to prawdopodobnie pierwsze prowadzenie RP tej linii. Oprócz tego zespół Janek i Paweł wybrał się do Doliny Młynickiej na Słowacji, gdzie udało im się zrobić drogę *Pre Jarku* IX-. Mocnymi

przejściami może pochwalić się również Michał Przybyło, który razem z Bartkiem Kurowskim z powodzeniem zaatakował *Kastratora* XI-. Jest to przepiękna droga na Młynarczyku, w litej skale i solidnej ekspozycji. Kolejnym celem chłopaków stały się *Pajaki* VII+ na Kazalnicy, które w przeciwieństwie do obitego spitami *Kastratora* są prawdziwą górską przygodą. Większość asekuracji stanowią stare zardzewiałe haki, a że nie zabrali ze sobą młotki, mieli dużą motywację, żeby nie latać. Całość poszła sprawnie i wszystkie wyciągi padły OS. Już pod koniec sezonu Maciek Ostrowski zmierzył się z Granią Główną Tatr Wysokich, przechodząc samotnie odcinek od Wschodnich Żelaznych Wrót do Przełęczy pod Chłopkiem. Natomiast Paweł Strzelecki wraz z Wojciechem Malawskim przeszli część od Polskiego Grzebienia do Wysokiej. Miejmy nadzieję, że pogoda w Tatrach w nadchodzącym sezonie 2016 będzie tak samo dobra, jak w zeszłym roku i pozwoli na równie częste wyjazdy wspinaczkowe.

POLSKA

Kazalnica Mięgoszowiecka

Pajaki VII+

Michał Przybyło, Bartosz Kurowski (UKA), OS

Schody do nieba VI+

Łukasz Lewczuk, Iza Fiegel, OS

Młynarczyk *Kastrator* IX-

Michał Przybyło, Bartosz Kurowski (UKA), RP

Grań Tatr Wysokich – od Polskiego

Grzebienia do Wysokiej, max. IV

Paweł Strzelecki, Wojciech Malawski, OS

Mnich

Metalika IX+

Łukasz Wolf, Tomek Osypiński (KW Toruń), PP

American Beauty VIII+

Paweł Bednarz, Janek Sokołowski, FL

Piotr Zaremba, Tomasz Mróz, FL

Alabama VIII-

Janek Sokołowski, Maciek Korzeniak (UKA), RP

Janek Sokołowski, Paweł Bednarz, PP

Sprężyna VII-

Maciek Kalinowski, Monika Refczyńska,

Anita Urbaniak, OS

Wacław VI+ / VII-

Piotr Zaremba, Tomasz Mróz, OS

Czołówka MSW

Szare Zacięcie VI+

Łukasz Lewczuk, Iza Fiegel, OS

Maciek Kalinowski, Monika Refczyńska,

Anita Urbaniak, OS

Kopa Spadowa

Pachniesz brzoskwinii VII-

Sylwia Zarzycka, Justyna Gorzoch, AO

Maciek Kalinowski, Monika Refczyńska,

Anita Urbaniak, AF

Żabia Łalka

Grań Żabiej Łalki – wariant *Rysa Kozika* VI

Sylwia Zarzycka, Justyna Gorzoch, OS

Zamarła Turnia

Prawi Wrześniacy VI+, OS

Festiwal Granitu V, OS

Lewi Wrześniacy V, OS

Sylwia Zarzycka, Justyna Gorzoch

Prawy Kant Heinricha VII-, OS

Lewy Kant Heinricha VI, OS

Jargilo-Pačkowski VI+, OS

Prawi Wrześniacy VI+, OS

Robert Nejman, Piotr Juskiewicz

Zadni Kościelec

100

Michał Krawczyk, Tomek Pietraszewski,

Monika Albin

Patrzykont IV+

Michał Krawczyk, Anna Koźbiał, OS

Kościelec

Sprężyna VI-

Michał Krawczyk, Krzysiek Witos, OS



Lodowy Szczyt, Prawa Depresja, 2 wyciąg, wspina się Magda Nowak. Fot. P. Strzelecki.

SŁOWACJA

Kieżmarski Szczyt

Wielkie zacięcie VI+

Piotr Zaremba, Urszula Kurach, Marek Kuratnik, OS

Łukasz Lewczuk, Krzysztof Łowczyk (KW Olsztyn), 1xAF

Płyty Krissaka VI+

Piotr Zaremba, Rafał Nawrot, OS

Ewa Warzywoda, Maks Kulesza, Krzysiek Wolański

Prawy Puškáš V

Ievgen Obratsov, Arkadiusz Pawłowski

Lewy Puskas IV

Ievgen Obratsov, Arkadiusz Pawłowski
Dorota Piasecka, Tomek Piasecki

Łomnica

Obrovsky Pilier+Barbokine Slzy VII/VII+

Piotr Zaremba, Rafał Nawrot, OS

Stanislavski/Puskas V

Daniel Podębski, Michał Semeniuk, OS

Hokejka VII-

Daniel Podębski, Michał Semeniuk, 1xA0

Łukasz Lewczuk, Krzysztof Łowczyk (KW Olsztyn), AF

Święcki-Lipka V

Daniel Podębski, Michał Semeniuk, OS

Puskasova cesta V

Maciek Kalinowski, Monika Refczyńska, OS

Batyżowiecki Szczyt

Čihulov pilier V+

Róża Paszkowska, Tadeusz Grzegorzewski, OS

Ewa Warzywoda, Maks Kulesza i Krzysiek Wolański

Czarno-białe sokoliki VI+

Tomek Klimczak, Maciek Janczar, Maciek Ostrowski

Paweł Olendzki, Grześ Adamiec (ŚKA)

Ewa Warzywoda, Maks Kulesza, Krzysiek Wolański

Droga Kutty IV+

Ewa Warzywoda, Maks Kulesza, Krzysiek Wolański

Paweł Ratyński, Norbert Kowalski

Roland-Kubin V

Paweł Olendzki, Grześ Adamiec (ŚKA)

Gerlach

Płyty Krissaka VI+

Ewa Warzywoda, Maks Kulesza, Krzysiek Wolański

Mały Lodowy Szczyt (Siroka Veza)

Všetko v poriadku VI/VII-

Róża Paszkowska, Tadeusz Grzegorzewski, OS

Turnia nad Skokiem (Veža nad Skokom)

Pre Jarku IX-

Paweł Bednarz, Janek Sokołowski, PP

Skrajna Liptowska Turnia (Kozia Stena)

Suma Wszystkich Strachów VI+

Róża Paszkowska, Tadeusz Grzegorzewski, OS

Galeria Osterwy

Pavlin-Kracalik V+

Marta Mikołajczyk, Asia Malawska, OS

AliNina VI+/VII-

Marta Mikołajczyk, Asia Malawska, OS

Droga Dieżki VII-

Łukasz Lewczuk, Radek Gałązkiewicz, AF

Wołowa Turnia

Filar Puškáša VI+

Łukasz Lewczuk, Radek Gałązkiewicz, OS

Ěstok-Janiga VII-

Łukasz Lewczuk, Radek Gałązkiewicz, AF

Moribundus VII-

Łukasz Lewczuk, Radek Gałązkiewicz, AF

Stanislavski V

Łukasz Lewczuk, Radek Gałązkiewicz, OS

Kacper Gronkiewicz, Zuza Gronkiewicz

Dorota Piasecka, Tomek Piasecki

Wojtek Traczyk, Dominik Cysewski

Stařlawa V

Kacper Gronkiewicz, Zuza Gronkiewicz

Wojtek Traczyk, Dominik Cysewski

Mały Gerlach

Prostriedkom steny V

Jacek Kierzkowski, Tomek Klimczak

Maciek Janczar, Maciek Ostrowski

Szarpane Turnie

Puskas VII

Wojtek Traczyk, Dominik Cysewski, OS

Baranie Rogi

Šádek IV

Magdalena Nowak, Paweł Strzelecki, OS

Lodowy Szczyt

Pravé vhlbenie (V. Farkaš, M. Kriššák, M. Orolín)

Magdalena Nowak, Paweł Strzelecki, OS

Kopa Lodowa

Cesta k slnku

Magdalena Nowak, Marta Czajkowska,

Paweł Strzelecki, OS

OMÓWIENIE SEZONU GÓRSKIEGO 2015

Aneta Nejman

Rok 2015 pełen był wyjazdów wspinaczkowych w różne części świata. Klubowicze pojawili się w Alpach Delfinatu, Alpach Sabaudzkich, Dolomitach i Hollentalu. Dobra pogoda w Wilder Kaiser sprzyjała wspinaniu, z czego skorzystali uczestnicy obozu klubowego.

Niezwykłe egzotyczną podróż odbyli Maciej Bedrejczuk, Maciej Janczar, Tomasz Klimczak i Marcin Wernik (UKA). W sierpniu zespół wyruszył do doliny Lachit w Pakistanie, gdzie w ciągu dwumiesięcznej wyprawy udało im się wytyczyć drogę *Polish Couloir* na niezdobytej północno-wschodniej ścianie nienazwanego szczytu. W odległych rejonach świata działał również Wojtek Ryczer. Razem z Marcinem Rutkowskim i Rafałem Zającem zdobyli dziewiczy, sześciotysięczny szczyt w chińskiej prowincji Syczuan, wchodząc nową drogą *Hard Camping*.

Spora reprezentacja KW Warszawa wyruszyła do doliny Yosemite w USA. Piotr Sułowski w zespole ze Sławkiem Szlagowskim pokonał m.in. *Zenyatta Mondatta*, wymagającą hakówkę, która, jak opisuje Piotr, mocno dała się we znaki: „Pierwotnie nie mieliśmy w planach przejścia ZM, do jej zrobienia (tuż po zejściu z *Zodiaca*) zachęcił nas Regan słowami: «Progres chłopaki!! Róbcie progres!». Samo wspinanie przebiegało sprawnie, aczkolwiek nie bez emocji. Nie obyło się bez nerwowego falowania nogawką, przypluwających przez ciało fal gorąca, a także spontanicznych bulgotów niepokoju w naszych brzuchach. Po trzech dniach nadszedł sztorm który skutecznie nas zatrzymał na dwa dni w miejscu. Na szczęście Sławek wykazał się talentem krawieckim

i jego fly (taki namiot na portaledge'a), uszyty z plandeki z Biedronki, skutecznie nas chronił przed zawieruchą. Fajna przygoda, polecam”. Magdalena Nowak i Joanna Nowosadzka pokonały kilka klasyków tradowych rejonu: *East Buttress* na El Capie, *Snake Dike* na Half Dome, *Central Pillar of Frenzy* na Middle Cathedral oraz hakową *West Face* na Leaning Tower. Natomiast Michał Przybyło z Bartkiem Kurowskim (UKA) przeszli w szybkim tempie *Salathe Wall* na El Capie. Pokonanie 33 wyciągów zajęło im 36 godzin, przy czym chłopaki wspinali się non-stop!

Na Kaukazie zacięty bój z Uszbą Południową stoczyli Ievgen Obratsov i Vasył Veretushkin. W pierwszej próbie zespół musiał wycofać się zaledwie 350 m przed szczytem, już po przejściu kluczowego miejsca. Na szczęście drugi atak okazał się zwycięski i zespół stanął na szczycie góry.

W innej części Kaukazu – w dolinie Bezeni, odbył się pierwszy obóz Grupy Wspinaczy Wysokogórskich PZA, w którym brało udział trzech klubowiczów: Paweł Karczmarczyk (jako kierownik wyprawy), Paweł Strzelecki oraz Piotr Sułowski. W trakcie zgrupowania zespołom udało się pokonać wymagające drogi na cztero – i pięcioletnich szczytach, o długim podejściu i skomplikowanej logistyce. Wśród najważniejszych osiągnięć było przejście dróg Riskina i Naumowa na Ulluaż Baszi (4676 m) oraz *Drogi Kaliszewskiego* na Kosztan–Tau (5151 m). Paweł Strzelecki i Wojciech Maławski dokonali bardzo szybkiego wejścia ten pięcioletni szczyt, droga zajęła im 15 godzin – należy wspomnieć, że poprzednie polskie przejście trwało trzy dni.

SYCZUAN, CHINY

San Lian South East (6250 m) *Hard Camping* 1600 m, ED2, M7, W15, R
Wojtek Ryczer, Marcin Rutkowski,
Rafał Zajac

DOLINA LACHIT, PAKISTAN

nowa droga, bez szczytu *Polish Couloir*,
ED2, A15, 90st, M7–, 1500 m
Dream Walker Peak (5809 m) *Rolling (D)Ice* (długość drogi 1450 m, ED1/2
A15, 80st, M5)

Maciej Bedrejczuk, Maciej Janczar,
Tomasz Klimczak, Marcin Wernik (UKA)

KAUKAZ, GRUZJA

Uszba Południowa (4710 m) *droga Gabriela Khergiani*, 5B ros. (~TD+) Ievgen Obratsov, Vasył Veretushkin (Rivne Climb, Ukraina)

DOLINA BEZENGI, GRUZJA

Pik Brno (4100 m) południową granią 1B

Misses–Tau (4425 m) północną granią 4B

Ulluaż Baszi (4676 m) północną ścianą, *Droga Naumowa* 5A Kosztan–Tau (5151m) pn.–zach. żebrem, *Droga Kaliszewskiego* 5B Paweł Strzelecki, Wojciech Maławski

Ulluaż Baszi (4676 m) *Droga Riskina*, 5A ok. 1100 m, 2 dni

Piotr Sułowski, Jacek Kaim



W dolinie Bezingi, podczas obozu P2A. Fot. P. Strzelecki

YOSEMITE, USA

El Capitan

Zenyatta Mondatta, 5.7 A4–/5.7 600 m, 6 dni (4 dni wspinania)

Zodiak, 5.7 A2

North Face, Rostrum, 5.11c (6c+) 260 m OS/FL (prowadzenie wszystkich wyciągów – P. Sułowski)

Piotr Sułowski, Sławek Szlagowski (KW Poznań)

El Capitan – *East Buttress*, 5.10b

Half Dome – *Snake Dike*, 5.7 R

Middle Cathedral – *Central Pillar of Frenzy*, 5.9

Leaning Tower – *West Face*, 5.7 C3

Magdalena Nowak, Joanna Nowo-sadzka

El Capitan

Salathe Wall 5.9 C2, 1170 m

West Face 5.11c, 500 m, AF

Lurking Fear 5.7 C2F, 670 m

Middle Cathedral Rock – *Direct North Buttress* (DNB) 5.11, 670 m, PP

Michał Przybyło, Bartosz Kurowski (UKA)

DOLOMITY, WŁOCHY

Cima Piccola di Lavaredo – *Gelbe-Mauer* 7b, 320 m

Paweł Bednarz, Dominik Wiśniewski, FL

Cima Grande – *Comici-Dimai* VII, 500 m

Piotr Zaremba, Aneta Nejman, OS

Tofana di Rozes – *Constantini-Apollo-nio* VII+, 620 m

Piotr Zaremba, Aneta Nejman, AF

Piz Ciavazes

Baci da Honolulu+Alfa 7b+, 250 m

Paweł Bednarz, Dominik Wiśniewski, AF

Via de Moto del Sella 7a+, 300 m

Paweł Bednarz, Dominik Wiśniewski, FL

Zeni Verschneidung 6b, 200 m

Piotr Zaremba, Aneta Nejman, OS

WILDER KAISER, AUSTRIA

Fleischbank

Neufunland VII+, 110 m

Szymon Jaranowski, Marcin Rudowski, A0

Via Classica V, 650 m

Sylvia Zarzycka, Justyna Gorzoch, OS

Alicja Paszczak, Artur Paszczak

Herbstzeit VI+, 120 m

Sylvia Zarzycka, Justyna Gorzoch, Gosia Grabowska, OS

Karlspitze

Wirstkante VI+, 210 m

Sylvia Zarzycka, Justyna Gorzoch, OS
Monika Refczyńska, Maciek Kalinowski, OS

ABS VII–, 400 m,

Szymon Jaranowski, Marcin Rudowski, RK



El Capitan - Salathe Wall. Fot. Michał Przybyło.

Treffauer

RWI VI+, 295 m

Sylvia Zarzycka, Justyna Gorzoch, OS

König der Löwen V+, 310 m

Sylvia Zarzycka, Justyna Gorzoch,

Gosia Grabowska, OS

Alex's Hiltiride VI+, 80 m

Szymon Jaranowski, Marcin Rudowski, OS

Kunterbunt VI, 375 m

Szymon Jaranowski, Marcin Rudowski, OS

Monika Refczyńska, Maciek Kalinowski, OS

Franziskaner Dunkel VI, 80 m

Monika Refczyńska, Maciek Kalinowski, OS

Sonneck – Sonnenpfeiler VI+/A0, 600 m

Szymon Jaranowski, Marcin Rudowski, OS

Monika Refczyńska, Maciek Kalinowski, OS

Kopfkrahen

Clearwater VII/VII+, 470 m

Szymon Jaranowski, Marcin Rudowski, OS

Blue Moon VI+, 560 m

Artur Paszczak, Jacek Fluder

Monika Refczyńska, Maciek Kalinowski, OS

Bauernpredigtstuhl

Alte Westwand VI+, 220 m

Szymon Jaranowski, Marcin Rudowski, OS

Rittlerkante VI+, 200 m

Monika Refczyńska, Maciek Kalinowski, OS

Wildangerwand – Schattenspiel VII, 130 m

Monika Refczyńska, Maciek Kalinowski, OS

Szymon Jaranowski, Marcin Rudowski, OS

Maukspitze – Buhl ("Westwand") VI+/A0, 400 m

Monika Refczyńska, Maciek Kalinowski, OS
Szymon Jaranowski, Marcin Rudowski, OS

Totenkirchl Sockel – Kirchl-Express VI, 750 m

Szymon Jaranowski, Marcin Rudowski, OS

Monika Refczyńska, Maciek Kalinowski, OS

ARCO, WŁOCHY

Monte Brento – Dreams of Infinity VII, 800 m, RP

Monte Colodri – Marino Stenico, VII, 180 m, OS

Parete Zebrata – El Zugo 6b, 350 m, OS
Coste dell'Anglone – Cuore d'Oro VI+, 300 m, OS

Łukasz Lewczuk, Krzysztof Łowczyk (KW Olsztyn), Jarek Zdanowicz (NZ),

AILEFROIDE, FRANCJA

Aiguille de Sialouze

Super Pilou V+

Janek Sokołowski, Karol Nurzyński,
Maciek Korzeniak

Crétins des Alpes 6c

Janek Sokołowski, Karol Nurzyński, OS

CHAMONIX, FRANCJA

Aiguille de Toule – Nowa droga pn.
filarem – *Ch...; Dupa i Kamieni Kupa* –
200 m V, M5 – bardzo krucho

Pointe Lachenal – *Voie Contamine* 250
m, 6b

Aiguille Croux – *Voie Otoz* 350 m, 5c
Tour Verte

*Le pont des soupri*s – 200 m, 6b+

Le piege – 200 m 6b+

2nd Pointe des Nantillions

Amazonia (TD, 370 m, 6a+)

Bienvenue au Georges V (TD, 370 m, 6a+)

Piotr Juskiewicz, Tomasz Mikołajczyk,
Robert Nejman

HOLLENTAL, AUSTRIA

Blechmauer

Absurdistan 7a, 210 m

Piotr Zaremba, Rafał Nawrot, RP

Blechmaernverschneidung 6a, 230 m

Monika Refczyńska, Maciek Kalinowski, OS

Piotr Zaremba, Rafał Nawrot, OS

Stadelwand

Dirretissima Stadlwand Kessel VI+, 600 m

Monika Refczyńska, Maciek Kalinowski, OS

Daham is Daham 6c+

Piotr Zaremba, Rafał Nawrot, OS

Vordere Stadelwand

Schwesterlein Mein VI, 160 m

Monika Refczyńska, Maciek Kalinowski, OS

PAKLENICA, CHORWACJA

Mali Cuk – *Celjski Stup 5a*, 150 m

Sylwia Zarzycka, Anita Burban, OS

Anica Kuk – *Stup – Karabore 5b*, 120 m

Sylwia Zarzycka, Anita Burban, AO

Veliki Cuk – *Centralni kamin 5b*, 170 m

Sylwia Zarzycka, Anita Burban, OS

Aśka i Magda pod Leaning Tower.
Fot Michał Przybyło.



El Capitan - wspinaczka na Salathe Wall. Fot Michał Przybyło.



VIA CLASSICA

OPOWIEŚĆ O DRODZE WSPINACZKOWEJ

Sylwia Zarzycka

fol. Justyna Gorzoch

Po pewnym czasie z fajnych górskich wyjazdów zostaje mi nie wspomnienie sytej cyfry, czy jakiegoś jednego niesamowitego przechwytu. Zamiast tego pamiętam niesamowity stan, który pojawia się niespodziewanie i znika tak samo bez przyczyny. Dążę do jego osiągnięcia na innych wspinaczkach, ale poczucie harmonii i pewnej magii, która dzieje się wokół, nie pojawia się zawsze. Na tę magię składa się wszystko – partner, z którym porozumiewamy się ponadwzrostnie, a pojawiające się słowa trafiają w punkt i dopełniają całości, moje wewnętrzne nastawienie i otwarcie na przeżywanie dziennej się chwili, strach obecny zawsze przy wspinaniu, okiełznany do takiego poziomu, który mobilizuje i wyostreza percepcję, dodaje pewności i płynności, pomaga w unikaniu jakiegokolwiek błędu. Uwielbiam też moment, kiedy strach jest na tyle pod kontrolą, że przystanki na założenie asekuracji stają się coraz rzadziej potrzebne, a zamiast szarpania się w niewygodnym miejscu podejmuję decyzję o przejściu go, bo po prostu wiem, że mogę. Te wszystkie elementy zagrały podczas wspinaczki na drodze *Via Classica* podczas obozu klubowego KW Warszawa w Alpach Austriackich w Wilder Kaiser.

PLANY

Pojechałam na obóz z zamiarem dobrego górskiego wspinania. Razem z partnerką – Justyną Gorzoch, celowałyśmy w długie drogi o trudnościach, które pozwalałyby nam na sprawne wspinanie OS. Dlatego wybór drogi *Via Classica*, którą chwalił kierownik całego zamieszania – Chmielu, oraz kolejne powracające z niej zespoły, jej długość (15 wyciągów, około 650 m + 300 m granią do szczytu), małe trudności (do V), przygodowe zejście (kawałek eksponowanej graniówki, szukanie kierunku po kropkach używanych przez ratowników oraz kilka zjazdów), zdecydowało o tym, że i my chciałyśmy się na nią wybrać.

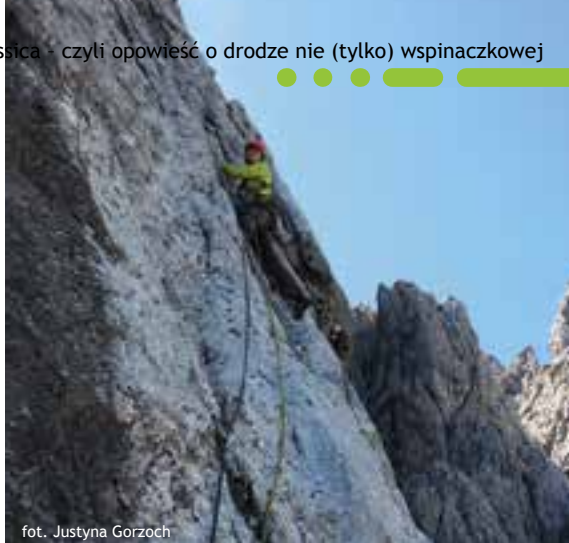
Z kempingu wyjechałyśmy wyjątkowo wcześniej, aby tuż po otwarciu szlabanu prowadzącego do parkingu znaleźć się w miarę wcześniej na szlaku podejściowym pod drogę. Mając już na koncie kilka dróg na wyjeździe i trochę przewspinianych metrów (jak również jeden spektakularny wycof), miałyśmy nadzieję, że wspinaczka będzie szybka i płynna. Wcześniej wspinaliśmy się w trójkowym zespole z Gosią Grabowską, w którym Gosia pilnowała tempa – standardem stało się oznajmianie, ile pierwszej osobie zajęło prowadzenie, ile wspinanie dwóm pozostałym i zwijanie sprzętu, ile przekazanie go sobie na stanowisku. Każda sekunda była cenna i nie mogła być zmarnowana! Z rzeczy przyjemnych, lecz nieprzyczyniających się do pokonywania metrów, można było jedynie snuć opowieści o niesamowitych zdarzeniach górskich lub w ogóle niezwiązane ze wspinaczką, albo jeść suszone owoce, ale to tylko pod warunkiem, że nie miało to wpływu na jakiekolwiek opóźnienie w akcji górskiej. Tym razem wspinaliśmy się we dwie i również obiecałyśmy sobie dbanie o czas i tempo wspinania.

TRUDNE POZĄTKI...

Pierwsze metry *Via Classica* wcale nie prognozowały happy endu. Wręcz można było pomyśleć, że czeka nas spektakularny wycof z pierwszego wyciągu. Zdradziecki zapychowy komin („przecież był identyczny jak na topo”), dyskusje z kolegami z przeciwległej ściany („tell your partner she should go to the right”), wreszcie zjazd po pierwszym wyciągu, aby wrócić na drogę spowodowały lekki stres związany z upływającym czasem.

Dodatkowo zespół, który był za nami, wycofał się z drogi z powodu naszego zapchania się na pierwszym wyciągu. Gdy Justyna ruszyła prowadzić drugi wyciąg, ja na stanowisku dowiedziałam się, że zespół się wycofuje, bo uważają, że jest już za późna godzina, aby iść dalej. Może bali się tego, że po niezbyt obiecującym początku mogłybyśmy ich przyblokować, albo że musieliby nas niewygodnie wyprzedzać. Oficjalnie i dyplomatycznie stwierdzili, że nie daliby rady ukończyć drogi i zejść do zachodu słońca.

Taka wiadomość przekazana Justynie byłaby stresująca (tak jak była wtedy dla mnie) i wywołałaby wątpliwości, czy i my nie powinnyśmy się wycofać. Zdecydowałam się więc, że zachowam ją dla siebie. Na późniejsze pytania o to, gdzie są nasi koledzy, mówiłam, że jesteśmy tak superszybkie, że widocznie nie mogą nas dogonić. Justyna dowiedziała się prawdy o ich wycofie, gdy byliśmy już na szlaku zejściowym.



fot. Justyna Gorzoch

Poza pierwszymi dwoma uciążliwymi wyciągami, kolejne trzynaście potoczyło się już miało zupełnie inaczej...

... I KROKI W CHMURACH

To jest wyjątkowy moment, kiedy linia jest rozpracowana, wie się dokładnie, gdzie prowadzi droga, mimo że widzi się ją po raz pierwszy. Płynność ruchów przychodzi sama, asekuracją za bardzo nie zawracam sobie głowy, bardziej zakładam ją dla świętego spokoju, bylebym mogła już pójść dalej i nie zakłócać tej harmonii ruchów, która daje też tak niesamowitą przyjemność bycia tu i teraz. Kiedy czuję, że wszystkie elementy są na swoim miejscu i sama jestem tylko w miejscu i w tym czasie. Kiedy czuję, że nie chciałabym być nigdzie indziej z nikim innym.

Jak mówi Kurtyka, wspinanie otwiera oczy i porusza wiele zróżnicowanych i uśpionych poziomów wrażliwości. To był ten moment. Poczucie, że wszystkie elementy układanki pasują do siebie i składają się na obraz, który jest temu niezwykle stanowi bliski i buduje poczucie sensu. Takiego sensu, który na długo po skończeniu drogi, po powrocie do codzienności, pozostaje gdzieś głęboko w nas i tę codzienność wzbogaca. Dodaje jej koloru, nowych znaczeń, pozwala patrzeć z innej perspektywy. Ale to też swego rodzaju uzależnienie, bo każde poszukiwać i dążyć do tego, by poczuć ten sens raz jeszcze. Nie jest to łatwe, nie zdarza się często, ale na pewno zdarzy się jeszcze nie raz. Wystarczy stworzyć do tego szansę, przede wszystkim w sobie. Jestem pewna, że może się zdarzyć wszędzie, nawet na *Klasycznej* na Mnichu albo na żeberku Buli pod Bandziochem. Kto wie, może nawet na jakimś parku w podkrakowskich skałkach. To zależy tylko od nas samych.

Droga *Via Classica* na obozie w Wilder Kaiser w 2015 roku przeszły zespoły:

Marta Szymca, Wacek; Wojtek Grochowski, Magdalena Mordas; Natalia, Bartek;
Alcja i Artur Paszczakowie; Gosia Grabowska, Marcin Chmieliński; Sylwia Zarzycka, Justyna Gorzoch

VIA CLASSICA

CLASSIC BLITZKRIEG

Marta Szyрман

To była dla Wacka i mnie ostatnia droga wyjazdu. W dzień poprzedzający wspinaczkę obserwowaliśmy ze ściany obok robiących tę drogę kolegów. A że ładny to był widok, pozadrościliśmy im i postanowiliśmy też się wbić.

Długo nie czekaliśmy, okazja nadarzyła się kolejnego dnia. Poranek nastał późno – byliśmy bardzo zmęczeni piciem piwa poprzedniego wieczora, w oczekiwaniu na kolegów, którzy po nocy wracali z Via Classica właśnie. Picie piwa i czekanie trwało do godz. 3 w nocy, więc rano udzieliła się nam ospałość, ślamazarność, totalny brak sprzęża. Kawa za kawą, owsianka za owsianką... Jednocześnie pogoda robiła się coraz ładniejsza i wraz z postępującym wylampieniem (jakże rzadkim podczas pierwszego tygodnia obozu!) zaczęło mnie męczyć poczucie, że przecież jeszcze się nasiedzę na trasie Austria–W-wa... Szczęśliwie podobny proces zachodził w duszy Wacka. W rezultacie zapadła decyzja na tak – późno, niechętnie, leniwie, z oporami, na zasadzie „szkoda dnia”, „no już trudno”, „co mamy lepszego do roboty”. Strasznie się nam nie chciało, ale... lubimy się wspinąć.

Sprawny przepak, zmiana piżamy na coś nadającego się do wspinania i wio! Wbiliśmy się w drogę przed godz. 13 (czyli późno), ze świadomością, że niby mamy jeszcze dużo czasu do zmroku, ale zejście skomplikowane i długie, w prognozach deszcz popołudniu, no i kolegom dzień wcześniej zajęło to 9 godzin. Jeszcze przed pierwszym wyciągiem – na podejściu – uzgodniliśmy z Wackiem, że jemu regeneracja po „wczorajszym” piwie idzie gorzej i ja prowadzę – tak długo, jak dam radę. Słuszność decyzji potwierdził pierwszy, trójkowy wyciąg, który mi sprawił tylko przyjemność, podczas gdy Wackowi falowała łyda.

Dalej poszło jak z bicia strzelił – 3:40 i było po wszystkim. Nasze przejście miało charakter sportowy – nie założyliśmy NIC. Czytelna linia spitów sprawiła, że unikniliśmy szukania drogi, poszliśmy jak po sznurku – wyciąg za wyciągiem; na

stanowiskach tylko chwila na przerzucenie liny, zero odpoczynku, żadnych zdjęć. Mielśmy poczucie, że trzeba robić czas. Wacek przejął prowadzenie na ostatnich dwóch wyciągach, ponad drugą trawiastą półką. Trzy wcześniejsze wyciągi, najpiękniejsze moim zdaniem na tej drodze, „trzymały” i w połączeniu z tempem wymęczyły mnie.

Na zejściu Wacek całkiem przejął pałeczkę. Tropił sprawnie kolejne czerwone kółeczka, ja po prostu starałam się nadążyć za jego tempem. Żeby dodatkowo podkręcić czas, wykorzystaliśmy porady Chmiela, żeby darować sobie wiązanie prusików w zjazdach. Wacek asekurował mnie z dołu na wszelki wypadek i metoda sprawdziła się fenomenalnie. Zjazdy były szybkie jak winda.

Na godzinę przed dojściem do samochodu, gdy już dawno byliśmy na szlaku, zaczął kropić deszcz. Wtedy jednak było już po wszystkim i był to fakt zupełnie bez znaczenia. Dzięki temu jednak jeszcze bardziej doceniliśmy czas przejścia. To samo zejście po mokrej skale byłoby bardzo wymagające. Do samochodu dotarliśmy dziarskim krokiem, relatywnie mało zmachani, jak na przełożone metry. To był nasz dzień, choć oboje byliśmy wczorajsi.

Podsumowując: całość wycieczki w stylu blitzkrieg – przyszli, załoiłi, wróciłi. Droga długa, ale z gatunku „czysta przyjemność”: przyjemne trudności, świetne tempo, superskała, łatwe zejście. No i ten niepowtarzalny stan umysłu – trzy godziny cudownej koncentracji, pewności ruchów i skały, niemal medytacyjna sekwencja powtarzalnych, dobrze opanowanych czynności. Rozczarowaniem drogi był jedynie brak spektakularnych widoków podczas przejścia. Prowadzi ona systemem kominów i zacięć. W efekcie jest się cały czas schowanym w kolejnych zaułkach. Oczywiście wszystko wynagradza to, co widać ze szczytu. Pogoda na całe szczęście wytrzymała i mogliśmy podziwiać majaczące na horyzoncie ośnieżone szczyty Alp. I rozmarzyć się, ile jeszcze przed nami.

PRZEPRASZAM, KTÓRĘDY NA DÓŁ?

Tekst: Aneta Nejman i Piotr Zaremba

Pobudka o godz. 5 rano, wyjście o 6, o 8 w ścianie, o 20 z powrotem przy namiocie i następnego dnia znowu wspinanie. Tak w skrócie wyglądał nasz plan na drogę *Nord-Ost Vershniedung* na Fleischbanku. Prawie cała 9-wyciągowa droga idzie zacięciem, które wygląda bardzo ładnie z daleka. Niestety w kluczowych miejscach okazuje się syfiasto krucha. Ciągłe coś się sypie, na jednym wyciągu zaliczam nawet lot z chwytem w ręce. Trzy trudne wyciągi pod rząd znacznie nas spowalniają, na szczęście teraz już łatwiejsza część, zaczynamy się spieszyć. Ostatecznie koło 18 kończymy drogę i wychodzimy na wierzch masywu. Zwijamy sprzęt i rozglądamy się za ścieżką zejściową. Do wyboru są dwie wydeptane drogi – jedna prowadząca na północ prosto w dół, a druga na południe, ale przez szczyt

Fleischbanku. Przez chwilę korci nas, żeby spróbować zejścia na stronę północną, jednak nie wiemy o istnieniu takiej ścieżki i zgodnie z poradami spotkanych dzień wcześniej wspinaczy postanawiamy wejść na szczyt góry i zejść na stronę południowo-wschodnią. Rezygnujemy z asekuracji lotnej i idziemy wyraźną ścieżką w niebanalnym terenie. Droga prowadzi na zmianę do góry i w dół przez jeden, drugi i trzeci pośredni szczyt, dopiero czwarte wzniesienie okazuje się właściwym szczytem Fleischbanku. Jest godzina 20, zaczyna zapadać zmrok. Wyjmujemy czołówki i tu pierwsza niemiła niespodzianka. Moja czołówka przypadkiem włączyła się w plecaku i świeciła cały dzień! Czerwona kontrolka oznacza wyczerpanie baterii. Zapasowych nie wzięliśmy, bo miało być szybko, komfortowo i w ogóle lajki. Aneta z kolei zapomniała zabrać zębę i miała tylko zwykłą czołówkę. Dodatkowo wzięliśmy za mało płynów (skończyły się już w czasie wspinania) i coraz bardziej doskwiera nam pragnienie.

Droga zejściowa zaczyna się od kilku zjazdów, na tyle krótkich, że używamy tylko jednej liny. Potem idziemy wyraźną ścieżką, szukamy kolejnych znaków – czerwonych kropek wymalowanych na kamieniach. Robi się zupełnie ciemno, po dojściu na przełęczkę kończą się oznaczenia. Aneta „coś pamięta” o zejściu żlebem, schodzi kawałek, na szczęście po kilkudziesięciu metrach stwierdza, że to nie może być droga zejściowa i wychodzi z powrotem na siodło. Cofamy się do ostatniego znaku, jeszcze raz rozglądamy za wydeptanymi śladami, świecimy po kamieniach i szukamy oznaczeń ścieżki. W końcu udaje się znaleźć szlak, można iść dalej.

Droga prowadzi nas przez przełęcz i trawersuje kolejną grań, docieramy do łańcucha zjazdowego, umieszczonego idealnie między dwoma ciemnymi, stromymi żlebami i niestety nic nie wskazuje na to, który z nich jest tym właściwym. Zjeżdżamy



Rozbita dłoń Piotrką. Fot. Aneta Nejman

Wspinanie na drodze Pn-wsch zacięciem



na prawo i docieramy do półki skalnej, gdzie czeka nas nie-miła niespodzianka – wykrzywiony i przekreślony czerwoną farbą ring. Próbujemy dołożyć pętlę z repa do zjazdu na małej iglicy obok. Po paru próbach stwierdzamy, że to bez sensu. Ring wygląda gorzej niż źle i dodatkowo jest przekreślony. Podejmujemy jedyną słuszną w tamtym momencie decyzję i postanawiamy wyprusikować do góry. Aneta pierwsza, a ja czekam na półce. Nagle z góry spada kamień i uderza idealnie w moją leżącą na skale lewą dłoń. Przez chwilę jestem w szoku i dziwię się, że mnie nie boli. Dopiero po chwili z palca tryska krew. No to pięknie. Na szczęście jest to palec środkowy, więc daję radę prusikować przy użyciu palca wskazującego i kciuka (prześwietlenie dwa tygodnie później wykłużyło jakiekolwiek pęknięcie kości).

Cała akcja zajmuje nam godzinę, znowu jesteśmy przy rozwinięciu żlebow. Zwijamy linę, rzucamy ją do zjazdu i w tej samej chwili dostrzegamy wielką czerwoną strzałkę namalowaną 5 m od łańcucha i wskazującą właściwy żleb. Tylko dlaczego dopiero teraz!? Zjeżdżamy ponownie, już w dobrym kierunku. Odnajdujemy kolejny łańcuch i zakładamy następny zjazd. Tym razem nie widzę praktycznie nic, ale śmiało zjeżdżam dalej. Ostatecznie kończy mi się lina, a ja zawisam w lufie. No nie, to jakiś żart! Zakładam sobie auto z prusika i ponownie przepinam się do wychodzenia po linie. Po 60 m prusikowania docieram do poprzedniego łańcucha i zjeżdżam ponownie tym razem diagonalnie. W końcu dojeżdżam do kolejnego stanu. Jeszcze tylko cztery zjazdy i nareszcie o godz. 2 w nocy lądujemy na piargach! Radość ogromna, zaraz dotrzemy do plecaka, będzie można napić się resztki wody, którą zostawiliśmy pod ścianą, a stamtąd już tylko kawałek drogi do namiotu. Zaczynamy schodzić, niestety okazuje się, że to wcale nie „zaraz” i do plecaka docieramy dopiero po godzinie. Krótki odpoczynek, przepakowanie rzeczy i idziemy dalej. Mijamy start krótkiej drogi *Amulett*, którą mieliśmy zrobić w przypadku szybkiego uporania się z naszym celem nr 1, o trzeciej w nocy brzmi to dosyć zabawnie. O tej porze zaczynają kończyć nam się siły i doskwiera brak snu, za to przychodzą głupie pomysły – a może zdrzemnąć się tutaj? Przecież jest ciepło! Człapiemy jednak dalej niekończącą się via ferratą, tracimy poczucie czasu. Stałówka nareszcie się kończy, jeszcze tylko musimy zewspinać się małą ścianką, przejść piargiem i docieramy na leśną drogę, która prowadzi nas już bezpiecznie na parking koło schroniska. Nad horyzontem zaczyna robić się coraz jaśniej, która to godzina? Prawie piąta, świetnie. Rozkładamy namiot na parkingu, jemy obiad i pijamy go piwem.

DWA RAZY KOROSAD

Drogi Zbigniewa Korosadowicza uchodzą zazwyczaj za nietrudne klasyki, ale jak każde uogólnienie i to ma swoje ograniczenia. Niektóre „Korosady” są całkiem poważnymi drogami i to technicznie wymagającymi (np. na wschodniej Łomnicy lub Zachodnim Szczycie Żelaznych Wrót), bowiem ich autor czuł się w stopniu V zupełnie komfortowo. Zimą zaś niektóre z jego dróg są bardzo poważnymi przedsięwzięciami, do których należy podchodzić z odpowiednią dozą pokory. Dziś prezentujemy Wam dwie takie dość różne drogi: Korosadowicza na Kazalnicy, który jest najczęściej pierwszą z dróg atakowanych zimą przez chętnych do zmierzenia się z tą ścianą, oraz coś spod znaku poważnej imprezy – Korosadowicza na Małym Młynarzu. O obu drogach opowiadają utytułowani koledzy: Kacper Tekieli, autor solowego przejścia pierwszej z dróg, o drugiej natomiast – Rafał Mikler, który zimą 2016 przeszedł ją w towarzystwie Bartka Stoch-Michny.

(AP)

KOROSADOWICZ, CZYLI PRAWĄ DEPRESJĄ KAZALNICY MIĘGUSZOWIECKIEJ

Tekst, zdjęcia i opracowanie: Kacper Tekieli

Któż nie słyszał o *Drodze Korosadowicza* na Kazalnicy? To droga z lata 1934 r., poprowadzona przez doborowy zespół w składzie: Zbigniew Korosadowicz–Adam Pochwaliski–Jan Staszal, która stanowi łakomy kąsek zarówno dla początkujących wspinaczy, pragnących wpisać do swojego kajetu pozycję Zerwa, jak i dla doświadczonych zimowych taterników, którzy potrafią delektować się pięknem i logiką tej linii.

Moja przygoda z *Korosadowiczem* trwała bardzo krótko, ale na stałe zajęła miejsce w zimowych (a ściślej mówiąc: wiosennych) wspomnieniach. Dobrych warunków na tę drogę zacząłem wypatrywać dopiero w zimie 2015, a znalazłem je dopiero na początku kwietnia. W tamtych dniach legendarna linia przypominała Białego Pajaka, co z jednej strony

wyglądało groźnie, a z drugiej zapewniało najlepsze możliwe warunki do samotnej wspinaczki.

Choć znam drogę tylko z tego jednego przejścia, trwającego niespełna godzinę i 20 minut, postaram się przybliżyć przebieg i możliwe warianty *Korosadowicza*. Forsowanie pierwszego, mikstowego (skała, trawa, lód) proggu to sprawa czystej wspinaczkowej intuicji, choć opisanych jest kilka możliwości, to warunki danego dnia podpowiedzą i wycenią nam w najwłaściwszy sposób wszystkie opcje przejścia. Idąc zgodnie z linią czerwoną czy też niebieską, docieramy do łatwiejszego terenu w postaci pola śnieżnego (p1). Zwężające się pole utworzy w pewnym momencie pionujący się żleb, zakończony progiem lodowym (fot.1) – jest to pierwsze „czujne” miejsce drogi, po którym następuje chwila oddechu i kolejny stromy fragment.

Choć dostępne schematy sugerują pójście po skosie do góry (skalno-trawiasta płyta – kolor niebieski), to znacznie bardziej zimowym rozwiązaniem wydawało mi się podejście wyżej żlebem (czerwony), aż do miejsca, gdzie prawe ograniczenie skalne było najwyższe. Początkowo wydawało mi się, że forsowanie lodowych kaskad jest kluczowym miejscem drogi (fot.2), jednak analizując schemat w Żurawskim zrozumiałem, że słynne rozdroże pomiędzy wariantem 5 a 3 znajduje się już po przetrwersowaniu w prawo na kolejne pole śnieżne (p2). Choć wariant piątkowy bardzo kuśił i wyglądał na wygodną do wspinania załupę, to lęki solisty wypchały mnie dalej w prawo, na linię oryginalnego przejścia (czerwony), również w postaci załupy. Po czujnym pokonaniu tego fragmentu i rozpoczęciu trawersu celem osiągnięcia górnego pola śnieżnego (p3) zauważyłem hak z niebieskim repem. Od razu skojarzyłem, że to początek prostującego wariantu górnej części, wycenionego w Żurawskim jako IV? (fot.3). Ponieważ byłem już nieźle rozgrzany, postanowiłem skrócić sobie drogę do szczytu, tym skalno-trawiastym, za to kompletnie – o tej porze roku – beźśnieżnym zacięciem, by kilkanaście metrów wyżej spotkać się z oryginalną linią i dopełnić formalności dostając się do łatwego terenu, a później szczytu Kazałnicy. Wróćmy jeszcze na moment do dwóch żółtych fragmentów schematu. Górny oznaczony jest w Żurawskim jedynie znakiem zapytania i ja również takim go pozostawię. Być może przy bardzo dużej ilości lodu tworzy on atrakcyjną formację prostującą linię, jednak w większości przypadków nie będzie to

warta zachodu opcja. Inaczej z pierwszym – żółtym wariantem (fot.2). Zastane przeze mnie warunki bardzo zachęcały, by wyprostować w znaczny sposób linię przejścia, jednak brak liny odpowiedział co innego. Przy przejściu z asekuracją będzie to z pewnością najpiękniejszy sposób pokonania kluczowej partii *Korasadowicza*.

W mojej opinii warto poczekać na lodowe warunki na tej drodze. Przy ich braku może to być znacznie bardziej wymagająca tura, zarówno pod względem asekuracyjnym, jak i technicznym.

przypis: Jan Żurawski, *Kazałnica Drogi Zebrane*, Warszawa 2012.



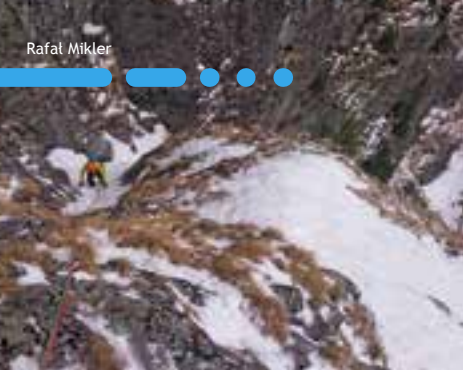
„KOROSADOWICZ” NA MAŁYM MŁYNARZU

Tekst, zdjęcia i opracowanie: Rafał Mikler



Są takie szczyty, które wyróżniają się od reszty swoim oryginalnym kształtem, przyciągają uwagę, mają to „coś”. W Tatrach zaliczyłbym do tej grupy Giewont, Murań, Ganek oraz Młynarz. Każdy z osobna wzbogaca swoją indywidualnością krajobraz Tatr, tworząc niespotykaną gdzie indziej mozaikę kształtów, kolorów, a nawet zapachów. Właśnie masyw Młynarza, ze ścianami Młynarczyka i Małego Młynarza zasługuje na miano tatrzańskiej osobliwości. Oglądany z zewnątrz i od wewnątrz pozwala dostrzec w nim strukturę gotyckiego kościoła, renesansowego pałacu, czy też barokowego ołtarza. Jest tu liryczna nuta limbowych gajów, jest epicka opowieść surowych skalnych ścian z granitu (często pierwszej jakości!), no i wreszcie dramat zaklętego w skałę młynarza dźwigającego koło młyńskie.

Mały Młynarz wyróżnia się swoją pn. - wsch. 350 m



2. wyciąg



Bartek Stoch-Michna na 2. wyciągu

wysokości ścian, spionowaną i wysoko zawieszoną nad doliną. Jest jakby frontonem całego masywu. Nie ma chyba wspinacza, który, idąc drogą do Morskiego Oka, byłby obojętny na wdzięk tej ściany. Na 19 dróg, które są na pn. i pn.-wsch. ścianie Małego Młynarza, aż 18 jest autorstwa polskich taterników. Pod względem liczby opisanych i wzmiarkowanych dróg w „Taterniku”, Mały Młynarz uplasował się na 2. miejscu (23 pozycje) po Kazalnicy (44 pozycje) w zestawieniu G. Janoty za lata 1956 - 1974 (Taternik 1975, 3 str. 116).

Uwagi do historii drogi

W „Taterniku” z 1931 r. (r. XV, 3) poświęcono dużo miejsca problemowi tzw. „pionowych trawników”. J. A. Szczepański oraz W. Birkenmajer propagowali tam wspinanie na niżej położonych tatrzańskich ścianach. Specyficzne trudności miały kształtować pewność siebie i opanowanie nawet lepiej niż w ścianach czysto skalnych. Dzięki temu urwisko Małego Młynarza zyskało na atrakcyjności. Żuławski w „Skalnym Lecie” wspomina: „Ściana ta interesowała mnie już od zeszłego roku. Jest duża - ma ze trzysta metrów wysokości - rozległa,

a co najważniejsze nie dotknięta jeszcze stopą ludzką (...) Wygląda wprawdzie odstrasząco, ale coś można wiedzieć, póki się samemu nie „ugryzie” spróbować zawsze warto.” 11 lipca w Roztoce spotyka o dziesięć lat starszego Zbigniewa Korosadowicza, który tego dnia robi już rekonesans z J.K Peteckim (dr. WHP 1107, WC 170). Determinacja Korosadowicza wzrosła wraz z poczynionym zakładem, o którym pisze Żuławski: „Korosadowicz z Peteckim robili dziś jakąś drogę w pobliżu i Zbyszek bardzo sobie tę ścianę upodobał (...). Jaszcz zakładał się, że Młynarz nie puści, a Zbyszek godził się przyjąć zakład”. Powstał wtedy jeden z najlepszych wspinaczkowych „dream team’ów” tamtych lat, czego skutkiem było zdobycie tej trudnej ściany, która „puściła” w 10 godzin 26 lipca 1935 r.

Premiera zimowa odbyła się 14.03.1960 r. J. Mostowski i M. Popko potrzebowali na to 12,5 godziny, co było wtedy znaczącym osiągnięciem zwłaszcza, że warunki tego sezonu były bardzo trudne, o czym wspomina A. Paczkowski w podsumowaniu (Taternik 1961, 1 str.29). Do tego dźwigano sprzęt biwakowy, liczono się z noclegiem w ścianie.

Końcówka 3. wyciągu



5. wyciąg





Pln. - wsch. ściana Małego Młynarza

Trzeciego wejścia latem, w 4 godziny, dokonali J. Kurczab i P. Misiurewicz dopiero w 1959 r. sporządzając nowy opis (Taternik 1961, 2, str.94).

Inicjator i zdobywca drogi został uhonorowany przez W. Cywińskiego w 1998 r. nazwą przełączki pomiędzy wierzchołkami Małego Młynarza – „Przełęcz Korosadowicza”- jest to ewenement w nazewnictwie tatrzańskim, sprzeczny z polskimi zasadami jego kształtowania. Nota bene, nazwę Mały Młynarz wprowadził J. A. Szczepański w 1930 r.

DROGA - UWAGI OSOBISTE:

Na „Korosada” poszliśmy z Bartkiem Stochem-Michną i dopiero za trzecią próbą zdecydowaliśmy się na tę drogę. Trzeba było wyczekać na warunki, kiedy nie będzie lawiniasto na podejściu, jak i w zejściu. „Zabójcze betony” (nomen omen) na początku roku umożliwiły szybkie i bezpieczne dotarcie pod ścianę. Warunki mieliśmy dobre, poza trawami, które były twardsze niż spiz (Być może taka miejscowa specyfika, dawno nie kapitulowałem przy wbijaniu igły, zostawiając ją osadzoną do połowy tylko dlatego, że wchodziła po milimetrze!). Często pojawia się tam lód (verglas), który zalewa szczeliny i chwytty. Natrafiliśmy nawet na taki, który był jak soczewka - nie ma to jak popatrzeć sobie w powiększeniu na kryształ kwarcu, ot tak, wisząc na jednej dziobie. Jak na drogę „piątkową” trzeba się natrudzić, a przy asekuracji pomyśleć „bez dogmatu”. Z całą pewnością droga jest piękna, ekspozycja daje satysfakcję bycia w prawdziwej ścianie, bo przecież do dna doliny

Białej Wody jest około 700-800 m. deniwelacji! Dzikosć otoczenia, limby w najbardziej dziwnych miejscach, sprawia, że Mały Młynarz to prawdziwe „sanktuarium”, gdzie urzeczywistnia się idea J.G. Pawlikowskiego: „taternictwo nie siedzi w nogach, lecz w sercu”.

OPIS DROGI:

„Korosadowicz” WHP 1099, WC 152

Wyciągi 1. oraz 2. to nietrudne wspinanie w trawach, trzeba kierować się na dużą limbę (pętla). Następnie przez dwa



Pod wylotem „Gdańskiego Komina”

ciekawe progi, drugi z uchem skalnym z zaklinowanego głazu, potem łatwo na pierwszą i drugą trawiastą półkę (stanowisko, stara kostka). 3. wyciąg króciutki, przez ściankę na trzecią półkę, gdzie stan (4 haki - w tym 2 b. słabe).

4. wyciąg to już wspinanie, trzeba przejść w lewo za żeberko, do ścieku. Jest przepaściste, ale są dobre szczeliny, parę słabych haków i zgniły kołek. Pod koniec trawersujemy w prawo na półkę, gdzie stanowisko (Uwaga: miejsce to w oryginalnym opisie figuruje jako: „mokra trawiasta nyża już ponad przewieszkami depresji”).

5. wyciąg, kluczowy, wiedzie najpierw małą czarną załupą (woryginalne - rynna), na stopień do dobrego haka, pod przewieszoną ścianką. Przez nią i w lewo, a następnie wprost ściekiem (jedynka) do nyży (Uwaga: oryginalna droga biegnie trawersem popod przewieszoną ścianką, przekracza ściek i na lewo od niego wchodzi do kotła już nad czarną nyżą). Z nyży wprost przez przewieszkę (zaklinowana kostka), a potem w prawo do żlebu - na stanowisko (hak).

6. wyciąg doprowadza pod komin (wprost kominem wariant M. Księżaka - R. Pietrasiaka 2011). Wyciąg 7. wiedzie w lewo przez płyty na filar (początkowo słaba asekuracja).

8. wyciąg doprowadza pod duże przewieszki (możliwość pójścia na wprost - 2 wyciągi do szczytu, trudności do V+ R. Mikler, M. Owca lato 2004). Następnie 9. wyciąg - z lekkim obniżeniem osiągamy zachodzik, którym do szerokiego kociołka.

10. wyciąg to jeszcze wspinanie, przez próg, z lewej odstrzelony blok, a na koniec przez trudną ściankę i łatwym terenem na szczyt.

SPRZĘT:

Standardowy zimowy, cienkie haki, jedynek, Camalot 3.

PODEJŚCIE

Pod pñ. - wsch. ścianę Małego Młynarza można podejść na dwa sposoby. Należy pamiętać, że zimą podejście jak i zejście są zagrożone lawinami!

1. Z Polanki pod Aniołami (jest tam turystyczna wiata) idziemy prawą stroną potoku starą drogą, która po jakimś czasie zanika (wiatrołomy), potem przez las lekko w górę do Skoruszowego Żlebu (Mały Młynarowy Żlab). Nim w górę do momentu, w którym żleb skręca w lewo i ściany żlebu spiętrzą się (ok. 100 m poniżej dużego progu). Stąd w lewo zachodzikiem na żeberko i w górę po nieprzyjemnych trawach (I-II) do dużych limb i skośnie w prawo nad próg i pod widoczną już ścianę. Z Łysej Polany 3 - 3,5 h.

2. Przez Dolinę Żabią Białczańską. Ścieżką z Polanki pod Aniołami do Niżniego Żabiego Stawu Białczańskiego 1,5 h, stąd albo wprost żlebkiem 0+ albo do moreny Wyżniego Żabiego Stawu Białczańskiego i skośnie w lewo na Wyżnią Skoruszową Przełęcz 0-. Z niej w dół ok. 30 m nieprzyjemnym

Bartek Stoch-Michna na 4. wyciągu - „czarna załupka”



Bartek Stoch-Michna na 5. wyciągu



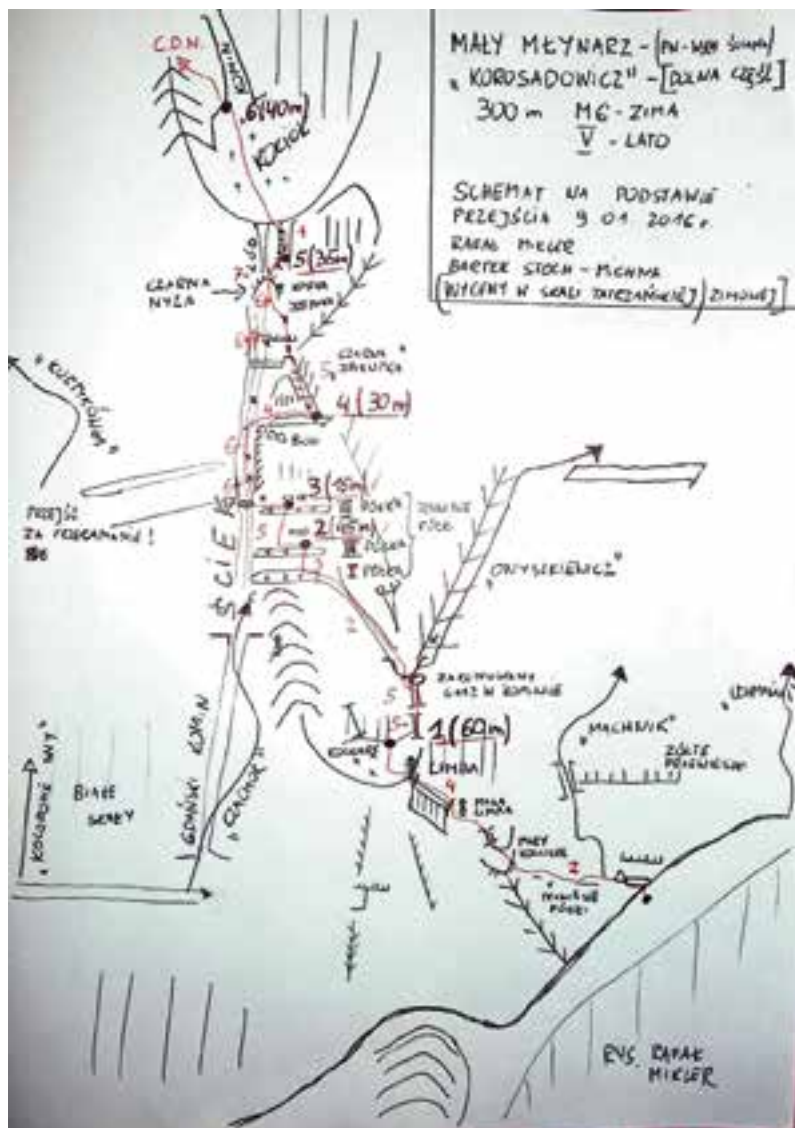
terenem i w prawo trawiastymi zachodzikami na przełęczkę pod pñ. filarem Małego Młynarza (Skoruszowy Przechód) i w dół pod naszą drogę. Z Łysej Polany 3,5 h. Uwaga! Przepisy TANAP nie zezwalają na ten wariant.

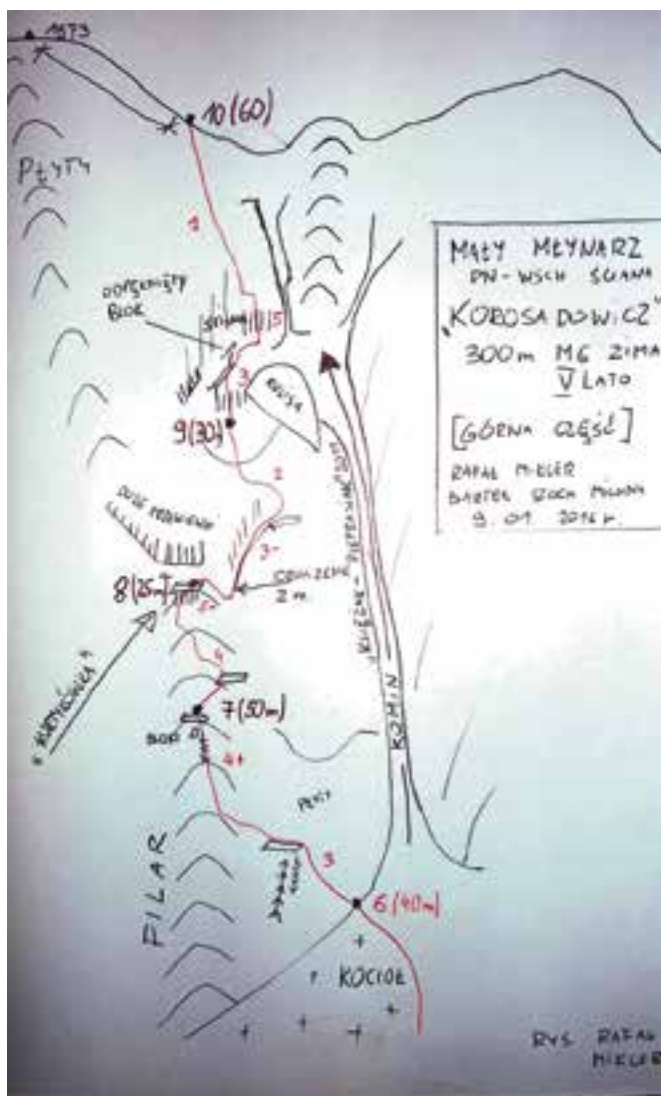
ZEJŚCIE

Z przełęczki między wierzchołkami wprost w dół trawiastym zboczem, trzymając się bardziej z lewej strony, nad południo-

wy brzeg Niżniego Białczańskiego Stawu. 30 min. Oficjalnie zejście do Doliny Białej Wody Doliną Żabią Białczańską jest niedozwolone.

Uwaga! W rejonie Małego Młynarza, wg przepisów TANAP, można wspinać się w terminie od 21 grudnia do 20 marca z zejściem przez Młynarzową Przełęcz do Doliny Ciężkiej (Czeskiej).





SKALNE LATO 1935 ZESPOŁU KOROSADOWICZ-ŻUŁAWSKI:

Żabi Mnich, pld.- zach. ściana, I przejście, 18.07.1935

Wołowa Turnia, północna ściana (próba), 20.07.1935

Mięguszowiecki Szczyt Czarny, pn.- wsch. grzęda, I przejście, 25.07.1935

Mały Młynarz, pn.- wsch. ściana, I przejście, 26.07.1935

Mięguszowiecki Szczyt – pn.- wsch. filar, I przejście, 27 i 29.07.1935

Mały Kieżmarski Szczyt, droga Stanisławskiego, II przejście, do Niemieckiej Drabiny, 31.07.1935

Łomnica, wschodnia ściana, I przejście, 2.08.1935

Skrajna Tomkowa Igła, I wejście, (z towarzyszymi), 16.08.1935

STRZELECKA TURNIA, 2130 m

ŚCIANA POŁUDNIOWA, PRAWY FILAR

Tekst, zdjęcia i opracowanie:
Artur Paszczak, Alicja Paszczak

Nie jest to może urwisko klasy Łomnicy, a granit nie jest tak doskonały jak na Szarpanych, ale ściana ta ma wszystkiego po trochu. Przede wszystkim – przepiękne otoczenie. Po drugie, spokój. Po trzecie, fajne wspinanie. A po czwarte w końcu, jest dość blisko. Trzeba więcej? Nam nie trzeba, a przynajmniej nie zawsze. Urokliwe położenie nad niewielkim stawem, w którym przegładają się wielkie ściany Pośredniej Grani i leżąca vis-à-vis ogromna połać Sławkowskiego Szczytu z jego monumentalnymi filarami, pozwalają poczuć się jak w wielkich górach. A i stęknąć w czasie wspinania przyjdzie – szczególnie na przysłowiowym Paleniczku. Dlatego warto się na Strzelecką Turnię wybrać, szczególnie na jedną z dwóch niżej polecanych przez nas dróg. Obstawiam, że nie będziecie rozczarowani.

PODEJŚCIE

Zębatką na Hrebieniok, potem szlakiem do Doliny Staroleśnej. Przy ostatnim przejściu przez potok, za tym największym mostkiem, opuszczamy szlak wąską ścieżką biegnącą wzdłuż rzeczonego potoku. Gdy odsłania się w prawo szeroki żleb (kopczyk), przekraczamy potok i podchodzimy 100 m żlebem (ścieżką). Wychodzimy przez gęste kosówki (przecinka) wprost do dolinki ze Strzeleckim Stawem (albo dwoma – Niżnim i Wyżnim, ale to zależy od stanu wód). Stąd w 10 min pod ścianę i wyraźny, ostry Prawy Filar.

ZEJŚCIE

Od szczytu filara długą, ale piękną granią (miejsce IV) na wierchołek, z którego bez trudności na Strzeleckie Pola i dalej

albo do szlaku, albo żlebem biegnącym wzdłuż lewego filara Strzeleckiej Turni pod ścianę.

Można też oszczędzić sobie drogi i opuszczając grań, ze szczytu filara krótkim kominkiem zejść na południe i stromymi trawami i żlebami, trzymając się prawej krawędzi ściany, dostać się do podnóża.

1. Prawy Filar, V, 3 h

F. Kele mł., A. Puškáš, J. Šuna, 11 VII 1951

Świetna mała dróżka, z wyśmienitą skałą i pięknym otoczeniem. Wrysowany jest prawy wariant i jego zdecydowanie polecamy, ze względu na estetykę wspinania i urodę granitu. Ostatni wyciąg, czyli kopułę szczytową, można pokonać „zza winkla” – łatwo i przyjemnie po wielkiej płycie, lub naszym wariantem – trudniejszym, ale dobrze asekurowanym i spektakularnym. Polecamy!

Sprzęt – standard, camy do nr 2, 3–4 haki do stanowisk przydatne, aczkolwiek nie niezbędne.

1a. Wariant przez żółte przewieszki, VI, 20 min

Według przejścia Alicja i Artur Paszczakowie, Zbigniew Skierski, 22 VIII 2015.

Zapewne chodzony wcześniej piękny wariant prostujący. Asekuracja całkowicie z kości.

2. Zacięcie w płycie, oryg. IV+, A0, klas. VII-, 4 h

A. Ferancová, L. Páleníček, 1.II.1975, klasycznie Š + J. Bednár, 29 VII 1978



Typowe IV+ Palenička, a ten Bednár to też lekko nie cenіл. Moim zdaniem VII- jak gwizd, ale dla wysokich będzie nieco łatwiej. Za to bardzo dobra asekuracja i naprawdę lita i ładna skała. Końcowe zacięcie to wspinaczkowa poezja, po prostu

czysta przyjemność wspinania w stopniu VI i w całości na własnych zabawkach. Super!

Sprzęt – standard, camy do nr 2, zdublowany rozmiar 0.7–1, + 3–4 haki.

OSTRY SZCZYT 2360 m

Filar południowy

Tekst i opracowanie : Artur Paszczak

Ostry opada na Strzeleckie Pola ścianą o wysokości ok. 150 m. Nie należy ona do ekstremalnych, ale charakteryzuje się dość dobrą skałą, co w połączeniu z południową wystawą przyczynia się do jej umiarkowanej popularności. Od południa, czy raczej południowego zachodu, wyróżnia się masywny filar, który wyraźnie wydziela się z całego masywu, stanowiąc niemal osobną strukturę, swoiste ramię Ostrego. Na południowy zachód opada ładną ścianą z popularną *Drogą Jaskinki* (która w istocie rzeczy jest jego lewym ograniczeniem), na południe zaś tworzy coś w rodzaju podciętej płyty, ograniczonej od prawej wielkim Kominem Świerza.

Prezentujemy dziś trzy drogi, z których droga Bakoša i Petrika (dwóch asów słowackiego wspinania, znanych choćby z poważnej drogi na Rumanowym) jest stosunkowo najmniej znana, ale warta poświęcenia jej uwagi. *Łopata* z kolei to relatywnie nowa propozycja z 2010 r., o której przejściach nic nam na razie nie wiadomo.

PODEJŚCIE

Szlakiem od Zbójnickiej Chaty ok. 30-60 min. Do Zbójnickiej od Hrebienioka (na który zębatą kolejką ze Smokowca) w zależności od kondycji – od 45 min do 2 h.

ZEJŚCIE

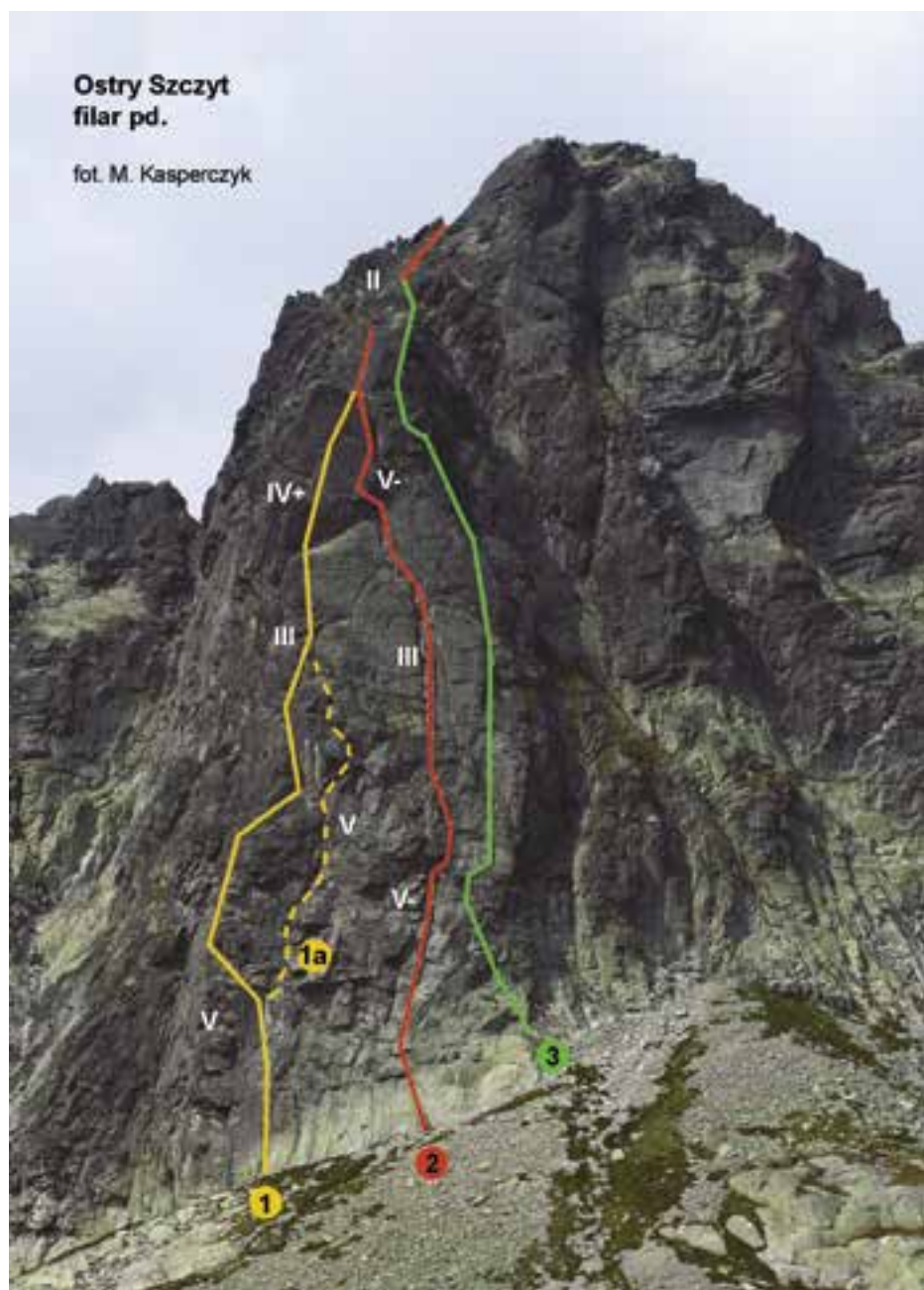
Najwygodniejsze zjazdami południową ścianą. Początek ok. 50 m na wschód od wierzchołka. Stałe stanowiska ze spitów, ale trzeba się rozglądać, a na wielkiej półce pośrodku ściany przetrawersować orograficznie w lewo. Spod ściany albo szlakiem do Zbójnickiej, albo w dół do wielkiego żlebu spadającego na lewo (orograficznie) od Strzeleckiej Turni – krócej, ale mniej wygodnie.

DROGI

1. Ostrzem filara, V, 3 h, D. Bakoš, M. Neumann, V. Petrik, 1971
Dość wymagająca jak na swój stopień droga. W środkowej części nieco krucha, ale skała generalnie dobra. Bardzo ładna góra z przejściem przez spiętrzenie ponad wielką płytą. Powyżej już tylko łatwe wspinanie w depresjach i kominach aż do szczytu.
1a. Wariant Artur Paszczak, Adam Pieprzycki, V+, lato 2014
Wariant trzymający się konsekwentnie prawej strony filara, ładny i logiczny, o podobnych trudnościach do oryginału.
Sprzęt: standard, do tego 3–4 haki typu mała falka i łyżka.

2. Droga Motyki lub Filar Motyki lub *Prawy Motyka*, V-, S. Motyka, J. Sawicki, Š. Zamkovský, 1934
Trudności drogi na początkowych dwóch wyciągach. Wspinanie w ryskach i zacięciach, kilka stałych haków, ale niewiele. W górze ładne wspinanie w płycie i końcowym spiętrzeniu.
Sprzęt: standard, przydatne 2–3 haki na stanowiska.

3. Łopata, V- (J. Beránek, Z. Morávek, 2010)
Teren na oko mniej lity niż na sąsiednich drogach – aby się jednak przekonać, trzeba by powtórzyć, a tego nie zrobiliśmy. Liczymy na Wasze opinie.



CZYŻBY W TATRACH BYŁY JESZCZE NIEZDOBYTE ŚCIANY?

CZARNY KOPINIAK ŚCIANA POŁUDNIOWO-ZACHODNIA

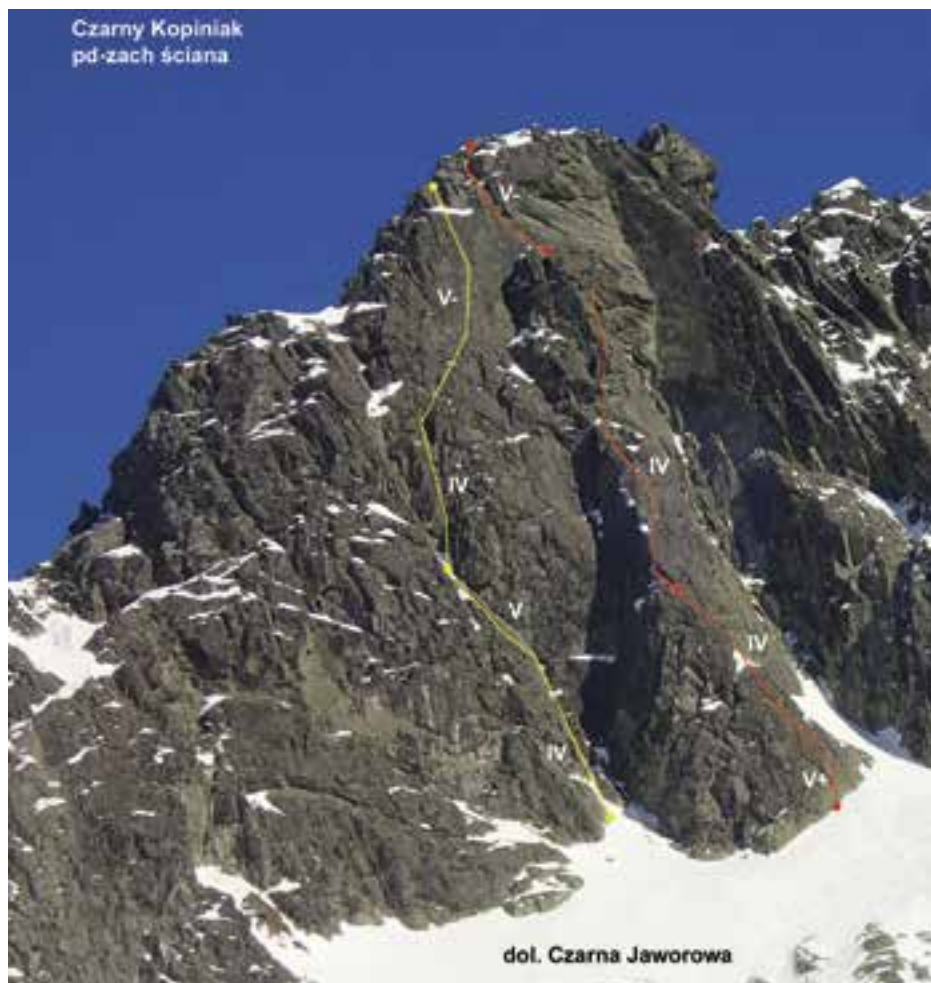
Tekst i opracowanie: Artur Paszczak

Późną wiosną szliśmy z Alicją na nartach Czarną Jaworową. Wcześniej miało być wspinanie, ale tak jakoś wyszło, że zamiast w Czarnej wylądowaliśmy pod Jaworowym Murem. Tak bardzo chcieliśmy być szybcy, że minęliśmy odbicie i kiedy wreszcie podnieśliśmy zalewane potem oczy do góry – przed nami była *Tytanowa Paszcza* (swoją drogą, powinienem ją chyba przejść...). Niezrażeni wykonaliśmy w lewo zwrot i trawersem pod Kapałkową Granią wróciliśmy pod Małą Śnieżną Turnię. W prążącym (naprawdę!) słońcu wdarliśmy się do górnego piętra i usiedliśmy na chwilkę. I tak się jakoś dziwnie stało, że złapaliśmy drzemkę. Żona nawet nieco dłuższą niż ja, bo ja się po jakiejś półgodzinie przebudziłem i poszedłem oglądać ściany, żeby jakiś alternatywny cel wynaleźć. Górne piętro doliny wyglądało bajkowo, a na samym jej końcu pysznił się niewielkich rozmiarów, ale bardzo intrygujący, czarny obelisk. Wróciłem po żonę, śpiącą jeszcze smacznie, i zbudziwszy ją, wszcząłem negocjacje dotyczące dalszych planów. O wspinaniu nie było mowy – żona wyśmiała bezlitośnie moje pomysły zastępcze – ale wycieczka w górę doliny została łaskawie zaakceptowana. I tak dotarliśmy pod tajemniczą ścianę, najpiękniejszą z tych, o których nigdy nie słyszałem. Solennie obiecaliśmy sobie wrócić na nią latem. A potem był ten piękny zjazd całą Czarną...

Desktop research ujawnił tożsamość obelisku, jakże trafną – Czarny Kopiniak. Okazało się, że wielokrotnie na nim bywałem podczas przechodzenia grani głównej. Fakt ten – że Kopiniak jest w grani głównej – bardzo podnosił jego

postrzeganą wartość, przynajmniej w oczach Siwego, który sam fakt odwiedzenia grani głównej uważa za wystarczające uzasadnienie górskiej wycieczki. Ale Czarny Kopiniak okazał się skrywać jeszcze jedną tajemnicę – okazało się, że brak jest informacji o przejściu tej właśnie pięknej, skrzęsanej ściany, która mnie tak zaintrygowała. Zero wzmianek – null. A to oznaczało... Serce zabiło mi żywiej. Czy to możliwe? Czy to w ogóle mogłoby się przydarzyć, że taka ściana nie została nigdy pokonana? Zacząłem snuć domysły – no bo w sumie czemu nie? Stoi sobie przycupnięta w najdalszym kącie Tatr, w miejscu rzadko odwiedzanym, jest na tyle mała, że nie stanowi „problemu taternickiego” i może faktycznie nikt się nie pokusił? A może jest trudna i dała odpór?

W sierpniu 2015 ruszyliśmy to sprawdzić – Alicja, Tadeo Montano i ja. Wycieczka była przepiękna i dość długa – bite trzy i pół godziny uczciwego marszu. Obelisk z bliska nie wyglądał już tak odstraszająco jak z daleka, ale wciąż prezentował się okazale. I to pomimo niewielkich rozmiarów, na pewno nieprzekraczających stu metrów. Na pierwszy ogień poszedł Świecznik – struktura pośrodku ściany. Choć pierwsze metry okazały się zadziwiająco krnąbrne, to jednak dalej wspinanie było dość łatwe, choć bardzo widokowo satysfakcjonujące. Szybko stanęliśmy na szczycie Świecznika, a tam, po lewej, w zupełnie absurdalnym miejscu, pośrodku płyty, poza zasięgiem półki – SPIT! Pryśły marzenia o „dziewicości”... Ale zaraz, zaraz. Tu zaczęliśmy się zastanawiać. A czemu ten



spit w tak jest dziwnym miejscu? Od dołu nie widać żadnych innych, stanowisko to nie jest – więc ki czort? „To jest spit zjazdowy z akcji”, oznajmił ratownik Tadeo. I faktycznie – znalazłem później, że była kilka lat temu akcja w okolicach tego szczytu. I chyba rzeczywiście – ratownicy w czasie akcji zasadzili spita do zjazdu lub opuszczania, i dlatego w otwartej ścianie. Pewności jednak nie ma.

Poszliśmy na drugą drogę i była nawet ładniejsza. Wiodła pięknym terenem, po płytach i zacięciach. Żadnych spitów nie było, również innych śladów nie znaleźliśmy. Tak więc

mamy nadzieję, że to być może my byliśmy pierwszymi, którzy wspięli się północno-zachodnią ścianą Czarnego Kopiniaka. Ale tylko – „być może”...

PODEJŚCIE

Najlepiej od południa, z doliny Małej Zimnej Wody przez Czarną Przełęcz. Bez problemu schodzi się żlebem pod samą ścianę. Można też od północy, przez Czarną Jaworową, ale odradzam – dolina jest rezerwatem.

Jakkolwiek dziwnie to brzmi, ściana ma wystawę południową.

ZEJŚCIE

Bez problemu z wierzchołka na Czarną Przełęcz. A potem długo, długo do domu...

DROGI

1. Droga prawa, *Dzień gorącego lata*, miejsce V-, 15 m V+ na starcie, 1,5 h

Alicja i Artur Paszczak, Tadeusz Grzegorzewski.

Droga startuje tuż przy charakterystycznej turnicy, splekaną płytą z ryskami. Dość trudny odcinek (V+) wyprowadza w łatwiejszy teren, którym wprost do góry. Można ten start ominąć zupełnie łatwo od prawej. Dalej wzdłuż prawej krawędzi Świecznika, ładnym terenem na jego szczyt (spit po lewej). Teraz w lewo i przez przewieszkę (V-) i nieco kruchym terenem podszczytowym na wierzchołek.

2. Droga Lewa, V-, 1 h 15 min

Alicja i Artur Paszczak, Tadeusz Grzegorzewski.

Start wielkim zacięciem i dalej jego dnem przy prawej ścianie, która w pewnym miejscu tworzy solidnie przewieszoną strefę (coś dla eksploratorów). Stąd w lewo na wielką, piękną płytę i wprost do góry na stanowisko pod kruchymi przewieszkami. Kominkiem przez przewieszki i w prawo na czarne płyty. W pięknej wspinaczce na półki po prawej od wierzchołka.



Pierwszy wyciąg lewej drogi. Fot T. Grzegorzewski

Lewa droga - pierwszy wyciąg. Fot Artur Paszczak



Pierwsze metry prawej drogi - trudności. Fot T. Grzegorzewski



SKĄD SIĘ BIORĄ NOWE DROGI?

Artur Paszczak

Sprawa wcale nie jest taka oczywista, jak się na pierwszy rzut oka wydaje. I dawniej, i dziś do powstawania nowych dróg przyczyniało się wiele elementów i najróżniejsze motywacje. Bez względu jednak na te czynniki, z eksploracją zawsze wiązała, a w przyszłości wiązać się będzie jeszcze mocniej, przynajmniej dobra znajomość terenu. Bo choć najciekawsze rzeczy tworzą ludzie mający po prostu dobre oko, to jednak bez topografii ani rusz. Ale nawet najlepszy znawca musi skądś powziąć pomysł, zanim następnie uda się w nieznane. A pomysł ten przyjąć może z najdziwniejszego nieraz kierunku...

GENEZA ESTETYCZNA

Najczęściej – moim zdaniem – nowe drogi powstają w wyniku dostrzeżenia jakiejś „fajnej formacji”. Wielokroć słyszę: „stary, tam jest takie piękne zacięcie!”. W dziewięciu wypadkach na dziesięć okazuje się, że przeszedł już je w roku 1926 Wiesław Stanisławski i na tym sprawa się kończy. Często w takich okolicznościach powstają „nowe stare” drogi, gdy twórcy nie zadają sobie trudu, aby dokładnie poznać topografię i historię terenu (czy to przed przejściem linii, czy po jej przejściu), skonfrontować opinie innych osób i uczciwie zinterpretować napotkane ślady, a nierzadko nawet haki.

Czasami jednak bywa, że formacja okazuje się naprawdę wolna!

Jest jeszcze dziś sporo takich miejsc i nie ma nic przyjemniejszego niż poczuć ten dreszcz emocji dany pierwszemu odkrywcy. A jeśli jeszcze uda się dołożyć do tej jednej jakieś inne formacje, to – przy odrobinie szczęścia – można usłładać całą nową drogę. Dziś to prawdziwa rzadkość i w większości przypadków jesteśmy skazani na częściowe przynajmniej korzystanie z dróg istniejących.

Czasami udaje się od razu dostrzec całą linię, tę sławetną „ładną formację”, ale to już prawdziwy rarytas, choć ciągle jeszcze możliwy. Drogami, które zaczęły się od „pięknego zacięcia”, były Jacka Fludera i moje Ostatnie *Milenium* na Czołówce, a także Droga na Hell na Kazalnicy. Od estetycznej rysy zapewne Kopta i Rokowski powzięli pomysł Siwego Dymu na Kotle. Robiąc

drózkę na Buli pod Barńdziochem, dostrześliśmy od razu całą linię, podobnie było ze zrealizowanym w tym samym roku projekcie na Zamarłej Turni (Łabędzi Puch – chyba ciągle bez powtórzenia, a szkoda). Za to na Tępej najpierw dostrześliśmy całą wolną połączyć ściany (Tępą Kazalnicę), a potem wycięliśmy na niej najprostszą możliwą drogę. Nic jednak nie może się równać z robieniem drogi na ścianie zupełnie dziewiczej, jak miało to miejsce na Czarnym Kopiniaku. A geneza była jak najbardziej estetyczna – „cóż to za piękna skrzęsana płyta w kącie doliny het, tam ukryta?”. To było to! Choć raz poczuliśmy się jak Stanisławski!

GENEZA ANALITYCZNA

Któż z nas nie spędzał zimowych wieczorów nad zdjęciem ulubionej ściany. Wpatrując się w gotowe opracowanie nie-rzadko da się dostrzec wolne skrawki. Ręka szybko maluje tam linie wijące się wokół istniejących dróg. Problem w tym, że ten wolny teren jest przeważnie wolny nie bez powodu. A więc albo lite płyty, albo kruszyzna. Bywa jednak, że nie jest aż tak źle. Wizji lokalnej nie da się oczywiście uniknąć

i choć większość pomysłów wtedy upada, to jednak z rzadka okazuje się, że są pewne możliwości.

Drogi powstałe w ten sposób przeważnie są wciśnięte pomiędzy inne, rzadko rozwiązują piękne formacje, ale z drugiej strony stanowią trudne wyzwanie. No i w większości są naprawdę nowe, bo ich autorzy poznali teren na wylot. Taką „wykopcowaną” drogą jest z pewnością *Czas Pogardy* na Cubrynie (jak napisał Adam, „Zeszłej zimy pooglądaliśmy sobie teren w okolicach *Cienia diabła*, a reszta wyszła ze zdjęcia Głazka”), ale też moja *Innominata* na Kotle czy np. słynna *Superparanoja* na Kazalnicy (jak to określił Moma, „chcieliśmy się wpięprzyć w coś trudnego”). Na *Innominacie* planowanie posunięte było do tego stopnia, że drogę prowadziliśmy ze zdjęciem w rękę. Będąc w ścianie, traci się nieco perspektywę i czasem trudno jest zachować właściwą linię, dlatego uprzednie umiejscowienie drogi na zdjęciu bardzo pomaga. Skądinąd wiem, że Marcin Tomaszewski prowadząc *Bushido* robił dokładnie tak samo.





Zdjęcia i dobre opracowania w ogóle bardzo ułatwiają zadanie, dlatego często autorzy zazdrośnie ich strzegą. Nie jest żadną tajemnicą, że po opublikowaniu topo Zadniego Kościelca zrobiłem tam w ciągu dwóch sezonów cztery nowe drogi, wszystkie dostrzeżone i wrysowane wcześniej na tymże opracowaniu...

GENEZA SPONTANICZNA

Czasem bywa, że ot tak, z przypadku udaje się zrobić nową drogę. Tutaj szczególnie trzeba post factum dokładnie rozeznaczyć topografię, aby nie popełnić plagiatu. Kiedyś z żoną zrobiliśmy tak „na błysk” drogę na Łalkowym Murze. Po prostu podchodząc pod Żabiego Mnicha, napotkaliśmy kawał pięknej skały. Niewiele myśląc, przeszliśmy ją estetyczną linią, a nie napotkawszy żadnych śladów, byliśmy niemal pewni, że zrobiliśmy nową drogę. Po zbadaniu sprawy okazało się jednak, że jej trzon przeszli parę lat przed nami poznaniacy, tyle że o swoim przejściu prawie nie wspomnieli. Łatwo było to przeoczyć i przypisać sobie czyjeś osiągnięcie. Innym razem mieliśmy za to szczęście – na Kościelcu (*Zacięcie Muminków*) i na Kozich Czubach (*Jesień Muminków*) nie mieliśmy poprzedników.

GENEZA ZAPYCHOWA

Wcale nie tak rzadkim przypadkiem jest zrobienie nowej drogi przez pomyłkę. Zdarzyło mi się to na Świnicy, gdzie podczas poszukiwań *Drogi Muskata* zrobiliśmy *Europa, Europa*. Oczywiście po dwóch wyciągach było już jasne, że nie jesteśmy na *Muskacie*, ale zjeżdżać nie było warto. Podobnie było na Ganku, gdzie w doborowym towarzystwie otworzyliśmy trudny, trójwyciągowy wariant w kopule szczytowej. Droga oryginalna wydawała nam się w napotkanych warunkach po prostu za trudna. Z kolei na *Lewej depresji wprost* (Niżnie Rysy) Zbyszek Krośkiewicz po prostu parł przed siebie, nie oglądając się na opisy i tak powstał dwuwyciągowy wariant przecinający barierę skalną. Często słyszy się: „zapchałem się i wyciąłem własny wariant”. Najczęściej te warianty nie są warte wzmianki, ale bywa, że są odnotowywane. Niektóre z nich powstają przez zwykły strach, gdy prowadzący desperacko szuka obejścia horrorystycznie wyglądającego przejścia oryginalnego. Zazwyczaj łąduje się w jeszcze większą jatkę, ale potem może z dumą nanieść na zdjęcie własną linię, która z czasem uzyskuje dopisek „rzadko chodzone”. To, że coś powstało przez pomyłkę, nie musi negatywnie świadczyć o jego wartości, a z czasem może się nawet



okazać wartościowym wkładem do historii taternictwa, czego przykłady można zresztą odnaleźć.

GENEZA PRZYPAKOWO-PIERDZIELOWA

Właściwie należałoby powiedzieć brako-przypakowa. Oj tak – chciałoby się przejść, a tu mocy jakoś brakuje. Albo psychy. Albo jednego i drugiego (to chyba najczęściej). Co wtedy pozostaje? Niektórzy zwą to „tątką śmiałych ominąć”. A więc „już to w lewo, już to w prawo” i szast-prast, droga zrobiona. Tyle, że jakaś nie całkiem jak trzeba. Znaczy – nowe warianty albo kombinacje. Sam mam coś takiego na sumieniu – kiedyś nie daliśmy rady z Tadeuszem Montano przeprzeć początku trudności na *Heinrichu-Chrobaku*, bo łąły się tamtędy strumienie wody, więc naprędce zaaranżowałem chytry plan obejścia ich *Kiełkowskim*. Powstał z tego taki „Chrobak dla ludzi” i nawet wpis w księdze historii taternictwa. Jak widać, znajomość topografii się przydaje.

GENEZA...NO WŁAŚNIE

I chyba już wszyscy wiedzą. Iksiński coś tam bąknął koledze, a ten powiedział Igrekowskiemu i Był projekt, a jest droga,

tyle że autorem nie będzie już Iksiński. No cóż, takie wypadki bywały od zarania, bo tam gdzie w grę wchodzi sportowe ambicje, tam czasem, jak powiedział pewien komentator, „nie gra się fair play”. Takie przypadki należą jednak do rzadkości, a nawet mam wrażenie, że dziś zdarzają się dużo rzadziej niż kiedyś.

Znalazłszy kawałek fajnej skały, chciałoby się poprowadzić tam drogę „za wszelką cenę”. Trudno jest powiedzieć sobie – „tego nie przejdę, a wiercić nie będę”. Ciągłe jeszcze za często drogi powstają „dla zadartych nosów zwycięzców”, jak to celnie określił pewien znawca tematu.

Jakie nie byłyby powody robienia nowych dróg, jedno jest pewne – kto spróbował, zazwyczaj pragnie więcej. I to mimo tego, że ładnego terenu jest coraz mniej.

„Pójdę z tobą, ale nie na żadną nową drogę! Mam dość wspinania w chęchu i kruszyźnie!”, oświadczyła kiedyś moja małżonka. Czasem i ja tak myślę, ale szybko mi przechodzi.

Zwłaszcza jeśli gdzieś dostrzegę kolejne „śliczne zacięcie”.

Jaroslav Boček

Jak Baryk wyszedł na swoje

Zył sobie raz melancholijny bernardyn imieniem Baryk. Jego misją życiową były spacery w kurniawę po alpejskich zboczach, wypatrywanie kostniejących turystów, wygrzebywanie ich z zasp, po czym wzmacnianie lykiem rumu z antałką, noszonego na rzemieniu pod szyją.

Tu właśnie tkwiło źródło Barykowej melancholii. Antałek umocowany miał tak pechowo, że choć każdy mógł bez kiwnięcia palcem gładko zeń pociągnąć, dla niego był niedostępny. Wędrując po górach, czuł stale aromat rumu, opary lechtały go w język, budząc w wąpłach dręczącą oskórę, lecz wszystko to nadaremnie, bo za nic nie mógł się napić.

Ma się rozumieć, robił co można. Siłił się ściągnąć łapą rzemień z karku, starał się tak wygiąć szyję, by choć czubkiem jęzora sięgnąć szpuntu, kładł się na grzbiecie z myślą, że skapnie mu bodaj kropla, co się sączy przy kurku, lecz wszystko na nic. W końcu poniechał prób, z rezygnacją snuł się po Alpach i odgrzebywał turystów, żywiąc w duchu jedno życzenie, by uczciwie skostnieli, tak skostnieli, że rum im ścieknie po brodzie, bo kordialnego oblizania nikt mu nie weźmie za złe, a on wreszcie wyjdzie choć trochę na swoje.

Wypada jednak nadmienić, że turystów tak skostniałych, by rum im ciekł po brodzie, było diablo mało.

Toteż co do zbłąkanych turystów miał Baryk wyrobioną opinię.

– Żadne z nich ofiary – oceniał. – Ofiarny turysta błądzi i kostnieje uczciwie, aż rum mu ścieka po brodzie. Ale taki – skądże! Tak ci jeden z drugim za błądzi, tak chwilę poleży w zaspie, by tylko migiem zjawił się Baryk z antałkiem rumu i mogli sobie gołnąć ile wlezie, a Barykowi nic nie dać. Już ja ich znam na wylot. Ile to razy po tym rumie ledwie powłóczę nogami i muszę ich targać do schroniska jak ten muł. I tyle warte całe to pogotowie alpejskie! Aż razu pewnego zaszło to, o czym Baryk tak długo marzył.

Nad Alpami znów akurat szalała śnieżna zadymka, gdy ze schroniska Grünenhaus dano znać, że z południowej przechadzki nie wrócił młody baron Otto von Hoffenberg, zamieszkały w schronisku z małżonką.

Młoda pani baronowa dorzucała tu z płaczem, że Otto odziany był lekko, bo właściwie w stroju wizytowym i półbucikach tylko wybiegł przed schronisko tuż przedtem, nim zerwała się ta straszna zawieja.

– Jeśli pomoc nie zdąży – łkała baronowa von Hoffenberg – mój biedny Otto zamarznie na amen. Przecie to aksamitne wdzianko, co je miał na sobie, jest w sam raz do restauracji czy baru, a nie na rozpiętane żywioły!

Bernardynom więc napełniono antałki i wyprawiono na pastwę tychże rozpiętanych żywiołów.

Baryk pokornie ruszył swym tradycyjnym szlakiem. Znał miejsca, gdzie turyści zwykle błędzą. Węszył z prawa, wietrzył z lewa, Ottona von Hoffenberga nie czuł, za to czuł rum. Ze znawstwem degustował bukiet i z wolna narastało w nim przeświadczenie, że to, co niesie na szyi, to nie byle krajowa palirura, lecz jak nic markowy produkt z Kuby czy Jamajki. Nieprzyzwoicie wręcz ciekła mu ślinka.

– Do licha – pomrukiwał skroś skowyt zawiei – niechby ten kapcan był choć uczciwie skostniały, rum tej klasy nieczęsto nam dają. Do licha, przy zdziebku szczęścia go znajdę, tak, do licha, przy zdziebku szczęścia skostniałego, że mu rum ścieknie po brodzie.

I – nie do wiary – miał to szczęście.

W swym stroju wizytowym baron Otto von Hoffenberg był skostniały na gnat. Rum ciekł mu po brodzie, Baryk kordialnie go lizał, z satysfakcją przy tym stwierdzając, że domysły bynajmniej nie zawiodły. Był to naprawdę pierwszorzędny kubański rum. A Otto był naprawdę uczciwie skostniały. W końcu doszedł do siebie raczej dzięki intensywnemu Barykowemu lizaniu niż z racji wypitego trunku.

W krąg wyła kurniawa, Barykowi zaś było ciepło, bosko, wręcz hulaszczco – może by nawet wokół barona Ottona von Hoffenberga zatańczył, gdyby to dopuszczała profesjonalna postawa psa alpejskiego pogotowia.

Niemniej jednak figlarnie czknął i oznajmił:

– No to, cwaniaku, złap mój rzemień na szyi i chodu do schroniska, bo mi tu na glanc zamarznie, mój ty gnacie luby.

Baron Otto von Hoffenberg nie całkiem to pojął, lecz jakoś doń dotarło, że ma chwycić obrożę, uczeplił się jej więc i pobrańczył w stronę schroniska Grönenhaus. Wokół wciąż zawodziła zamieć i mknęły miriady płatków.

Za dziesięć minut mieli być przy schronisku. Ale nie byli. Byli całkiem gdzie indziej. Byli na skraju nawisu znanej z lawiniastości ściany Hohenfall, czyli Wysoki Upadek.

Swoją omyłkę Baryk poznał dopiero, gdy z masą śniegu lecieli ścianą w dół. Nie zdążył nawet nowej sytuacji skomentować. Wyparaskiwał tylko śnieg z nosa i robił pływackie ruchy, jakie winno się robić spadając z lawiną. Baron Otto von Hoffenberg, w aksamitnym wdzianku i półbucikach, nie robił nic. Trzymał tylko kurczowo obrożę bernardyna. I to było najlepsze, co mógł w ogóle przedsięwziąć. Nim się znaleźli na dole, tworzyli jądro największej lawiny, jaka spadła tej zimy ze ściany Hohenfall.

– Do licha – zamruczał na dole z satysfakcją Baryk, gdy się uspokoiło – coś mi mówi, że dziś wyjdę na swoje jak nigdy. Jeśli wszystko zagra jak trzeba, nie minie godzina i zjawi się tu jakiś bernardyn z antalkiem rumu, a skoro nie jestem ratownikiem, lecz zasypanym, mam prawo do połowy, tylko muszę uważać, żeby mi klient całkiem nie skostniał na gnat, bo to by już było niewarte kapki rumu. Za godzinę istotnie znalazł ich kolega Haryk, a taki był lojalny, że ani mu przez myśl nie przeszło kwestionować Barykowe prawo do połowy antalka.

I tak Baryk wyszedł na swoje.

Że jego zdjęcie zamieściła ponadto cała austriacka, szwajcarska i bawarska prasa z podpisem: „Bohaterski bernardyn Baryk, który ciepłem swego oddechu ocalił przed zamrożeniem barona von Hoffenberga” – to już detal, chyba niewart nawet wzmianki.

Z książki *Pomysły miłośnika zwierząt*
(*Nápady milovníka zvířat*, 1983)

Przełożył Jan Gondowicz

CHÓD TATRZAŃSKI

Jan Nyka

Czerwone Wierchy

Gdyby zapytać dzisiejszego biegacza górskiego o to, kiedy w Polsce pojawiły się pierwsze zorganizowane zawody w bieganiu po górach, ich początki widziałyby najdalej 10–15 lat temu. Zdziwiłby się bardzo, że pierwszych zwiastunów trzeba szukać przed prawie stuleciem. Chyba dotąd nie zdarzyło się, by jakaś dyscyplina sportowa wykształciła się samoistnie na gruncie polskim – wszystkie wzory przychodziły do nas z innych krajów. Niemal wiek temu przytrafił się jednak chlubny wyjątek – piękna idea zorganizowanych biegów po górach.

Wertując kiedyś stare pisma, natknąłem się przypadkiem na informację o biegu górskim, pierwszym w Tatrach i pierwszym takim w Polsce. Był rok 1925, gdy grono zapalonych sportowców zakopiańskich, działaczy taternictwa i narciarstwa, postanowiło zorganizować zawody biegowe w pięknym i trudnym technicznie środowisku wysokogórskiej przyrody. Niestety ideę „upuścił” autorytarny głos jednego z tatrzańskich mędrców. A na szali powszechnej oceny zjawisk społecznych, większą wagę niestety miewa głos „autorytetów” niż zgodny ze zdrowym rozsądkiem i logiką obiektywny pogląd na sprawę. To, że pomysł był rodzimy, działało na jego niekorzyść: światowe precedensy i analogie na pewno wzbudziłyby większe zaufanie i być może akceptację ze strony decydentów.

Ta bezprecedensowa impreza sportowa odbyła się 15 sierpnia 1925 r. Był nią pierwszy w historii Rzeczypospolitej bieg górski, rozegrany na dystansie 25 km z ponad tysięcznym przewyższeniem, asekuracyjnie nazwany przez organizatorów Chodem Tatrzańskim. Tuż przed startem wycofała się stara wiara – doświadczeni sportowcy – bracia Franciszek i Józef Bujakowie oraz Kazimierz Schiele. O godzinie 9:47 z zakopiańskiego rynku wystartowali w stronę Kuźnic czterej pozostali zawodnicy – młodszy, reprezentujący powojenną szkołę: Julian Motyka, Władysław Czech, Stanisław Michalski i Stanisław Grabacz. Korzystając z dobrej pogody panującej w dolnych partiach gór, biegnąc przez Dolinę Kondratową dotarli do Przełęczy Kondrackiej, niestety, razem z górującymi nad nią szczytami otulonej gęstą mgłą. Do przygotowanego na przełęczy pierwszego punktu żywieniowo-wypoczynkowego jako pierwsi dobiegli równocześnie Motyka i Czech. Po kwadransie regulaminowej przerwy, wśród

gęstej, wilgotnej mgły i zimnego wiatru, nastąpił start do drugiego sześciokilometrowego etapu, przez całą długość masywu Czerwonych Wierchów. Odstępy pomiędzy zawodnikami zwiększyły się – na szczycie Krzesanicy (2128 m) prowadził Motyka z przewagą 4 minut, które jednak utracił, zbłądziwszy we mgłę na Ciemniaku. Na drugi punkt wypoczynkowy, nad Miętusią, wpadali po kolei: Motyka z depczącym mu po piętach Czechem, 8 minut później Michalski, który na kamieniach zdarł doszczętnie podeszwę buta, a 16 minut po nim Grabacz. Pogoda znowu była ładna, zawodnicy posilali się i odpoczywali. Po 15-minutowej przerwie wyruszyli wytyczoną kolorowymi chorągiewkami trasą przez mroczny las nad Miętusią, potem przez Dolinę Małej Łąki i Drogą pod Reglami z powrotem do Zakopanego. Zwycięzca, Julian Motyka, dotarł na metę na



Stanisław Zdyb

rynku w fenomenalnym czasie 2 godzin 59 minut, Władysław Czech w 3:02, Stanisław Michalski w 3:24, a Stanisław Grabacz w 3:42. Znawcy gór nie spodziewali się tak efektownych wyników, szacunki największych optymistów oscylowały pomiędzy 3:30 a 4:30. Do tego zawodnicy dotarli na metę w świetnej formie i jedyne, na co zgodnie narzekali, to nazbyt długie obowiązkowe przerwy wypoczynkowe. Pomysł zorganizowania Chodu Tatrzańskiego należy przypisać inicjatywie Stanisława Zdyba, kierownika sportowego „Sokoła”, długoletniego członka Tatrzańskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego Polskiego

Towarzystwa Tatrzańskiego, doświadczonego turysty, narciarza i taternika. Nad staranną organizacją imprezy czuwał prezes „Sokoła”, druh prof. Wilhelm Stopowy, z pomocą zaangażowanych działaczy tej organizacji. Nieznane były w tamtym czasie – co podkreślała prasa – pierwowzory tego rodzaju przedsięwzięć – ani w Polsce, ani nawet za granicą. Nie bez podstaw Andrzej Krzeptowski tak się wypowiadał pod koniec sierpnia na łamach „Głosu Zakopiańskiego”: „Sezon obecny nazwać można śmiało przełomowym w rozwoju sportu w Zakopanem. Szereg imprez sportowych... zdaje się wskazywać, że wkraczamy w nowy okres... w kierunku dostosowania istoty sportu do specjalnych warunków górskich. Walcząc z chronicznym brakiem boisk i łąk, ruch ten przenosi się z konieczności do uprawiania przede wszystkim biegów i to biegów długich w terenie leśnym, górzystym, do których nasi sportowcy (prawie wyłącznie narciarze), czują specjalne zamiłowanie”.

Niestety nowatorska impreza nie znalazła uznania wśród ówczesnych wpływowch sfer. Na łamach numeru 28 „Kuriera Sportowego” głos zabrał pisujący o sprawach sportu wybitny taternik, prezes Sekcji Turystycznej Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego, Mieczysław Świerż. Stał on w obronie уражonych uczu turystów i miłośników Tatr, wszystkich, dla których góry te są „świętynią i klejnotem bezcennym Rzeczypospolitej”. Podkreślił, że Tatry, „które dla tysięcznych rzesz są krynicą wytchnienia, orzeźwienia i pokrzepienia” stały się pierwszy raz „martwym i zimnym przyrządem sportowym”. Uronił łzę nad majestatycznym szczytem tatrzańskim, który stał się „terenem ludzkiego wyścigu” z pomocą bezdusznego „miernika czasowego”, niemającego ponoć ze sportem górskim nic wspólnego. Aby nie być jednostronnym, ujął się też za samymi zawodnikami i w trosce o ich zdrowie podkreślał, że zostało narażone na uszczerbek przez pokonanie ponadtyśmetrowego przewyższenia, „w czasie, przekraczającym o wiele dopuszczalną w górach normę (300-400 m wzniesienia na godzinę)”. Wreszcie odmówił Chodowi Tatrzańskiemu jakiegokolwiek rzeczywistej wartości sportowej, apelując za złożeniem zawodów do „magazynu zapomnianych i niefortunnych wynalazków”.

Rzeczowa odpowiedź Andrzeja Krzeptowskiego ukazała się w 31 numerze „Kuriera Sportowego” – w myśl zasady *audiat et altera pars*. Argumenty Krzeptowskiego były rozsądne i logiczne. Podjął polemikę ze Świerżem – nieszczydzącym wytaczania „ciężkich dział na wróbla”, po to tylko, żeby przed sportowcem „zatrzasnąć bramę, wiodącą do tej »świętyni orzeźwienia« do tych »jedynych swobody ołtarzy« jakimi są dla każdego Polaka nasze wspaniałe Tatry”. Przypominał, że wspomniane przez Świerża rzesze turystów zaśmiecają piękne zakątki „puszkami z konserw, papierami i skorupami jaj”, a góry „huczą... wrzaskami tysięcy profanów”. Tymczasem, na tle tatrzańskiej panoramy „wśród tysięcznej rzeszy turystów przesunie się w jeden jedyny dzień roku szczupła garstka zawodników – prawie niepostrzeżenie”. Hałaśliwemu profanowi przeciwstawił sportowca, „prawdziwego syna natury”, do którego zwrócił się z udawanym współczuciem: „Tylko Tobie cichy rycerzu szlachetnej walki nowoczesnej, który cicho i zřęcznie przemycasz się bokiem jak zwinna kozica... – Tobie

jednemu nie wolno cieszyć się zdrową sprężystością młodych mięsłów i szerokim oddechem piersi. Ty jeden, cichy i skromny zniweczysz majestat gór!”. Odparł też zarzuty o narażenie na uszczerbek zdrowia zawodników. Podkreślał, że ani on sam, ani szanowny adwersarz nie posiadają wystarczającej wiedzy, żeby wypowiadać się w tej materii, i że zostawić należałoby to fachowcom. Stwierdzał tylko, że normy ustalone dla turysty „objuczonego ciężkim plecakiem” nie są tożsame z tymi dla sportowca, „którego cały rynsztunek przypomina strój kąpielowy”. Bronił wartości sportowej chodu i przypominał, że w czasie zawodów narciarskich „wielkie wzniesienia 300-400 m pokonywuje się pełnym biegiem, oddechając przytem mroźnem powietrzem i dźwigając nienormalny ciężar w postaci pary nart”. A powszechnie wiadome było, że Mieczysław Świerż w młodszych latach nie stronił od biegania na

nartach po Tatrach i Beskidach z numerem startowym przypiętym na piersi, ochoczo poddając się działaniu „miernika czasowego”. Krzeptowski powołał się też na autorytet inicjatora Chodu – Stanisława Zdyba, „którego znajomość gór i znajomość zasad sportu, trudno podawać w wątpliwość” – nawet Świerżowi. Na koniec wreszcie zaapelował do miarodajnych sfer, żeby podstawowa kwestia, pytanie „czy sport należy dopuścić w góry”, nie podlegała dyskusji, a „niefortunny zamach na wolność sportowca i jego słusne prawa” nie powtarzał się w przyszłości.



Andrzej Krzeptowski

Z kolei na łamach poczynnego tygodnika sportowego „Stadion” można było przeczytać dwie poświęcone tematowi Chodu wypowiedzi dra Władysława Fuchs-Dybowskiego, fizjologa sportowego (numery 37, 45) i odpowiedź Adama Krzeptowskiego (numer 41). Obydwaj dyskutanci wypowiadali się w sposób wyważony i merytoryczny. Dr Władysław Fuchs-Dykowski poddał [w pierwszej wypowiedzi] pod dyskusję temat minimalnego wieku zawodników Chodu Tatrzańskiego, konieczność wyselekcjonowania tych z doświadczeniem i z odpowiednią zaprawą, jak i potrzebę obowiązkowych badań lekarskich zawodników przed konkurencją i po niej. Do organizatorów i do KOZLA (Krakowskiego Okręgowego Związku Lekkiej Atletyki) skierował retoryczne pytanie, czy zdawali sobie sprawę, że Chód Tatrzański w związku z trudnościami terenowymi i dużym przewyższeniem, „dorównuje trudnością i wysiłkiem

biegowi maratońskiemu” i dlaczego „o tego rodzaju imprezach zagranicą, tam gdzie sport znacznie bardziej jest rozwiniętym i ma wcale poważny wiek za sobą, jednak nic nie słysząc?”. Podkreślał jednak, że tego rodzaju impreza sportowa zasługuje na baczną uwagę i jej organizatorzy powinni koniecznie podzielić się zdobytym doświadczeniem, przekazując opinii publicznej dalsze na jej temat szczegóły.

Andrzej Krzeptowski („Stadion”, numer 41) w odpowiedzi wyjaśniał, że KOZLA nie zatwierdziło jeszcze oficjalnie Chodu Tatrzańskiego. Zgodził się z tym, że kwestia badań lekarskich „to bodaj najsłabszy punkt w organizacji zawodów sportowych w Polsce”. Jako przykład podał popularne zawody narciarskie, podczas których ta praktyka nigdy nie miała zastosowania. Poinformował, że zawodnicy „Sokoła” byli badani przez lekarza dr. Mischkego przed biegiem, ale po biegu – z powodu trudności organizacyjnych – już nie. Podkreślał, że opinia publiczna nie powinna „zapatrywać się sceptycznie na pomysły rodzime, choćby one na pierwszy rzut oka odbiegały od ustalonych tradycją wzorów (...) nie znamy bowiem pierwowzorów tego rodzaju przedsięwzięć ani u nas, ani gdzieindziej”. Dzięki temu „specjalne warunki tatrzańskie wzbogaciły sport polski, a wspaniałe i trudne tereny górskie... dadzą się, przy starannem rozważeniu sprawy i racjonalnej organizacji zawodów, włączyć do tych najlepszych boisk jakie stanowią lasy i pola dla każdego sportowca nowszych czasów”.

Dr Fuchs-Dybowski („Stadion”, numer 45) konkludował: „Wniosek więc jaki? Ten stereotypowy w Polsce – zakazać? Nie. Dość w ten sposób nagrzeszono, zwykle z wręcz przeciwnym zamierzonomu skutkiem. Wprowadzić drobne na pozór, lecz bardzo ważne zmiany”. Jakże? Obligatoryjne badania przed zawodami i po nich, dokonywane przez doświadczonych lekarzy i sportowców-fachowców. W oparciu o wyniki badań trzeba poprawiać regulaminy zawodów, aż do osiągnięcia ideału. Ideału osiągnąć się nie udało, bo prekursorski pomysł na wiele dekad trafił pod klucz, do zawczasu przygotowanego przez Świerza „magazynu zapomnianych i niefortunnnych wynalazków”. Poważne media górskie zbyły go milczeniem – ani „Taternik”, ani „Wierchy” nie odnotowały Chodu Tatrzańskiego. Podobnie postąpiły media powszechne. Dlaczego? Powodów

było przynajmniej kilka. „Prawdziwi miłośnicy Tatr” unikali powiązań ze sportem, co najmniej tak, jak diabeł wody święconej. Mieczysław Świerz cieszył się wtedy wielkim autorytetem i jego kłątwa była dla piszących o górach jednoznaczna: *Roma locuta, causa finita*. Do tego doszło niezrozumienie idei imprezy, jej skromne – w porównaniu np. z zawodami narciarskimi – rozmiary, widoczny (celowy?) brak starań promocyjnych ze strony organizatorów. Jeśli chodzi o echa prasowe, był też jeszcze całkiem inny powód. Nieco wcześniej wydarzył się w Tatrach Jaworzyńskich zagadkowy i do dziś niewyjaśniony wypadek równoczesnej śmierci trzech osób (znany jako tragedia Kaszniców), który na długo skupił na sobie uwagę większości mediów i dziennikarzy pisujących o górach. Przez wiele tygodni mówiło się i dyskutowało tylko o tym sensacyjnym zdarzeniu.



Mieczysław Świerz

Dziwić może fakt, że tak ciekawa impreza wpadła na 90 lat w czelusć zapomnienia – nie pisało się o niej, nikt do niej nie wrócił. Tym bardziej cieszy możliwość przywrócenia do życia zapomnianego epizodu z dziejów naszego sportu i zarazem pamięci ówczesnych światłych działaczy sportowych i wysokogórskich – Zdyba, Krzeptowskiego... Sami nie doczekali się nowej epoki, ale ich imiona mogą znaleźć się na początku kroniki tak pięknie dziś się rozwijającej dyscypliny biegowej.

W ramach podsumowania nasuwają się na wskroś współczesne analogie, pokazujące, że nasze polskie Tatry nawet i dziś niezbyt chętnie otwierają się na zorganizowane imprezy biegowe. Ba! Szeroko rozumiany sport nadal nie cieszy się pełną przychylnością tatrzańskich centrów decyzyjnych. Argumenty wysuwane przeciwko nierzadko bywają równie nielogiczne i irracjonalne, jak te artykułowane przez Świerza przed 90 laty. W związku z tym nadal aktualne są słowa Andrzeja Krzeptowskiego, o tym, że wszak nikomu to nie przyniesie szkody, jeśli „wśród tysięcznej rzeszy turystów przesunie się w jeden jedyny dzień roku szczupła garstka zawodników – prawie niepostrzeżenie”.

Tekst Jana Nyki ukazał się w numerze 3 dwumiesięcznika dla pasjonatów górskich ultramaratonów - *Ultra*.

VI.MAS – CYFRA SEZONU

Mariusz Marszał

Tegoroczny memoriał był już szóstą odsłoną towarzyskich zawodów organizowanych przez KW Kraków, by uczcić pamięć Andrzeja Skwirczyńskiego – instruktora i nieustraszonego eksploratora podkrakowskich rejonów, autora licznych dróg, w tym wielu kursowych i „dla ludzi”. Zawody swym zasięgiem objęły w tym roku skały w okolicy Brandysówki, rejon Łabajowej i Wielkiej Turni. Nowością było włączenie wysuniętych na północ skał Wzgórza 502 i Fiali – w ostatnich latach rzadko odwiedzanych z powodu wojenki, jaką wspinaczom wypowiedział mieszkający w okolicy samowwarczy kustosz rejonu, Rysiek vel Gówniarz. Przypomnijmy – od kilku ładnych lat wspomniany jegomość konsekwentnie i z uporem smaruje ekskrementami ringi, stanowiska, wybrane chwytły, klamki samochodów... Co więcej, niestandardowe wykorzystanie kupy to tylko mała część arsenału jego środków (zainteresowanych odsyłam do odpowiedniego wątku na forum Wspinanie.pl). Włączenie do zawodów powyższych rejonów było zatem desperacką i chyba skuteczną próbą odzyskania skał dla wspinaczy. W związku z tym, teren został gruntownie uprzątnięty, skały i ich okolice odkrążone i oczyszczone, a wiele dróg zyskało nowe obicie. Bonusem została niewielka skałka o wdzięcznej nazwie Goła, położona niedaleko Fiali i pokryta siatką ponad 20 nowości, nieujętych jeszcze w żadnym topo.

9 maja ok. 10.30 po krótkiej odprawie wraz z moją partnerką Alicją i członkami pozostałych 86 zespołów ruszyliśmy na podbój ścian. Celem było zrobienie w wyznaczonym czasie jak największej ilości dróg, różnie punktowanych w zależności od ich długości i trudności. My zdecydowaliśmy się na Wzgórze 502, licząc na to, że dzięki odległej lokalizacji, mnogości dróg oraz groźbie konfrontacji z Ryskiem ustrzeżemy się kolejek. Nie pomyliliśmy się – mimo początkowej straty czasu związanej z pobłędzeniem i męczącymi podjazdami mogliśmy płynnie wbijać się w kolejne drogi. Trzeba jednak przyznać, że wspi-

nacze nie przestraszyli się Ryszarda i na skałach z numerem 502 działało ich całkiem sporo.

Na ostatnie dwie godziny przenieśliśmy się na Gołą, by tam cisnąć do oporu. Ryzykując punkty karne za przekroczenie regulaminowego czasu, pokonaliśmy jeszcze 10 dróg. Potem już tylko szybki powrót (tym razem z górką) i oddajemy kartę 4 min przed wyznaczonym limitem.

Później było oczekiwanie przy piwku i zapewnionej przez organizatorów grochówce, konkurs slackline z nagrodami i wielka niespodzianka po wywieszeniu list – zajęliśmy II miejsce w swojej kategorii, w dodatku pokonaliśmy trzeci zespół o przysłowiowy włos czyli 3 pkt (741 do 738)!

W końcu przyszedł czas na dekorację zwycięzców. Wśród par tryumfowały krakowianki. Scenę skradły zaś dla siebie zdobyw-

czynnie III miejsca w zespole, „Nagrodę odbieramy w bieleźnie”, wiadomo dlaczego. Również wśród zespołów męskich I miejsce przypadło krakusom (przed Ślązakami). Natomiast zwycięzcami w kategorii zespołów mieszanych zostali, całkowicie deklarując rywali, członkowie klubu KW Trójmiasto Bożena i Artur Kraszewscy, zdobywając najwyższy wśród wszystkich zespołów wynik 1509 punktów

(40 dróg), a tym samym wygrywając nagrodę główną – własny obity projekt, do poprowadzenia i nazwania. Zamiast pucharów, wszyscy zdobywcy podium otrzymali wspaniałe trofea zrobione z haków wybitych ze skał Fiali i Wzgórza 502. Kto wie, może wbił je przed laty sam Andrzej Skwirczyński?

PS: Gorąco zachęcamy do udziału w kolejnej edycji memoriału (w tym roku klub reprezentowany był dość skromnie).

PSPS: Dla przyszłych zawodników obowiązkowa lektura: nie całkiem niepoważny artykuł „Jak zająć III miejsce na Memoriale Skwira albo chociaż wygrać” na Drytooling.com.pl



Skwir Triumfatorzy. Fot. M. Marszał

Każdy, kto czytał *Szkice Piórkiem* Andrzeja Bobkowskiego, już na zawsze pozostał (jak sądzę) pod wpływem tego jednego z największych polskich prozaików XX w. Potęga wyrazu z pozoru zwyczajnego, a wręcz potocznego, czy raczej potoczystego języka Bobkowskiego wstrząsała zarówno Iwaszkiewiczem, jak i Giedroyciem. W literaturze polskiej Bobkowski był zjawiskiem całkowicie osobnym i do dziś – niestety – bardzo mało znanym. Z tym większą przyjemnością przedrukowujemy dziś esej na temat kolejki linowej na Kasprowy – esej cięty, miejscami jadowity, ale jakże prawdziwy i nieprzemijający. Esaj, który pokazuje, jak niewiele się w naszym środowisku zmieniło, i że te same problemy, które trapią i dzielą dziś nas – trapiły i dzieliły środowisko ludzi gór prawie sto lat temu. (AP)

NAPOWIETRZNY „TUNEL”, ALE NIE KELLERMANA!

Andrzej Bobkowski

Jest takie przysłowie o złym ptaku, co własne kła gniazdo. W mojej rodzinie, przez całą epokę tak zwanej Polski sanacyjnej, byłem uważany za takiego ptaka. I jeśli chodziło o kalandr, to byłem uważany za swojego rodzaju orła. Pamiętam, gdy raz jedna z moich ciotek, zebrawszy wszystkie siły, aby unieść własny głos, uniosła go wreszcie i tymże głosem pograżała mnie do reszty, stwierdzając imperatywnie i kategorycznie, iż bardziej pasowałoby do mnie nazwisko Rosenkranz lub Rosenduft niż Bobkowski. Ponieważ nie była nigdy antysemitką, więc oceniłem to jako tzw. szczyt wyjścia ciotki z ciotki, czyli politycznego zacietrzewienia. Krótko mówiąc byłem w opozycji i trudno i darmo, trzeba czasem być szczerym, węzeł bliskiego pokrewieństwa z ówczesnym wiceministrem komunikacji, inż. Aleksandrem Bobkowskim, napawał mnie bezustannym skrzepowaniem w stosunkach z ludźmi, wśród których się obracałem. Graniczyło to niemal z kompleksem niższości.

Pamiętam, jak po powrocie z wakacji 1935 roku poszedłem na pierwszy wykład SAGH w Warszawie i jak moi przyjaciele powitali mnie zjadliwymi uśmiechami. Towarzyszka Halina rzekła z przekąsem: Bo i co Andrzejkę – nowa hucpa sanacyjna! Kolejki linowej na Kasprowy im się zachciewa i robią wielki raban, żeby odwrócić uwagę narodu od ważniejszych spraw. Tym razem jednak nie zamilkłem i choć nigdy nie występowałem w obronie sanacji, a do mojego rządowego stryja starałem się przyznawać jak najmniej, tu stanąłem w obronie kolejki, i mojego krewnego.

Dziś, po latach, czynię to znowu z przekonaniem. Tym bardziej że ten głupi spór, i bardzo niewybredne oskarżenia trwają nadal i tyczą zarówno dzieła, jak i człowieka, który je stworzył. Hej, czy się kręcą, gdy po 23 latach jeszcze ciągle czyta się te same kawałki, wypisywane pod batutą zawsze tego samego działacza i „ochroniarza” z dawnego Pol[skiego] Tow[arzystwa]

Tatrzańskiego, który ciągłym odgrzewaniem pokrytych pleśnią sporów stara się dziś ochraniać nie tyle Tatry, co swój własny, nowy kolor ochronny. . .

Ale wróćmy do rzeczy. Gdy w ową pamiętną jesienią 1935 roku ośmieliłem się po raz pierwszy Stanąć w obronie kolejki linowej na Kasprowy, nie uczyniłem tego bynajmniej jako bratanek inicjatora skandalu, który podzielił wówczas kraj na dwa wrogie obozy i przybierał chwilami podobieństwo do „Sprawy Dreyfusa” we Francji. Stałem w obronie kolejki jako zwyczajny człowiek wielkiego obozu młodych turystów i sportowców, poczuwając się do solidarności z tymi setkami tysięcy młodzieży różnych przekonań politycznych i różnych warstw społecznych, której tenże wiceminister Bobkowski, po długich latach uporczywej pracy w tym kierunku, uprzęstąpił narciarstwo.

Bo w roku 1935 Polska, poza krajami Skandynawii i Szwajcarią, była nie tylko w Europie, ale i na świecie [państwem], w którym narciarstwo przestało być sportem elitarnym, w którym gdy przyszła zima, młodzież w całym kraju przypinała lepsze lub gorsze deski do lepszych lub gorszych butów i uprawiała ten sport od Zakopanego aż po Wilno, sport, który do dziś dnia jest jeszcze w wielu krajach razem ze Stanami Zjednoczonymi sportem elity, sportem bogatych. I gdyby istniała taka statystyka, to łatwo można by wykazać, że w Polsce roku 1935 ilość par nart na 1000 mieszkańców była na pewno wyższa niż w wielu bogatszych krajach Europy Zachodniej. I cyfra ta byłaby jeszcze ciągle wyższa nawet dziś w porównaniu z Polską Ludową, Francją, Włochami, może Niemcami i nawet USA.

Oczywiście — zawracanie głowy, bzdury o ilości nart na 1000 mieszkańców, gdy ludzie dzielili zapalki, gdy grypy szalały w Naprawach itd. Wiem — nigdy o tym nie zapomniałem, ale nie potrafię również zapomnieć, że właśnie całe podejście do turystyki wewnętrznej, bezustanna popularyzacja narciarstwa, otwieranie ciągle nowych terenów za pomocą tanich przejazdów w pociągach popularnych lub specjalnych, wczasy robotnicze itp. — ze wszystko to było przejawem demokratyzacji życia, rozszerzaniem przywileju podróżowania i turystyki na warstwy coraz to uboższe. I kto wie, czy całe to dzieło zainicjowane przez jednego człowieka nie było wówczas jedynym prawdziwym przejawem tego, co dziś rozumiemy pod słowem „demokratyzacja”. Budowa kolejki linowej na Kasprowy była logicznym członem w łańcuchu dokonań, które zmierzały do rozszerzenia turystyki wśród mas.

Toteż przecieram oczy, gdy jeszcze dziś czytam w krajowych pismach, że człowiek, który to wszystko zainicjował, przedostał się do dziejów turystyki polskiej jako szkodnik, przenoszący na nasz grunt najgorsze wzory burżuazyjne (J.A. Szczepański), albo że warunki rzeczywistości zaborczej, a potem gospodarce trudności dwudziestolecia, skomplikowane pewnymi snobistycznymi tendencjami, wprowadzonymi do turystyki przez ludzi pokroju Bobkowskiego, przeszkodziły taternictwu przeszłości rozwinąć się w ruch naprawdę powszechny (Walery Goetel). Ludzi wypisujących tego rodzaju nonsensy można jedynie wytłumaczyć chęcią popisywania się życiodajną umiejętnością — nazwijmy to — dialektyki i przypisywania byłemu wiceministrowi tendencji, których bronili właśnie oni, skupieni w zawsze burżuazyjnym i snobistycznym Polskim Towarzystwie Tatrzańskim.

I w roku 1935 z powodu Kasprowego, i w 1950 roku, gdy Biuro Turystyki Ministerstwa Komunikacji zatwierdziło plan budowy pięciu nowych wyciągów górskich (na Małą Kopę w Karpaczu, na Szynielińcu i Klimczok pod Bielskiem, na Kasprowy z Hali Gąsienicowej i na Krokiew w Zakopanem), i w roku 1958, gdy umasowienie turystyki razem z ułatwieniem dostępu do gór odbywa się po ścieżkach wytyczonych przez „sanacyjnego szkodnika”, odzywa się to samo brzęczenie tych samych arystokratów z Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego.

Tak samo jak wtedy, tak i dziś brzmi w tym wszystkim typowy chrząszcz snobizmu tzw. łdzi górn — wielkich wtajemniczonych od gór, którzy każdego nowego zwolennika gór chcą dokładnie obwąchać, potem się krzywią i kręcą nosami, i czasem raczą przyjąć do swojego bardzo ekskluzywnego grona. U nas Tatry, pod wpływem starych pawianów z Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego, stały się przenajświętszym sakramentem, górskim chramem, wawelem, do którego przed wejściem trzeba było umoczyć palce w świeconej wodzie PTT, przykleknąć, przeżegnać się w imię św. Walerego i innych kameleonów, po czym oniemić w obliczu majestatu Rysów, Mieguszwieckiego i innych Mnichów. Ludzie ci, nie mogąc jawnie wprowadzać numerus clausus tatrzańskiego, do którego w gruncie rzeczy tęsknili już od roku 1910, zasłaniali się „ochroną przyrody”; mydlili oczy, nadając zwykłemu egoizmowi i najbardziej konsekwentnemu elitaryzmowi kolor ochrony „natury”. Z obrzydzeniem spoglądali na wzrastającą popularność Zakopanego i Tatr, wyróżniając w tym swoim wstręcie pewien odłam turystów, którym dostęp do gór pragnęło się tak samo ograniczyć jak dostęp do uniwersytetów.

To właśnie oni, a nie kto inny, nazwali kolejkę na Kasprowy Nalewkami na linie i zawsze ich można było spotkać w tych schroniskach, gdzie ich gospodarze tak obrzydzali życie nierasowym turystom, iż gromadzili się tam tylko ludzie gór. Im za gorącą wodę nie liczyło się ani grosza i pozwalało nawet

człowieka wobec gór bywa probierzem jego postawy wobec świata, że — co więcej — kształtuje w pewnej mierze tę postawę? — wypisał ktoś parę lat temu w numerze tatrzańskim „Tygodnika Powszechnego”. Niesłychanie mądre. Dlaczego ausgerechnet wobec gór? A wobec miauczącego



gotować za darmo. A jak wiadomo, u nas do dziś dnia przyrządzenie sobie samemu herbaty w schronisku klasyfikuje już człowieka we wstępnej klasie taternictwa. I wtedy przed laty, i dziś jeszcze kwitnie w tych ludziach jakaś dziwaczna „filozofia gór”. Jak to się dzieje, że stanowisko

założenie kotka, nie? Ale z czarownikami górskimi trudno dyskutować. Bo gdy taki filozof jeden z drugim przeszedł Orlą Percą, którą notabene w pewnym sensie „ukolejkowił” ksiądz Gadowski, to potem już marzył o tym, żeby było jak najmniej takich gierzów. Całe podejście do gór było u nas wykośla-

wione, zrachityzowane zupełnie specyficznym snobizmem górskim rozwijanym przez znane kola taterników.

Każdy, co szedł w Tatry, chciał być sam, jako ten Janosik. Tylko on, półbóg, Prometeusz na Hali Pyszej lub w Dolinie Pięciu Stawów. I widziało się tych prometeuszów, jak zwalali się z majestatycznym plecakiem, z pęczkami lin i obwarzankami haków, po czym cały dzień prometejsko różnili w brydża, a co najwyżej poszwendawszy się po śniadaniu koło jakiejś ścianki lub pojeżdżwszy sobie od krzaczka. Otóż granie w brydża w drewnianym schronisku na Pyszej lub w Roztoce było prawdziwym taternictwem i miłością przyrody, a granie w tę samą tatrzańską grę na Kasprowym lub Kalatówkach było brakiem poszanowania majestatu gór i snobistycznym hultajstwem.

Tak samo jak wtedy, tak i dziś bronią ci panowie nie gór, nie Tatr, lecz dostępu do nich szerokim rzeszom ludności, które dla nich zawsze były „hołotą”, a dziś są jeszcze bardziej niż wtedy... Spór o kolejkę i „ochroniarstwo” przybierał wiele масek, ale pod każdą z nich krył się przede wszystkim opór elity i elitarystów przeciwko człowiekowi, który mając wycucie nadchodzącej epoki zapoczątkował ruch masowej turystyki.

Gdy wracam dziś wspomnieniami do tych dawnych lat, gdy przypominam sobie ten huragan ataków i przepowiedni klęsk, które groziły rozpadnięciem Tatr na mączkę po wybudowaniu kolejki, wydaje mi się, że przeglądam kroniki angielskie roku 1815, gdy George Stephenson wybudował pierwszy zdalny do użytku parowóz i musiał czekać 10 lat, zanim oddano jego wynalazek do użytku publicznego. Poziom argumentów używanych w roku 1935 przeciw kolejce na Kasprowy był w sam raz tak samo wysoki, jak argumentacja wytoczona przeciwko pierwszej lokomotywie w zaraniu XIX wieku. Ale nie należy się dziwić: w Anglii chodziło o pierwszą lokomotywę, w Polsce zaś o pierwszą kolejkę linową przeznaczoną dla ruchu pasażerskiego i choć oba wydarzenia dzielił dystans ponad stu lat, to nie trzeba przypominać, iż znakomita większość naszych „ochroniarzy” rekrutowała się z ludzi pamiętających jeszcze czasy pierwszych lokomotyw. Stąd tyle uderzających podobieństw w argumentacji. Bo gdy na przykład w 1815 roku przepowiadano, że krowy wystraszone przejeżdżającymi obok pastwisk parowozami przestaną dawać mleko, to u nas w 1935 roku przepowiadano naukowo i z zimną krwią generalny

potwór owiec połykających i dławiących się okruchami stali, spadającymi z lin kolejki.

Całą tę walkę z zabobonami można było wygrać tylko szybkością działania i tylko szybko dokonany fakt (jakby powiedział Lenin) mógł przewyciężyć mnożące się i rosące na każdym kroku kołtuńskie opory. Ale fakt nie był wcale łatwy w dokonaniu.

Konstrukcję kolejki na Kasprowy rozpoczęto w pierwszych dniach sierpnia 1935 roku. Świetny zespół młodych inżynierów rzucił się z pasją do pracy w myśl hasła amerykańskich mułnów: trudne osiągamy natychmiast, wykonanie rzeczy niemożliwej trwa trochę dłużej. Okazało się jednak, że nawet rzecz tak niemożliwa, jaką było wybudowanie całej kolejki w najgorszych sześciu miesiącach roku – od września do lutego – nie trwała wcale dłużej. Trzeba także wiedzieć, że wszyscy ci młodzi inżynierowie i architekci, mając pierwszy raz w życiu do czynienia z problemami tego rodzaju konstrukcji, nie bardzo wiedzieli, o co chodzi, ale entuzjazm nadrabiał braki.

Gdy w końcu września, tuż przed końcem wakacji uniwersyteckich, byłem kilka dni w Zakopanem, aby krytycznym okiem rzucić na tę całą niesamowitą rozrobę mojego krewnego, Zakopane robiło wrażenie domu obłąkanych. Entuzjazm przeżył się jak płomień z ekipy „kolejkarzy” na wszystkich mieszkańców tego kochanego miasteczka i miało się wrażenie, że wszyscy biorą udział w budowie. „Ochroniarze”, tu na miejscu „Zbrodni”, milczeli i nie odzywali się, bo było to niebezpieczne. Ludzie na ulicach witali się słowami: „Ciężarówkę dowożą już materiał na Myślenickie” albo: „Kolejka robocza ruszy za kilka dni – widziałem”. Szły zakłady, narciarzom we wrześniu marzył się świeży puch, codziennie ktoś opowiadał o postępie w robotach. Gdyby nie pewność, że działa się to w sanacyjnej Polsce, w atmosferze prawdziwej spontaniczności, można by śmiało powiedzieć, iż pracowników i społeczeństwo ogarnął entuzjazm wręcz socjalistyczny.

Tymczasem na wytyczoną „na oko” (na pomiary nie było czasu) drodze na Turnie Myślenickie dzień i noc wyły silniki dwóch ciężarówek, które były właściwie jedynymi wehikułami, przy pomocy których budowano kolejkę. Ponieważ z Myślenickich na Kasprowy nie było żadnej drogi, transport odbywał się na plecach. Deski i ciężkie elementy drewniane dowożono na Halę Gąsienicową, skąd wędrowały na górę, podawane z rąk

do rąk wzdłuż łańcucha robotników. Nastąpił wyścig z jesienią, z deszczami, mgłami i wichrami, ze śniegiem i mrozem, które w wyższych partiach pojawiły się już pod koniec jesieni.

Tak się złożyło, iż na początku października zachorowałem na szkarlatynę i po chorobie, w listopadzie, pojechałem do Zakopanego na rekonwalescencję. Nie mając nic lepszego do roboty, obserwowałem budowę. Przyjeżdżający co niedziela wiceminister zabierał mnie na szczegółową inspekcję i wtedy to mój krytycyzm do rządowego krewnego zaczął szybko tajać. Podejście jego do podwładnych nie było wprawdzie „tak po prostu, po naszymu, po robotniczemu”, ale nacechowane było czymś o wiele silniejszym: zrozumieniem, koleżeństwem i przyjaźnią *primus inter pares*. Musiało ono dawać dobre wyniki, skoro całą budowę, wprawdzie bez wykończenia szczegółów, ukończono w ciągu sześciu i pół miesiąca, budując wszystko w zimie. Gdy się pomyśli, że dzisiaj budowa małej i bardzo prostej kolejki na Szyndzielnię trwała 5 lat, to porównanie musi nasuwać szereg refleksji. Przypuszczam, że nasuwałoby jeszcze więcej, gdyby można porównać koszty ich konstrukcji.

Cała ta budowa stała się jedynym w swoim rodzaju wyczynem inżynierów, architektów, urzędników administracyjnych i robotników. Nie było rzeczy niemożliwych. Większość z tych, co stają dziś wśród tłumu oczekujących dzień w dzień, jak rok długi, na swoją kolejkę do kolejki, nie zdaje sobie sprawy z prawdziwych rozmiarów budynków stacyjnych. Są one tak wtopione w krajobraz dzięki świetnym proporcjom brył, że maleją, niemal nikną na tle otaczających je gór. Tymczasem kubatura stacji na Kasprowym wynosi ponad 10 000 m sześciennych, a stacja na Turniach Myślenickich ma 12 000 m sześciennych. Te wielkie budynki zostały wzniesione w całości w pełni mroźnej zimy, wysoko w górach. Pamiętam, jak trochę tylko starszy ode mnie inż. Borys Lange powiedział raz: „Tu nie można sobie dodawać otuchy, biorąc przykład z jakiejś sławnej budowy, bo po prostu nie ma przykładu, aby gdziekolwiek i kiedykolwiek na świecie wykonano budowę o podobnych rozmiarach, na takiej wysokości i w takich warunkach klimatycznych”.

Można porównać to tylko do Tunelu Kellermana.

Ale to była fantastyczna powieść.

Gdy przebiegam teraz we wspomnieniach te krótkie miesiące, wydaje mi się, że nawet i to porównanie nie oddawało w pełni trudności, które tam pokonano. Ci ludzie do dziś

dnia wspominają z dumą tę techniczną epopeję. Ale im mówić zakazano...

Budowę szczytowej stacji rozpoczęto pod koniec października. W połowie listopada spadł śnieg i już utrzymał się na stałe. Jedynym sposobem wykonania robót było budowanie wewnątrz w futerał, to znaczy wybudowanie drewnianego hangaru o ścianach wyłożonych materiałem izolacyjnym i ogrzewanego, we wnętrzu którego rozpoczęto właśnie budowę. Montaż tego futerału, czyli „ciepłaka”, ukończono dopiero w połowie grudnia i dzięki osiągnięciu wewnątrz temperatury o parę stopni wyżej zera można było rozpocząć roboty murarskie i betonowe.

Przedłużałem oczywiście mój pobyt zdrowotny w Zakopanem i choć groziło to utratą semestru, wolałem włożyć się na nartach wokół całej budowy niż wracać do Warszawy. Cała konstrukcja rosła z godziny na godzinę, a niedzielne inspekcje wiceministra dodawały gazu. Raz, było to bodaj w jedną z niedziel styczniowych, wybraliśmy się całą paczką tzw. urywaczy na Kasprowy, aby zjechać trasą kolejki na Myślenickie. Na Kasprowym było białe piekło.

Praca stanęła i robotnicy bali się przejść ze swojego baraku do „ciepłaka”, bo zdawało się, że za chwilę wszystko polecie. Pod szczytem trzeba było odpiąć narty i chwilami czołgać się. Uciekaliśmy czym prędzej. Na połowie drogi od Myślenickich Turni spotykałem stryjka w towarzystwie małżonki. Zatkąło mnie, bo gdybym był tam znalazł kwitnącą wśród śniegu orchideę, kontrast nie mógłby być większy.

To wtedy pomyślałem sobie, że rzymska formuła małżeńska *ubi tu Gaius, ibi ego* Gaia miała rzadko tak wysoce idące zastosowanie w praktyce. Odradzałem, prosiłem, żeby nie szli dalej, nic nie pomogło. Sanacyjna wiceministrowa przejawiała hart, który, jak wiadomo, stał się powszechnym dopiero wśród żon funkcjonariuszy państwa ludowego.

Otóż nagłe pojawienie się tej delikatnej i wytwornej kobiety w spowitym burzą baraku na Kasprowym można by tylko porównać do zjawienia się jakiejś southern belle w obozie poszukiwaczy złota na Alasce. Wrażenie było piorunujące i wśród zakłopotanych i bardzo filmowych chrzanknięć i pokaszliwań ludzie, siedzący dotąd beczynnie, wymykali się na budowę. Przewrotne były te metody sanacyjne...

Przeciętny wiek konstruktorów tego „bóbkociągu”, jak od razu przezwano kolejkę (coż może lepiej świadczyć o popularności, jeśli nie żartobliwa lub choćby złośliwa nazwa,

utrzymująca się już prawie przez drugie pokolenie?) wahał się między 23–25 lat i w całym tym młodym zespole panowała atmosfera frontowa. Nikt się tam z nikim nie żart, dołki kopano tylko pod fundamenty i jeden drugiego popierał, gdzie mógł.

przewodził sprawy finansowe, które na pewno nie były takie łatwe. Kierownikiem trzyosobowego biura w Warszawie był młody ekonomista, mgr Zygmunt Filipowicz (uzyskał z początkiem wojny doktorat z turystyki), któremu nawet po wojnie „nie przeszło”, bo jako kierownik Komitetu dla Spraw



Ogólny zarząd objęli arch. Aleksander Kodelski i dr Wacław Lewicki. To Kodelski ze swoją żoną Anną, też architektem, był autorem wszystkich budynków stacyjnych. Dr Lewicki

Turystyki już w Polsce Ludowej stał się jednym z głównych inicjatorów budowy kolejek linowych na Szyndzielnię, w Szczyrku i w Karpaczu.

Naczelnym kierownikiem robót był arch. Medard Stadnicki, starszy o 10 lat od reszty załogi. Jego trzydzieści kilka lat i już wielkie doświadczenie fachowe nadawały mu na tle młodego zespołu cechy poważnego starca. Zastępcą jego był młody inżynier Borys Lange. Cały teren budowy podzielono na trzy odcinki. Na Kasprowym walczył z wichrami inż. Arseniusz Gułowicz. Chudy, małowówny i zimny jak warunki klimatyczne, w których budował, był idealnym kierownikiem tej najbardziej eksponowanej załogi.

Na Turniach Myślenickich władał młody pistolet, Bronisław Matulka. Z typową zaciętością młodego chłopaka nie korzystał prawie z pomocy innych i sam sobie dawał radę z większością problemów. Na stacji w Kuźnicach robotami kierował inż. Tadeusz Pluto. Spoglądałem na niego jak na uosobienie nowoczesnego Petroniusza. Wysoki, przystojny, zawsze elegancki, świetnie kręcący „christianie” w każdym śniegu, flegmatyczny i wspaniale jednający sobie ludzi, został potem, już po uruchomieniu kolejki, kierownikiem eksploatacji. Młodzi technicy, zapaleni i zawsze pełni kawałów a propos, uzupełniali ten jedyny w swoim rodzaju combat team konstruktorów. A co niedzieli, o 6 rano, przyjeżdżał z Warszawy sam największy czarodziej, Bobkowski, i od 7 rano zaczynał szczegółową inspekcję: Od Kuźnic do Myślenickich, potem podpora za podporą, choć burza huczała wkoło nas, dochodził koło południa do Kasprowego. Po czym powrót do Kuźnic i odprawa. Wszyscy wiedzieli, że pierwsze słowa będą zawsze te same: „Proszę panów, to wszystko idzie za wolno. ...”

Tempo rosło, w tym oszalałym tempie zdarzył się tylko jeden jedyny poważny wypadek, gdy jedenastu robotników, wbrew surowemu zakazowi używania kolejki roboczej, użyło jej do zjazdu w dół w tajemnicy przed kierownictwem. Przeciążona i rozkiwana „trumienka”, jak nazywano wagoniki kolejki roboczej, zeskoczyła z liny nośnej i wszyscy spadli.

Na szczęście zdarzyło się to w jedynym miejscu na trasie Kasprawy—Myślenickie Turnie, w którym wagonik znajdował się na wysokości zaledwie paru metrów nad ziemią. I choć zginęło wtedy dwóch ludzi, to i pod względem bezpieczeństwa pracy ustanowiono rekord, bo ściśle wykonywanie przepisów bezpieczeństwa pracy przy tym tempie robót w warunkach, w jakich pracowano, nie było wcale łatwe.

Dnia 29 lutego 1936 roku — po sześciu i pół miesiącach budowy ruszyła pierwsza kabina z pasażerami. Kasprawy miał kolejkę i wraz z nią pojawił się na jej trasie upiór. Któż

go nie widział? Była to jakaś tajemnicza dama, o twarzy marmurowej, nie odzywająca się do nikogo, zacięta i skupiona, która aż do końca zimy zjawiała się co rano w Kuźnicach, wsiadała do pierwszego wagoniku, jechała na Kasprawy, zjeżdżała szybko i łapała na dole następny wagonik. I tak aż do wieczora. Można było wsiąść do byle jakiego wagoniku, o każdej porze dnia — upiór Kasprowego stał w kącie kabiny, obejmując parę desek i wpatrywał się martwym wzrokiem w przestrzeń za szybą. Cuda opowiadano o niej i jeszcze dziś mam w oczach tę zagadkową twarz. Tej kolejka z miejsca usiadła na mózgu.

Pamiętam ten pierwszy wagonik. Sunął wolno, dobijał do Stacji na Kasprowym ostrożnie, jak okręt do kei. Nie wiem, o czym myślał wtedy mój stryj, ale kto wie, czy w błyskawicznym skrócie nie przewinęła mu się w myśli cała epoka, której zakończeniem był ten wagonik. Początki narciarstwa w Polsce, pierwsze kursy narciarskie, gdy jeździło się jeszcze z jedną wielką tyka bambusową. Pierwsze międzynarodowe zawody narciarskie w lutym 1910 roku na Magórze pod Bielskiem i polskie zwycięstwo nad Niemcami, gdzie na 15 zawodników Polacy zajęli pierwsze i czwarte miejsce. Potem nagły przewrót: dwa lekkie kijki i metoda norweska, pierwszy w Polsce podręcznik tej metody opracowany przez niego, pierwsze skocznie narciarskie. Ile ich wybudował? Nawet w Wilnie skakano na nartach. To gdzieś tu, w tym punkcie zwrotnym techniki narciarstwa narodził się wielki spór. Czciogodnym i namaszczone, zadomowionym w Zakopanem odbiorcom „majestatu gór”, podpierającym pieczę na Krywanii i na Koziańcu, nie podobały się samodzielne, nie kontrolowane przez nich wyprawy „sportowców”, jak ich lekceważąco nazywano. Ale „sportowcy” mnożyli się, „sportowcy” byli naturalnym objawem zmieniającej się epoki, zmieniających się czasów. Bobkowski torował im drogę i wygrał tę walkę dla nich. To pewnie tego nie może mu się przebaczyć i pewnie dlatego jeden z „fachowców”, pisząc dziś historię narciarstwa w Polsce z okazji pięćdziesiątej rocznicy najpiękniejszego sportu, potrafił ani razu nie wymienić wrażego nazwiska.

Na szczęście pozostawiło ono po sobie tyle namacalnych dokonań, że milczenie tych skrybów od Tatr jeszcze bardziej je uwypukla. Po skrybach nie zostanie nic, gdy tam jeszcze ciągle będą szły w górę ciche Wagoniki, wywożąc w zaczarowany świat gór ludzi, którzy nigdy nie mogliby ich może zobaczyć.

1958

GÓRY I PARTNERZY

Andrzej Kurowski



Kurt Diemberger w trakcie zdobywczej wyprawy na Broad Peak w 1957 r. (www.thebmc.co.uk)

Gdy cztery lata temu pojechałem do Zakopanego na Dni Lajtowe – imprezę Polskiego Klubu Alpejskiego, na którą organizatorzy zapraszają wybitne indywidualności świata górskiego – zrobiłem to głównie dla możliwości zobaczenia na żywo wówczas już prawie 80-letniego Kurta Diembergera. Jego prelekcja, delikatnie mówiąc, okazała się rozczarowaniem. Była nie najlepiej przygotowana, a jeszcze gorzej tłumaczona, prowadzący powtarzał się i chyba specjalnie nie trafił do (w większości) młodej publiczności. Dla mnie nie było to aż tak istotne – miałem przed sobą autora książki, która jak żadna inna ukształtowała moje podejście do wspinania, miała wpływ na wybór górskich celów (jeżeli nie wejść, to przynajmniej zobaczyć), wreszcie stała się wzorem jak powinno wyglądać to, co najważniejsze – relacje z partnerami i autentyczna fascynacja górami. Zapewne brzmi to dosyć górnolotnie, więc może prościej – idealnie trafiła w moje gusta i oczekiwania. Można powiedzieć, że (przynajmniej jeśli chodzi o Alpy oraz marzenia o górach wysokich), rozwijałem się „z Diembergerem w ręku” a jego autobiografię – *Góry i partnerzy* traktowałem jak swego rodzaju przewodnik.

Kurt Diemberger ze względu na swoje górskie dokonania stał się legendą już za życia. Rozpoczął górską działalność

w epoce, gdy austriaccy alpiniści nadawali ton światowemu wspinaniu. Już od wczesnych lat szkolnych poznawał najpierw pobliskie rodzinne Salzburgowi szczyty, a następnie podróżując rowerem, zwiedzał coraz odleglejsze zakątki Alp. Podczas studiów nabywał wspinaczkowych umiejętności w skałach Peilstein, stanowiących „poligon” wiedeńskich wspinaczy. Tam poznał swojego wieloletniego partnera – Wolfganga (Wolfigo) Stefana, z którym stworzył jeden z najlepszych i najsukcesywniejszych zespołów wspinaczkowych. Tak pisał o ich wspólnej działalności: *Każdego lata zaczynaliśmy wczesnym latem w Dolomitach, kończąc sezon jesienią w masywie Mont Blanc. W latach 1956-1958 jako pierwszy zespół pokonali tryptyk alpejski – północne ściany Matterhornu, Eigeru i Grandes Jorasses. Na Nordwand wspięli się rok po tragedii zespołu niemiecko-włoskiego zakończonej dobrze znaną z literatury akcją ratunkową po Claudio Cortiego, dlatego ich wspinaczka zyskała duży rozgłos. Z przejściem tym jest związany jeden z moich ulubionych cytatów z książki, oddający niezrozumienie istoty wspinania przez tzw. opinię publiczną: *Sięgam po pudło ze starymi listami. [...] Oto, obok depeszy z gratulacjami od ambasady austriackiej, leży karta klubu kręglarskiego z Düsseldorfu „Wy idioci – napisali z najsłabszym przecho-**

naniem – czy naprawdę wierzyć, że czegoś dokonaliście tą małpią wspinaczką?”. Jednocześnie przejście to przyczyniło się do spopularyzowania idei używania kasków ochronnych (gdy w prasie ukazywały się zdjęcia Diembergera i Stefana, ich produkcja gwałtownie wzrosła). Obaj byli też autorami wielu nowych, ambitnych dróg. Tworzyli zespół nie tylko szybki i skuteczny, ale i bezpieczny. Alpejskie sukcesy (kropką nad „i” była słynna lodowa *Rurka z kremem* na Königspitze) sprawiły, że 25-letni Diemberger został zaproszony w 1957 r. przez samego Hermanna Buhla do udziału w austriackiej wyprawie na ośmiotysięczny Broad Peak w Karakorum. Wyprawie zakończonej sukcesem – po szybkiej i prowadzonej w znakomitym stylu akcji cały czteroosobowy zespół stanął na dziewiczym szczycie, oraz tragedią – w czasie próby wejścia na pobliską Chogolisé Diemberger stał się świadkiem śmierci Buhla, sam cudem uchodząc z życiem. Odtąd góry najwyższe stały się sensem życia Diembergera. W 1960 r. w ramach międzynarodowej wyprawy (brali w niej udział dwaj Polacy – dr Jerzy Hajdukiewicz oraz Adam Skoczylas) zdobył Dhaulagiri, stając się trzecim z kolei (ale jedynym żyjącym) człowiekiem, który dokonał dwóch pierwszych wejść na ośmiotysięczniki. W następnych latach eksplorował Hindukusz (kilka dziewiczych szczytów i siedmiotysięczników oraz wejście na najwyższy – Tirich Mir). Był jednym z pierwszych alpinistów, którzy przeszli na zawodowstwo, rezygnując ze stabilnej pracy, poświęcił się górcom, dużo podróżował, pisał, a przede wszystkim stał się filmowcem wysokościowym. W latach 70. w trakcie kolejnych wypraw himalajskich zdobył Makalu, Everest i Gasherbrum II. Na najwyższe szczyty wchodził, mając już około pięćdziesiątki, co w tamtych czasach uważano za wiek poważny jak na himalaistę. Kurt wydawał się jednak nie do zdarcia, uważany był też za wzór wzorowego partnera – takiego, na którym zawsze i bezinteresownie można było polegać. Legendę Diembergera nadweryżył udział w wyprawie na K2 w słynnym i tragicznym 1986 r., gdy na zboczach Góry Gór zginęło 13 wspinaczy (w tym Polacy). Sam Diemberger wraz ze swoją partnerką, Brytyjką Jullie Tullis osiągnął szczyt (była to jego czwarta próba na K2), ale w czasie tragicznego odwrotu nie potrafił już pomóc innym. Z siedmioosobowego zespołu przeżył tylko on i jego rodak Willy Bauer, który wziął na siebie ciężar torowania drogi. W trakcie ostrej dyskusji w mediach i środowisku górskim pojawiły się wręcz głosy, że Diemberger porzucił partnerów lub że „przespał swoją starość”. Wydarzenia te zostały dobrze i wielokrotnie opisane, m.in. przez Annę Czerwińską – w relacji *Groza wokół K2* czy Jima Currana – w *K2. Triumf i tragedia* oraz przez



Kurt Diemberger po otrzymaniu Piolet d'Or w 2013 r. (www.aostasports.it)

samemu Diembergera w książkach niewydanych w Polsce. Z perspektywy lat i wobec doświadczeń z rozpadem więzi partnerstwa w górach wysokich, oceny tamtych wydarzeń straciły nieco na ostrości. K2 zakończyło wyczynową karierę Diembergera (doznał poważnych odmrożeń), chociaż wciąż jeździł jeszcze w góry wysokie jako filmowiec. W 2013 r. został uhonorowany prestiżową nagrodą Piolet d'Or za całokształt dokonań górskich.

Góry i Partnerzy (podtytuł *Od 0 do 8000 metrów*) to górską autobiografia Diembergera opisująca najlepsze lata jego działalności, od początków fascynacji górami, przez wspinaczkowe dojrzewanie, popelniane błędy, nabywanie doświadczeń, aż do apogeum sukcesów w latach 60. i 70. To książka o poznawaniu kolejnych gór, ludzi, zawieraniu przyjaźni, miłości w górach i do gór. Napisana pełnym humorem stylem, w sposób niezwykle życzliwy, a zarazem refleksyjny wobec opisywanych ludzi i wydarzeń. Pokazująca autentyczną, prostą radość z bycia w górach, życia spędzoną w nich chwilą, zachwytu dla otaczającego nas świata. Napisana przez Diembergera w 1974 r., w Polsce została wydana tylko raz w 1985 r. w podróżniczej serii „Naokoło Świata”. Chociaż tłumaczenie może miejscami budzić uśmiech ze względu na niefachowe przełożenie niektórych terminów wspinaczkowych, nie jest to najważniejsze, bo oddaje ducha książki – całość jest lekka, radosna wręcz poetycka, tak jak góry widziane przez Diembergera.

Kurt Diemberger - *Góry i partnerzy*
(tytuł oryginalu *Gipfeln und Gefährten*).

Wydanie polskie: Wydawnictwo
„Iskry”, seria „Naokoło Świata”
Warszawa 1985.



Mój sfatygowany egzemplarz
Gór i Partnerów

Jak przystąpić do Klubu:

Nie stawiamy żadnych barier formalnych – każdy może wstąpić do naszego klubu, uczestniczyć w wyprawach, wyjazdach, wycieczkach, w naszych regularnych imprezach i spotkaniach. Jako organizacja prawdziwie społeczna istniejemy dzięki aktywności i zaangażowaniu naszych członków – jeśli więc uważasz, że i Ty możesz wnieść wkład w nasz rozwój – serdecznie zapraszamy! Jeżeli uprawiasz sporty wspinaczkowe i możesz to udokumentować przedstawiając posiadane uprawnienia (karty, zaświadczenie o ukończonym kursie) lub wykaz przejść (może być skałkowych lub bulderowych) – to otrzymujesz status członka zwyczajnego (nie musisz nam przysłać kopii dokumentów czy wykazu, ale możesz zostać o to poproszony, jeżeli pojawią się wątpliwości). Jeżeli natomiast nie uprawiasz wspinaczki (bo np. uprawiasz trekking, turystykę górską itp.) – to możesz wstąpić do klubu otrzymując status członka uczestnika, którego jedynym ograniczeniem jest limitowana możliwość kandydowania do władz klubu.

Zapisać się do Klubu można:

Osobiście: We wtorki w godzinach ścianki klubowej (Nowowiejska 37B, w godz. 20.00–22.00) lub w lokalu klubowym (Noakowskiego 10/18) w czasie slajdów bądź innego spotkania (aktualne info na stronie, można też mailować klub@kw.warszawa.pl).

Korespondencyjnie przez Internet: opłacając wpisowe i składkę przelewem na konto Klubu i przysyłając swoje dane do Klubu za pośrednictwem formularza zamieszczonego na stronie internetowej Klubu (www.kw.warszawa.pl). Gdy przystępujesz korespondencyjnie – legitymację wysłamy Ci pocztą do domu (zdjęcie wkleisz sam).

Składki:

- uczący się do lat 26 – opłata roczna 50 PLN + 50 PLN wpisowe.
Gdy wstępujesz w drugiej połowie roku (po 1 lipca):
składka wynosi 30 PLN + wpisowe 50 PLN,
- osoby powyżej 26 lat – opłata roczna 90 PLN + 90 PLN wpisowe.
Gdy wstępujesz w drugiej połowie roku (po 1 lipca): składka wynosi 50 PLN + wpisowe 90 PLN,
- instruktorzy – 50% zniżki w składce i wpisowym,
- dzieci i młodzież do 26 roku życia, jeżeli oboje rodzice są członkami KW – 50% zniżki w składce i wpisowym,
- dzieci i młodzież do 26 roku życia, posiadające jednego rodzica – 50% zniżki w składce i wpisowym,
- członkowie innych klubów zrzeszonych w PZA – bez wpisowego (po okazaniu legitymacji z opłaconymi bieżącymi składkami),
- Emeryci i renciści – 12 PLN.

Ścianki klubowe:

Klub wynajmuje obecnie jeden obiekt – ściankę wspinaczkową w Centrum Wspinania „W Pionie” na ul. Nowowiejskiej 37B. Godziny dla klubowiczów przewidziane są we wtorki od godz. 20 do 22 – opłata 10 zł. Członkowie Klubu mogą też z odpowiednio mniejszymi opłatami wchodzić na ściankę w Centrum Wspinaczkowym „On Sight” na ul. Obozowej 60.

Obozy:

Co roku KW Warszawa organizuje wyjazdy dla członków klubu, mające na celu podniesienie umiejętności wspinaczkowych oraz wymianę doświadczeń między bardziej i mniej doświadczonymi kolegami oraz koleżankami. Są one bardzo popularne i bierze w nich udział nawet do 60 osób, które świetnie się na nich bawią, ale także – dzięki prowadzonym wykładom – dowiadują wielu ważnych rzeczy z dziedziny topografii, bezpieczeństwa i taktyki działania w górach.

W obozie może wziąć udział każdy członek klubu bez względu na doświadczenie. Jednak z powodu ograniczonej ilości miejsc każda osoba zainteresowana wyjazdem zobowiązana jest wypełnić formularz zapisu na obóz, który jest umieszczany na stronie klubowej z odpowiednim wyprzedzeniem.

Osoby nieposiadające doświadczenia (szczególnie dotyczy to obozów zimowych) powinny rozważyć opcję wspinania pod opieką instruktora, za symboliczną opłatą ok. 350 zł/tydzień. Wszyscy uczestnicy obozu muszą także mieć świadomość, że wyjeżdżają na własną odpowiedzialność i samodzielnie podejmują swoje wspinaczkowe decyzje – klub zapewnia jedynie rezerwację miejsc, pomoc w zakresie wyboru celów, literaturę, schematy i dobrą poradę starszych kolegów, na których zawsze można liczyć.

Warunkiem uczestnictwa w obozie jest także posiadanie aktualnego ubezpieczenia, obejmującego uprawianie alpinizmu i koszty akcji ratunkowej z użyciem helikoptera. Polecane przez nas jest ubezpieczenie związane z wykupieniem członkostwa w OeAV.

Lokal klubowy ul. Noakowskiego 10/18 Warszawa	NIP 526 16 90 727
Korespondencja ul. Jankowska 5/12 02-129 Warszawa	REGON 000987911
	KRS 0000122453
Sekretariat Wtorki, godz. 20.00–21:30 ul. Nowowiejska 37B	Konto Bank Zachodni WBK SA 48 1090 1694 0000 0001 1506 5257 ul. Jankowska 5/12 02-129 Warszawa
Internet http://kw.warszawa.pl	

SALEWA
www.salewa.com
www.salewa.pl
www.salewa.de



PLUS MOUNTAIN
BIKE SHOP DO 20%
www.rowery.com.pl



KANFOR DO 30%
www.kanfor.pl



SCHRONISKO PIĘĆ
STAWÓW DO 20%
www.piecstawow.pl



MJSPOORT DO 30%
www.mjsport.pl



SKALNIK DO 20%
www.skalnik.pl



NAMASTE DO 30%
www.namaste.pl



SUSZARKIDOBUTOW.PL
DO 20%
www.suszarkidobutow.pl



www.skialpinizm.eu
do 30%



TANIEWSPINANIE.PL
DO 20%
www.taniewspinanie.pl



YETI DO 30%
www.yeti.com.pl



GÓRSKI SKLEP SPORTOWY
ul.Kościuszki 15
34-500 Zakopane

M-ARTE
Agent Sklepu Podróżnika do 25%



MONKEY'S GRIP DO 25%
www.monkeysgrip.com



ALPAMAYO DO 15%
www.alpamayo.eu



CUMULUS DO 20%
www.cumulus.pl



E-BUSOLA DO 15%
www.e-busola.pl



MAŁACHOWSKI DO 20%
www.malachowski.com.pl



ECOBE DO 15%
www.ecobe.com.pl



MARABUT DO 20%
www.namioty.pl



HORSEWAY DO 15%
www.horseway.pl



MONTANO DO 20%
www.montano.pl



MOUNTAINTOOLS DO 15%
www.mountaintools.com



NEGRA SPORT DO 20%
www.sklep.negrasport.com



NATURAL BORN RUNNERS DO 15%
www.natural-born-runners.pl



PEKA PAKA DO 20%



OUTDOORPRO.PL DO 15%
www.outdoorpro.pl



POLAR SPORT DO 15%
www.polarsport.pl



MAMMUT DO 10%
www.climbrock.pl



SKLEP PODRÓŻNIKA DO 15%
www.sp.com.pl



MULTAN EXTREME DO 10%
www.multanex.pl



STREFA GOR DO 15%
www.strefagor.pl



QUICKSILVER-ROSSIGNOL DO 10%
www.pmsport.pl



TRANGO.PL DO 15%
www.trango.pl



ROBERT'S OUTDOOR EQUIPMENT DO 10%
www.roberts.pl



WELD SKLEP GÓRSKI DO 15%
www.weld.pl



SHERPA DO 10%
www.sherpa.pl



ALPENSKI.PL DO 10%
www.alpenski.pl



SKI-TUR SPRZĘT TURYSTYCZNY
I RATOWNICZY DO 10%
www.arva.pl



ALPINSKLEP & HIMOUNTAIN ZAKOPANE DO 10%
www.alpinsport.pl



SPORTSKLEP.COM DO 10%
www.sportsklep.com



ALPINSKLEP DO 10%
www.alpinsklep.pl



SZKOŁA JĘZYKÓW OBCYCH SOKRATES DO 10%
www.tesokrates.com.pl



AZYMUT DO 10%
www.sklepazymut.pl



TATERNICKI.PL DO 10%
www.taternicki.pl



BERGSON DO 10%
www.bergson.pl



EXTREME SPORT – ZAKOPANE DO 7%
www.bzyk-extreme.netidea.pl



CHATA PRI ZELENOM PLESE DO 10%
www.zelenepleso.sk



SKLEPY TURYSTYCZNE HORYZONT DO 7%
www.e-horyzont.pl



E-BIWAK.PL DO 10%
www.e-biwak.pl



TUTTU DO 7%
www.tuttu.pl



EKSPLO DO 10%
www.ekspl.com.pl



WORK SPORT DO 5%
www.worksport.com.pl



HIMAL SPORT DO 10%
www.himalsport.com.pl



KWARK
www.kwark.pl



HIMOUNTAIN DO 10%
www.himountain.pl



SKLEP GÓRSKI K2 DO 15%
www.k2-sklep.pl



AKTUALNE DANE DOTYCZĄCE ZNIŻEK ZNAJDUJĄ SIĘ NA STRONIE KLUBU W DZIALE ZNIŻKI

A person is lying in a bright orange Yeti sleeping bag on a blue mat, positioned on a rocky, moss-covered mountain trail. The person's face is visible through the hood of the bag. To the left of the bag, there are some small items: a green ring and a small black object. To the right, there is some gear, including a red and blue bag and a black tripod-like stand. The background consists of large, grey, mossy rocks.

yeti®

WWW.YETI.COM.PL



Wstąp do KW Warszawa
Zapisz się przez Internet

www.kw.warszawa.pl